TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI

Napiórkowski: Pomysł na szkołę przyszłości

Matczak: Wołyń, czy przebaczenie to grzech

Lefebryści: Tradycyjnie nieposłuszni

Jak wyjść ze współuzależnienia

Zetki odkrywają Brach-Czainę

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 1 – 7 lipca 2026 | nr 27 (4017)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

250 lat mitu

MACIEJ JARKOWIEC
STR. 10-15

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Białostocki
Ośrodek Kultury

WSCHÓD KULTURY

inny_wymiar

9–12 lipca 2026
Białystok

opracowanie graficzne: Małgorzata Wróblewska

www.bok.bialystok.pl
www.innywymiar.bialystok.pl

wstęp wolny

organizatorzy: BOK, WSCHÓD KULTURY, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Narodowe Centrum Kultury, Białystok

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

sponsor: STRABAG WORK ON PROGRESS

patroni medialni: BiałystokOnline, Polskie Radio Białystok, Radio Akadera 87.7 FM, PORANNY.PL, WSPOLCZESNA.PL, Poleca naml naszemiasto.

eprasa.pl fbbd995f95

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MICHAŁ OKOŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Upał, czyli stress test
JAKUB WIECH

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Krzyż zamiast sztandaru
MARCIN MATCZAK: *Prawica chce być przedmurzem chrześcijaństwa i obrońcą cywilizacji. A wybaczenie Wołynia jest dla niej nie do pomyślenia*

19 Za wszelką cenę
ANNA KORYTOWSKA: *Czym jest życie z osobą współuzależnioną*

22 Starość do podziału
JACEK TARAN: *W Rybniku testowany jest cohousing – model wspólnego mieszkania dla seniorów. Jak się sprawdza?*

■ ■ OPINIE

26 Cztery pomysły na szkołę przyszłości
MARCIN NAPIÓRKOWSKI: *Czy światowa rewolucja może zacząć się w Polsce*

■ ■ ŚWIAT

34 Wyobrażam sobie inną Amerykę
ROZMOWA Z SEANEM WILENTZEM: *USA to wciąż bogaty kraj o wielkich możliwościach. Nie powinniśmy się porównywać się z upadłymi imperiami*

38 Przystanek Dmitriwka
ANTONINA PALARCZYK: *Wędrowali tędy Scytowie i Tatarzy, czumackie wozy i kozackie sotnie. Dziś Szosą Doniecką suną wojskowe kolumny*

41 Witajcie w Nowej Armenii
STASIA BUDZISZ: *Premier Paszynian buduje państwo, które nazywa „nowym". Zyskiem jest pokój, ale cenę płacą Ormianie, którzy uciekli z Karabachu*

■ ■ WIARA

44 Disneylandu tu nie będzie
ROZMOWA Z KS. PIOTREM ŻELAZKO: *Chrześcijanom w Izraelu żyje się lepiej niż w innych krajach na Bliskim Wschodzie. Pod warunkiem, że nie ma wojny*

48 Bożek tradycji
MICHAŁ RYCHERT: *Kim są lefebryści i czy w najbliższych dniach ich drogi z Kościołem całkiem się rozejdą?*

TEMAT TYGODNIKA

10
USA, 250 lat mitu
MACIEJ JARKOWIEC:
Miłość do Stanów Zjednoczonych zrobiła się jakby trudniejsza. Ale nawet gdyby zawinęła się stąd US Army, zostanie nam „Stranger Things".

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
25 OLGA DRENDA
31 NATALIA DE BARBARO
53 ZUZANNA RADZIK
61 ELIZA KĄCKA
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
PRZEMYSŁAW GAWLAS I MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY:
MICHAŁ OKOŃSKI

52 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ NAUKA

54 O czym śpiewają ptaki
WOJCIECH MAMAK: *Dzięki sztucznej inteligencji mamy szansę poznać reguły rządzące ptasimi pieśniami – a nawet ich znaczenia*

■ ■ HISTORIA

58 5994 protokoły
ANDRZEJ KRAWCZYK: *80 lat temu komuniści przegrali referendum, które miało uprawomocnić ich rządy w Polsce*

■ ■ KULTURA

62 Nieźle, jak na Amerykankę

MATERIAŁY PRASOWE

ROZMOWA Z CLARE CAVANAGH: *Widywałam Miłosza na ulicach Cambridge. To było tak, jakby nagle spotkać Micka Jaggera*

66 Pod płaszczykiem
REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI: *Czy w rzeczywistości noir jest jeszcze miejsce dla superbohatera?*

68 Badminton z Abakanowicz
ROZMOWA Z TOMASZEM SZYMAŃSKIM: *Potrzebujemy miejsc, w których sztuka jest elementem wspólnego dobra, a mieszkańcy czują się gospodarzami tej przestrzeni*

72 Polecenia

74 Czytanka
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Czytając »Lolitę« w Teheranie" Erana Riklisa*

75 Mroczna klasyka
LEKTOR *o „Kwiatach zła" Charles'a Baudelaire'a*

■ ■ ZMYSŁY

94 Dotknąć, żeby zrozumieć
MICHAŁ TOMCZUK: *Nie potrzebujemy już kolejnych statystyk udowadniających szkodliwość aplikacji czy mediów społecznościowych. Potrzebujemy filozofii codzienności*

eprasa.pl fbbd995f95

KS. ADAM

Boniecki: *Dlaczego lefebryści się mylą*

Są, istnieją, zdaje się, że nawet ich przybywa – w Polsce i gdzie indziej. Nie powinno to ani dziwić, ani niepokoić, bo podobne postawy istniały od zarania Kościoła. Lefebryści... gdyby całkiem nie mieli racji, gdyby nic w ich doktrynie nie odpowiadało na jakąś ludzką potrzebę czy niepokój, to dawno by już ich nie było.

Co to jest, nie mnie rozstrzygać, jedno w każdym razie wydaje mi się jasne, mianowicie to, że żywe nauczanie Kościoła jest przez nich uznawane do pewnej granicy czasowej: po Soborze Watykańskim II już nie. Czasami to mnie dziwi, bo przecież objawienie się Boga w Chrystusie nie było czymś statycznym, tylko dynamicznym. Objawione treści nie zostały wyczerpane, poznane i do wierzenia wszystkie podane, bo wciąż je zgłębiamy, lepiej poznajemy i korygujemy błędy, także z czasów, w którychśmy – mimo najlepszej woli i pomocy Bożej – coś przerysowali, dodali albo pominęli. Tyle jest w Kościele czysto ludzkich instytucji, tyle godności i urzędów, nawet jeśli potrzebnych, to jednak w Ewangeliach niezapisanych. Jednym słowem: rozwój instytucji Kościoła niósł w sobie także ryzyko zagubienia (czy nierozpoznania) czegoś, a jednocześnie dodania elementów być może niekoniecznie zgodnych z zamysłem Założyciela.

Nie sposób zaprzeczyć, że w imieniu Chrystusa podejmowano decyzje, które od jego przesłania były tak daleko jak wschód od zachodu. Dlatego spór z lefebrystami nie toczy się o formularz mszy czy język liturgii. Spór – mówiąc

GRAŻYNA MAKARA

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

MICHAŁ

Okoński: *Niespokojny sen Ameryki*

Głos Ameryki? Postawię na Williego Nelsona, który przez tyle lat kariery zaśpiewał naprawdę wszystko: nie tylko country klasyczne, skoro niedawno nagrywał z queerowym Orville'em Peckiem, ale także jazzowe songbooki, a dzięki duetowi ze Snoop Doggiem można go znaleźć nawet na playlistach rapowych. Takie wskazanie pozwala nie wybierać między utworami Dylana czy Joni Mitchell a np. taką perełką jak „Clay Pigeons" Blaze'a Foleya, w której również udało się zakląć kawałek duszy tego kraju.

Film Ameryki? Pewnie trudniej byłoby mi utożsamiać się z dziennikarstwem bez „Wszystkich ludzi prezydenta" – ale i „Dwunastu gniewnych ludzi", i „Hair", i „Co się wydarzyło w Madison County", i „Dym" odegrały na różnych etapach życia ważną rolę.

Książka Ameryki? Skoro wspomniałem „Dym", wypada zacząć od „Trylogii nowojorskiej" Paula Austera, ale dość już redaktorskiej wyliczanki – ciekawi jesteśmy przede wszystkim Państwa wyborów; wskażcie w mediach społecznościowych

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL
ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 71
SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl fbbd995f95

najogólniej – dotyczy tego, czy pierwotne odczytanie Ewangelii jest ostateczne, czy też mamy iść dalej, wciąż na nowo ją odczytywać. Kościół, który ma opinię raczej wstrzemięźliwego w przyjmowaniu nowości, jest jednak za nieustannym zgłębianiem pomysłu Pana Boga. Bez ostentacji, nie wszystko jednocześnie, jednak zmienia (doskonali, precyzuje, oczyszcza) swoje nauczanie, sposób rozumienia człowieka i rozumienia siebie.

Jeżeli przyjmujemy, że Bóg czuwa nad swoim Kościołem, trudno wyznaczyć granice owej czujności. Ludzkie błędy, nawet ludzkie grzechy nie są dowodem przeciwnym. Jako społeczność złożona przecież z ludzi, Kościół nie jest wolny od grzechów ani tym bardziej od pomyłek. Ciśnienie aktualnego myślenia, ludzkie, nie zawsze najszlachetniejsze motywy nie omijają nawet papieży. Nie mówiąc o słabościach i grzechach. W dobrej czy złej wierze, w ciągu lat długiej historii działały w Kościele różne siły, a on mimo wszystko prowadził ludzi do świętości. Nie wchodząc w szczegóły powiem tylko, że jeśli dziś ufam Kościołowi, to właśnie dlatego, że niezależnie od błędów i odchodzenia od nauki Ewangelii, zawsze prowadził ludzi do świętości.

Wystawiona na mnóstwo prób samoświadomość Kościoła wciąż się więc oczyszcza, konfrontując swoje nauczanie z nauczaniem swego mistrza, Jezusa Chrystusa. Błędem, jak sądzę, lefebrystów jest chęć zatrzymania tego na jakimś etapie historii. Oczywiście dla tych, którzy widzą w Kościele coś w rodzaju muzeum, jest to kuszące, ale Kościół to nie muzeum – to żywy organizm, który wciąż się reformuje i zmienia. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

amerykańskie dzieła, które dla Was stały się najważniejsze.

„To okropne, że druga kadencja Trumpa zbiegła się z obchodami 250-lecia powstania USA" – twierdzi **SEAN WILENTZ** w dziale Świat, ale może nie ma racji; może właśnie w czasie rządów takiego prezydenta łatwiej powiedzieć „sprawdzam" sile amerykańskich mitów. Czy ona faktycznie słabnie, jak twierdzi **MACIEJ JARKOWIEC** w eseju otwierającym to wydanie?

Skupiam się na kulturze, bo mimo określającego jej geograficzną przynależność przymiotnika umożliwia ona przekraczanie granic – nawet tych pilnie strzeżonych przez służby migracyjne. **CLARE CAVANAGH** opowiada, ile dało jej tłumaczenie wierszy Szymborskiej. „Dzięki niej zaczęłam rozumieć, że gdy myślisz, że chodzisz po znajomej ziemi, to ta ziemia wcale nie jest znajoma. Ona jest obca, należy do obcej kultury (...) przecież tam, gdzie mieszkamy teraz, wszystkie amerykańskie nazwy – Missisipi, Michigan, Massachusetts, Milwaukee – to są indiańskie imiona".

„Przyznając oficjalnie, że kraj powstał kosztem eksterminacji, Amerykanie ryzykowaliby rozpad narodowej tożsamości" – pisze Jarkowiec. Na szczęście mamy kulturę, która pomieści wszystko. Kulturę i ludzkie losy, które wciąż da się opowiedzieć bez polityki – matka Williego Nelsona skądinąd pochodzi z plemienia Czirokezów. ©℗

Michał Okoński, zastępca redaktora naczelnego „TP", autor książek o futbolu.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

MICHAŁ KUŹMIŃSKI
Cała prawda o Ozempicu: co zrobił z ideą „ciałopozytywności", czy rzeczywiście jest cudownym lekiem i kto na nim nie skorzysta.

DR ALEKSANDRA PIEJKA
W grupie młodych dorosłych zwiększa się poczucie samotności. Dlaczego tak się dzieje?

BEATA CHOMĄTOWSKA, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Ciąg dalszy reporterskiego cyklu o traumie sanatoryjnej: jak sobie poradzić z krzywdą sprzed lat?

MAGDA WOLNA DLA „TP"

ELIZA KĄCKA
Dlaczego surrealizm znów stał się modny i co nam to mówi o dzisiejszym świecie.

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl fbbd995f95

OBRAZ TYGODNIA

22–28 CZERWIEC 2026

REKORDOWE UPAŁY: w Słubicach odnotowano 40,5 st. C, co stanowi najwyższy wynik w historii polskich pomiarów. W całej Europie w minionym tygodniu odnotowano ponad 1,3 tys. dodatkowych zgonów łączonych z wysokimi temperaturami – informuje Światowa Organizacja Zdrowia; nasz kontynent ociepla się ponad dwa razy szybciej, niż wynosi średnia globalna. ▪▪▪ **UKRAIŃSKI PANTEON NARODOWY**, nad którego budową ma pracować parlament w oparciu o projekt Wołodymyra Zełenskiego, zawiera symboliczne upamiętnienie dowódcy UPA Romana Szuchewycza. „Nikt nie będzie nam mówił, jakich bohaterów szanować" – mówi prezydent Ukrainy, co zapowiada dalszą eskalację konfliktu z Polską. ▪▪▪ **GDAŃSKA KONFERENCJA** na rzecz Odbudowy Ukrainy przyniosła blisko 200 umów na kwotę blisko 10 mld euro; na czele delegacji ukraińskiej stanęła premier Julia Swyrydenko; prezydent Zełenski nie przyjechał. ▪▪▪ **TRUMP O ZEŁENSKIM:** „radzi sobie całkiem nieźle". To całkiem niezła ocena w ustach kogoś, kto orzekał, że ukraiński przywódca „nie ma kart". Ukraińskie drony dalekiego zasięgu nadal atakują rosyjskie kompleksy zbrojeniowe i paliwowe daleko za linią frontu, Kijów wymusił również na Białorusi wyłączenie przekaźników wykorzystywanych do sterowania rosyjskimi bezzałogowcami. ▪▪▪ **TRZĘSIENIE ZIEMI** w Wenezueli spowodowało śmierć ponad 3 tys. osób, ale liczba ofiar wzrośnie; ONZ szacuje liczbę zaginionych na ok. 50 tys. ▪▪▪ **POROZUMIENIE USA-IRAN** jest w zasadzie codziennie naruszane (podobnie jak ramowe porozumienie między Libanem, Izraelem i USA), ale minister energii USA Chris Wright twierdzi, że przepływ tankowców przez cieśninę Ormuz wrócił do poziomu sprzed wojny; niemal do poziomu sprzed wojny wróciły też ceny ropy. ▪▪▪ **NA MUNDIALU** liczba drużyn biorących udział w turnieju zmniejszyła się z 48 do 32. W fazie grupowej odpadły m.in. Urugwaj i Szkocja, sensacyjnie awansowała Republika Zielonego Przylądka, a Leo Messi w pierwszych trzech meczach zdobył już sześć bramek. ▪▪▪ **KRÓL KAROL III** w ostatnim roku finansowym zapłacił niemal 13 mln funtów podatku, co – według szacunków BBC – mieści go w pierwszej setce płacących najwyższe podatki Brytyjczyków. Sumy uiszczone przez monarchę fiskusowi Buckingham Palace podał po raz pierwszy w historii. ▪▪▪ **SZPITAL POŁUDNIOWY** w Warszawie na celowniku prokuratury i mediów: były ordynator placówki stwierdził w wywiadzie dla Kanału Zero, że w wyniku błędów lekarskich dochodziło tam do śmierci pacjentów; wcześniej ujawniono, że tamtejszy koordynator SOR-u zarobił 1,6 mln zł i zorganizował w placówce szybką ścieżkę obsługi dla polityków KO. Prezydent Warszawy odwołał zarząd i radę nadzorczą szpitala. ▪▪▪ **MISTRZOWIE MOWY POLSKIEJ** to m.in. Alicja Majewska i kard. Grzegorz Ryś. Wśród nominowanych do tytułu w ramach tej ogólnokrajowej akcji znaleźli się w tym roku również Joanna Szczepkowska i Dariusz Rosiak. ©℗

LUCA MATTIA VIGILANTE / FORUM

POWYŻEJ: Lato w Warszawie, Park Wodny Moczydło, 28 czerwca, 2026 r.

UPAŁ, CZYLI STRESS TEST

Problem nie w tym, że temperatury są coraz wyższe, tylko w tym, że przez zmianę klimatu te zjawiska będą coraz częstsze i dłuższe. A Polska nie jest na to przygotowana.

JAKUB WIECH

To już oficjalne: 28 czerwca 2026 r. padł polski rekord ciepła. Stacja pomiarowa w Słubicach podała odczyt 40,5 st. C, co zostało uznane za najwyższą temperaturę w historii pomiarów – choć niektórzy uznają ten wynik za równy kwestionowanemu rekordowi z 1943 r. Tak czy siak: przetaczająca się

eprasa.pl fbbd995f95

przez Europę fala upałów i u nas przyniosła rekordowe owoce. A wraz z nimi przyszła refleksja, że państwo nie jest na takie zjawiska przygotowane. I nie chodzi nawet o samą wysokość temperatury.

BĘDZIE GORZEJ | Jeśli takie zjawiska pojawiałyby się rzadko, można byłoby przejść nad nimi do porządku dziennego. Jednak klimatolodzy są zgodni: dni upalnych (tj. takich z temperaturą powyżej 30 st. C) będzie przybywać. Trend już jest widoczny: w ciągu ostatnich 60 lat liczba dni upalnych zwiększyła się nad Wisłą trzykrotnie.

Dla przykładu: w samym 2024 r. na stacji pomiarowej Warszawa Okęcie zanotowano tyle dni upalnych, ile łącznie w latach 1972-1981. Z kolei w roku 2015 na stacji Opole odnotowano aż 37 dni upalnych – czyli ponad miesiąc z temperaturami powyżej 30 st. C, najwięcej w historii stacji.

Zmiana klimatu nie jest oczywiście zjawiskiem liniowym; nie przebiegnie tak, że każdy kolejny rok będzie koniecznie cieplejszy od poprzedniego. Rekordy temperaturowe też nie muszą trafiać się co chwilę. Ale to nie zmienia faktu, że długie epizody gorąca staną się nową normalnością. Czy jesteśmy na ten scenariusz gotowi? Doświadczenia ostatnich dni wskazują, że nie.

Ile kosztuje gorąco

Ograniczanie tempa i skutków ocieplenia klimatu kosztuje? To prawda. Rzecz w tym, że brak reakcji również będzie brzemienny w koszty.

Międzynarodowa Organizacja Pracy szacuje, że do 2030 r. wysokie temperatury zmniejszą produktywność globalnej gospodarki o ekwiwalent ok. 80 mln pełnoetatowych miejsc pracy (w przeliczeniu na godziny pracy).

W Europie, która jest najszybciej ocieplającym się kontynentem, zmiany klimatyczne do końca tego stulecia zabiorą od 5 do 10 proc. z prognozowanego wzrostu PKB krajów basenu Morza Śródziemnego (prognoza Europejskiego Banku Centralnego).

W przypadku Europy Środkowej spadki sięgną 2-5 proc. PKB, głównie w sektorze rolnym i przetwórstwie spożywczym. ©℗ MR

GORĄCY KLIMAT, GORĄCY ZIEMNIAK | Fala upałów działa jak *stress test*. Tak jak pandemia obnażyła słabości ochrony zdrowia, a rosyjska agresja na Ukrainę pokazała granice bezpieczeństwa energetycznego, tak utrzymujące się długo wysokie temperatury sprawdzają odporność całego państwa. Jej budowanie, zwiększanie i przekształcanie powinno leżeć w obrębie polityki klimatycznej – i tu pojawia się pierwszy problem, bo obecnie jest to w Polsce temat tabu.

Sprawy zmiany klimatu zostały bowiem wtłoczone w ramy wojny kulturowej, rozpętanej na użytek wyborów. Wszelkie inicjatywy w tym zakresie są obarczone tak dużym ryzykiem politycznym, że nawet projekty adaptacyjne mogą leżeć odłogiem. A tymczasem adaptacja jest potrzebna praktycznie w każdym sektorze.

Jednym z najbardziej jaskrawych przykładów są budynki. Przez dekady projektowano je z myślą o ograniczaniu strat ciepła zimą, a nie ochronie przed przegrzewaniem latem. Tymczasem przy coraz częstszych falach upałów równie ważne staje się chłodzenie – zarówno aktywne (czyli klimatyzacja czy pompa ciepła), jak pasywne (odpowiednie zacienienie, rolety zewnętrzne, wentylacja nocna, zadaszenie z wysokim albedo).

Wiele z tych rozwiązań mogłaby upowszechnić implementacja unijnej dyrektywy budynkowej, która kładzie nacisk na izolację termiczną budynków. Ale w Polsce dyskusja o tym akcie została zdominowana przez polityczne strachy i hasła o rzekomym przymusie remontów mieszkań (którego w dyrektywie nie ma). Tak więc o wykorzystaniu jej możliwości w najbliższym czasie można zapomnieć.

Podobnie wygląda sytuacja z gospodarką wodną. Długotrwałe upały niemal zawsze idą w parze z suszą, a Polska i tak od lat zmaga się z tym zjawiskiem. Kluczowym rozwiązaniem w tym zakresie jest zatrzymanie wody tam, gdzie spadła wraz z opadem. Ale w polskiej polityce od lat trwa spór o zakres działań retencyjnych, czyli np. renaturyzację rzek, gdyż kolidują one z planami – a raczej: marzeniami – w zakresie transportu wodnego. Tymczasem, jak podawał Polski Instytut Ekonomiczny w 2020 r., żegluga rzeczna wymaga utrzymywania względnie stabilnych poziomów wody, co w warunkach deficytu wodnego oznacza dodatkową presję na i tak ograniczone zasoby.

W patowej sytuacji może być również adaptacja miast, która oznacza konieczność przebudowy przestrzeni: zwiększania udziału zieleni, ograniczania betonowania, tworzenia cienia, korytarzy przewietrzania itp. Każda taka zmiana oznacza konflikt o przestrzeń, zwykle kosztem miejsc parkingowych i pasów ruchu. I tu sprawa staje się ryzykowna: po odwołaniu Aleksandra Miszalskiego z funkcji prezydenta Krakowa m.in. ze względu na Strefę Czystego Transportu, część włodarzy miast może dojść do wniosku, że bezpieczniej utrzymać *status quo*, niż ryzykować emocje na rzecz miejsca dla drzew czy klombów.

FIZYKA NIE POCZEKA | W Polsce udało się wciągnąć klimat do sporu tożsamościowego, w którym każde działanie staje się deklaracją światopoglądową. Problem w tym, że fizykę atmosfery te podziały nie interesują. W efekcie adaptacja klimatyczna, która powinna być technicznym procesem zarządzania ryzykiem, zaczyna nad Wisłą ocierać się o kwestię ideologiczno-religijną. To tworzy sytuację paradoksalną: im bardziej rośnie potrzeba dostosowania się do nowego klimatu, tym trudniej ją realizować. Tak więc kluczową konkluzją z upalnego stress testu może być to, że zmiana klimatu nie przejmuje się sondażami. ©

eprasa.pl fbbd995f95

Zełenski idzie na zwarcie

WOJCIECH KONOŃCZUK

Od końca maja w stosunkach polsko-ukraińskich utrzymuje się wysokie napięcie. Zaczęło się od decyzji prezydenta Zełenskiego o nadaniu jednostce wojskowej imienia „Bohaterów UPA". W odpowiedzi prezydent Nawrocki pozbawił go Orderu Orła Białego, a Zełenski zbojkotował konferencję o odbudowie Ukrainy w Gdańsku. Działaniom na szczeblu władz towarzyszą bezprecedensowe emocje społeczne z obu stron.

Teraz, 28 czerwca, Zełenski postanowił eskalować ten spór: skierował do parlamentu projekt ustawy o Panteonie Narodowym. Zakłada on wzniesienie miejsca pamięci, gdzie będą przenoszone prochy najwybitniejszych Ukraińców, poczynając od władców dawnej Rusi. W projekcie jest zapis mówiący wprost, że w Panteonie będą uhonorowani także „główni dowódcy" UPA i ci z dowódców UPA, którzy „zajmowali stanowiska z nimi równorzędne".

Oznacza to, że „z urzędu" trafi tam Roman Szuchewycz, a może trafić Dmytro Kłaczkiwski (dowódca UPA-Północ), obaj są odpowiedzialni za zbrodnie na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Wprawdzie po śmierci Szuchewycza służby sowieckie rozsypały jego prochy, a miejsce pochowania Kłaczkiwskiego jest nieznane, ale projekt przewiduje w takim przypadku wzniesienie w Panteonie symbolicznych grobów.

Ogłaszając projekt, Zełenski stwierdził, że „nikt i nigdy nie będzie nakazywać nam, jak żyć, jak mówić, kogo lubić, komu być wdzięcznym i jakich bohaterów szanować". Nie ma wątpliwości, że na myśli miał Polskę.

Dlaczego to robi? Sądzę, że co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, władze Ukrainy zrozumiały, jak wielkim instrumentem konsolidacji społecznej jest polityka historyczna i bronienie (w ich przekonaniu) interesów Ukrainy w relacjach z Polską. W trwającym sporze Ukraińcy w ogromnej większości stanęli bowiem po stronie Zełenskiego. Po drugie, Kijów zaczyna trudne negocjacje akcesyjne z UE. Nie muszą skończyć się sukcesem. W tej sytuacji dla Zełenskiego wygodne będzie ustawianie Polski w roli blokującego wejście Ukrainy do UE, rzekomo ze względu na spory o historię.

Tyle tylko, że zmierzając do honorowania na poziomie ogólnonarodowym co najmniej Szuchewycza, Kijów idzie na zwarcie nie tylko z Polską, ale też z Białorusią, Izraelem i Unią. Przypomnijmy, że zanim Szuchewycz trafił do UPA, był kolaborantem niemieckim, w 1941 r. jednym z dowódców ukraińskiego batalionu „Nachtigall", który wziął udział w pogromie lwowskich Żydów. Potem był jednym z dowódców Batalionu Policyjnego nr 201, który dokonał licznych zbrodni na Białorusi. Jako dowódca UPA wydawał rozkazy zabijania polskich cywilów.

Czczenie ludobójcy i usprawiedliwianie ciemnych stron biografii Szuchewycza jego późniejszą walką z Sowietami – to niemożliwe do usprawiedliwienia salto moralne. ©

WWW.PRESIDENT.GOV.UA

Podczas uroczystości na terenie kijowskiej Ławry Wołodymyr Zełenski ogłosił, że skierował do parlamentu projekt ustawy o Panteonie Narodowym. 28 czerwca 2026 r.

Chłopiec w Porsche

MAREK KĘSKRAWIEC

Szpital Południowy miał być oczkiem w głowie Rafała Trzaskowskiego, ale przyniósł kryzys, który praktycznie kasuje prezydenta stolicy z wielkiej polityki – zwłaszcza po ujawnieniu, jak mocno działacze KO obsiedli szpitale i spółki miejskie. Fakt, że obecność w ich towarzystwie złotego chłopca w Porsche Panamera nie wzbudziło niesmaku, mówi wiele o sposobach wykuwania partyjnych kadr i ich stosunku do służby publicznej.

Sprawa ta pociągnie w dół cały rząd i samego premiera, którzy według ostatnich badań CBOS (jeszcze sprzed afery) mają poparcie podobne jak KO. Ładnie wygląda na wykresach, ale zmierza autostradą ku doświadczeniom PiS z jesieni 2023 r. A jeśli weźmie się jeszcze pod uwagę sposób, w jaki ekipa Donalda Tuska próbuje zarządzać tą aferą, katastrofa wydaje się niemal pewna. W premierze musiałby obudzić się geniusz, by zdołał jej uniknąć.

Fakt, że 28-letniemu lekarzowi bez specjalizacji udało się zarobić w jednym szpitalu 1,6 mln zł, i to bez wykonania części pracy – niesamowicie kontrastuje z zapaścią NFZ. Tą studnią bez dna, w którą pompuje się kolejne miliardy po to, by pacjenci coraz dłużej czekali na rezonans i gastroskopię, a część lekarzy wystawiała coraz wyższe faktury. Najgorsze jest to, że zupełnie nie widać, by rząd miał pomysł, jak ukrócić te patologie, poza mglistym planem śledzenia kontraktów „po peselach" czy pomysłem mechanicznego określenia, ile ma wynosić górna granica lekarskich zarobków – bez ruszenia absurdów w wycenach części procedur.

Jak ma się od tego poprawić pacjentom, trudno orzec. W tak prosty sposób nie da się na pewno ukrócić głównych grzechów systemu: feudalnej struktury w klinikach, schematu wpychania pacjentów w państwowe kolejki dzięki prywatnym wizytom czy też szantażowania dyrektorów szpitali przez specjalistów: „przyjdę do pracy na trzy dni w tygodniu, ale zapłacisz mi za pięć".

W tym wszystkim szczególnie uderza długotrwała dezercja z pola boju ministry zdrowia oraz tragiczne próby przekierowania uwagi z głównego podejrzanego na sygnalistę, w czym niestety wziął udział mecenas Jacek Dubois, wiceprzewodniczący Trybunału Stanu. Nie wygląda to wszystko dobrze, nawet jeśli weźmie się pod uwagę, że problemy ochrony zdrowia piętrzą się od lat, a część patologii, w tym płacowe eldorado, stworzył PiS w czasie pandemii. Jeśli dodamy do tego butę bijącą z wypowiedzi prezesa Naczelnej Izby Lekarskiej, to mamy przepis na populistyczny temat kampanii: kolejne starcie ludu z elitami. Zapłacimy za to wszyscy. ©℗

eprasa.pl fbbd995f95

Szkoła sprawia, że przestajemy lubić książki

DUŠAN PETKOVIĆ / ADOBE STOCK

CZAS WOLNY ▪ Zaczęło się od tego, że rodzice małych dzieci prowadzili dzienniczki, w których notowali, w jaki sposób spędzają ze swoimi dziećmi wieczory oraz weekendy. Następnie, po analizie zgromadzonych notatek i zdjęć, badacze przeprowadzili z rodzinami (głównie mamami) szereg rozmów. W ten sposób Instytut Książki opracował raport, który pokazuje, co nas motywuje do rodzinnego czytania, a także jakie książki są szczególnie atrakcyjne dla naszych dzieci. Wnioski płynące z badań powinny trafić przede wszystkim do Ministerstwa Edukacji.

W warstwie deklaracji mamy pełną zgodę – jesteśmy przekonani, że czytanie jest ważne dla rozwoju dzieci. Słowem: powinniśmy czytać i zachęcać maluchy do sięgania po książki. Co w takim razie stoi na przeszkodzie? Otóż wokół czytania zbudowaliśmy mnóstwo fałszywych przekonań. Mamy na przykład głęboko zakorzeniony obraz „właściwego czytania", podczas którego dziecko jest biernym słuchaczem: nie zadaje pytań, nie przerywa, a czasem – znudzone – nawet nie prosi o zmianę historii. Nikt nam nie powiedział, że dociekania i wątpliwości w trakcie lektury (krytyczne podejście do opowieści) są kluczowym elementem obcowania z tekstem.

Co więcej, jedną z największych przeszkód wyrobienia nawyku sięgania po książki dla przyjemności jest przymus poznawania szkolnych lektur. „Trema i strach" – takie określenia pojawiają się w związku z książkami, które proponuje naszym dzieciom Ministerstwo Edukacji. Dlaczego? Ponieważ lektury szkolne są „zbyt trudne i zbyt odległe od doświadczeń dzieci i młodzieży".

Dzieci lubią książeczki, które są adekwatne do ich zmieniających się nieustannie zainteresowań. Jeśli nie pozwolimy im, także podczas lekcji, czytać o zwierzętach, księżniczkach, kosmosie czy sporcie, książki będą coraz częściej przegrywać z grami i kreskówkami. Dzieci lubią też powracać do ulubionych bohaterek i bohaterów (stąd popularność licznych serii), szczególnie gdy postaci, które spotykają w książkach, są do nich podobne. To jasne: lubimy się utożsamiać z bohaterami swoich książek. Ma to również znaczenie dla naszego rozwoju – pomaga zrozumieć samych siebie, dynamikę relacji z innymi ludźmi, wyzwania codzienności.

Kolejna istotna sprawa, która znalazła potwierdzenie w raporcie Instytutu Książki, to sposób, w jaki w ogóle trafiamy na książki. Otóż ich zakup odbywa się głównie „przy okazji". Książki kupujemy wtedy, gdy natrafiamy na nie w drodze ze szkoły czy przedszkola. To dlatego najczęściej nabywamy je w marketach (podczas zakupów spożywczych) oraz Empikach (kiedy odwiedzamy galerie handlowe). Empik, dzięki umiejętnej ekspozycji książek, minimalizuje też w rodzicach poczucie zagubienia pośród licznych nowości.

Wniosek: bardzo brakuje osób czy instytucji, które wzięłyby na siebie rolę kuratorów i wskazywałyby rodzicom wartościowe tytuły (ciekawa rzecz: poleceniom z social mediów *de facto* nie ufamy). Nic dziwnego, ponieważ pozwoliliśmy na zamykanie kameralnych księgarni w naszych miastach, zniknęli także ludzie, którzy wiele lat taką właśnie rolę pełnili.

©℗ **MONIKA OCHĘDOWSKA**

BARTOSZ MINKIEWICZ

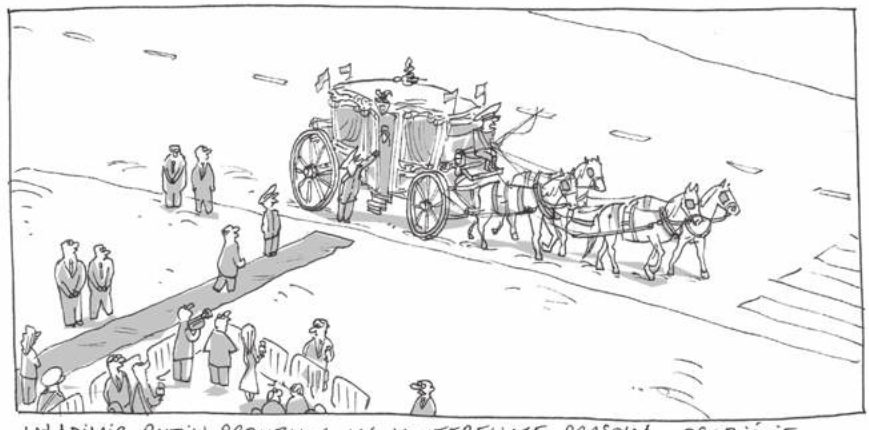

WŁADIMIR PUTIN PRZYBYWA NA KONFERENCJĘ PRASOWĄ, OSOBIŚCIE ZAPEWNIĆ, ŻE W ROSJI NIE MA ŻADNYCH PROBLEMÓW Z BENZYNĄ.

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl fbbd995f95

TEMAT TYGODNIKA

USA, 250 LAT MITU

Miłość do Stanów Zjednoczonych zrobiła się jakby trudniejsza. Ale nawet gdyby zawinęła się stąd US Army, zostanie nam „Stranger Things".

MACIEJ JARKOWIEC

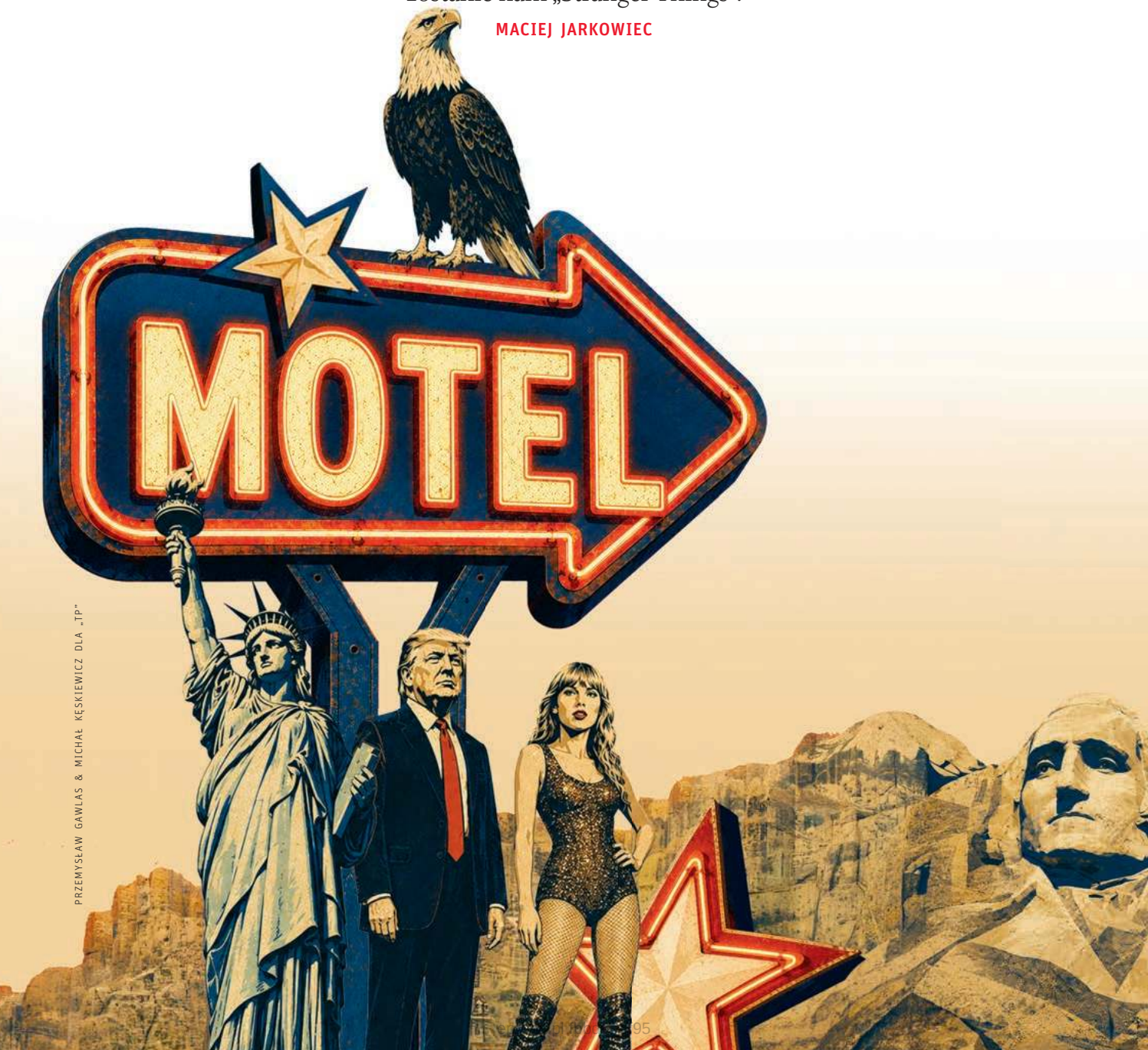

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

W czerwcu 1962 r. mój ojciec, wówczas 17-letni, pierwszy raz w życiu obejrzał amerykański film. W kinie Metalowiec w Grudziądzu, od dawna nieistniejącym, a w owym czasie działającym pod opieką Związku Zawodowego Pracowników Pomorskiej Odlewni i Emalierni, grali western.

Gdy John Wayne był Ameryką

Tata zapamiętał tłum przed budynkiem, kotłujący się w bitwie o bilety. Szeryfa, który ratuje świat, czyli fikcyjne miasteczko Rio Bravo, zagrał John Wayne, o którym pewien krytyk napisze kiedyś: „On nie reprezentuje na ekranie Ameryki. On jest Ameryką".

Westerny z Weyne'em, na jakie do dziś regularnie trafia w telewizji, towarzyszą mojemu ojcu przez całe życie, podtrzymując jego wiarę w amerykański mit. Nie tylko jego, posłuchajmy Joan Didion: „Kiedy John Wayne przejechał konno przez moje dzieciństwo, a być może również przez twoje, na zawsze określił kształt naszych marzeń".

Typowy bohater wykreowany przez Wayne'a jest (prawie) zawsze opanowany, honorowy i bezkompromisowo oddany służbie publicznej. Ucieleśnia więc cechy, które częściej chcielibyśmy odnajdywać w sobie, w bliźnich i, być może, w najpotężniejszym (do niedawna) imperium na planecie.

Indiana Jones też nosił kapelusz

Przez dekady Hollywood było najskuteczniejszą maszyną do rozprzestrzeniania amerykańskiej mitologii na całym globie. Powstrzymać jej nie potrafiła nawet cenzura za żelazną kurtyną, dokąd hollywoodzkie hity, jak gdyby dla zachowania pozorów, docierały z kilkuletnim opóźnieniem. Rodzice mojej żony do dziś świętują rocznicę pierwszej randki, na którą udali się do kina, żeby obejrzeć „Obławę" z Marlonem Brando w roli głównej. Brando zagrał oczywiście szeryfa.

Pokolenie później niżej podpisany, w wieku sześciu lat, pierwszy raz zobaczył ucieleśnienie Ameryki na wielkim ekranie: facet w kapeluszu dzielnie rozwalał hitlerowców, aż głowa jakiegoś Niemca wpadła pod rozpędzone śmigło. Tę scenę z filmu „Indiana Jones i poszukiwaczy zaginionej Arki" zapamiętałem na całe życie.

To western i jego pochodne (nie przypadkiem Indiana Jones nosi kapelusz przypominający kowbojski) przez dekady był najbardziej nośnym (i dochodowym) gatunkiem Hollywood. Zanim świat podbił jazz, blues, Elvis Presley, Coca-Cola albo McDonald's, John Ford nakręcił „Dyliżans" (1939), obsadzając młodego Johna Wayne'a w roli rewolwerowca Ringo Kida i – co najważniejsze – wyprowadzając kino w plenery.

Grecy mieli „Iliadę", Amerykanie Forda

Filozof Robert Pippin napisał, że western zamienił jedną z ważniejszych dla amerykańskiej tożsamości opowieść – o zdobyciu Zachodu – w uniwersalną epikę zrozumiałą dla wszystkich. „Grecy mieli »Iliadę«, Żydzi Stary Testament, Rzymianie »Eneidę«, Niemcy »Pieśń o Nibelungach«, Skandynawowie sagi, Hiszpanie »Cyda«, Brytyjczycy »Legendy arturiańskie«. Amerykanie mają Johna Forda".

Ford filmował w Monument Valley, na pograniczu Arizony i Utah. Jako pierwszy pokazał ogrom i piękno zdobytej ziemi, nadając jej mityczny, niemal biblijny wymiar. Inni twórcy poszli jego śladem i wkrótce westerny podbiły świat.

Gwiaździste Sztandary i niewidoczne podpisy

W rotundzie Muzeum Archiwów Narodowych w Waszyngtonie oglądam wielką kartę spoczywającą pod pancernym szkłem filtrującym promienie UV. Pergamin ze skóry cielęcej sprzed 250 lat, wyblakłe, pochyłe pismo, 56 podpisów, większość z nich – choćby Thomasa Jeffersona czy Benjamina Franklina – zatarta, ledwie widoczna. Po obu stronach gabloty gwiaździste sztandary i mundurowi.

– Jak to jest, strzec Deklaracji Niepodległości? – pytam tęgą strażniczkę.

– Wspaniale.

Nieprzerwana kolejka, od świtu do zmierzchu, jeden za drugim, jeden zagląda przez ramię drugiego, dzieci, dorośli i staruszkowie. W ciszy. Z czcią, z jaką studiuje się Pismo.

Amerykański paradoks polega na tym, że choć to nowoczesne idee Oświecenia dały podwaliny dokumentom założycielskim, wykwitł z nich patriotyzm, który jest religijny. Podpisana 4 lipca 1776 r. Deklaracja Niepodległości i przechowywana w tej samej sali Archiwów Konstytucja szybko zyskały rangę świętych prawd ustanowionych i spisanych przez ojców założycieli, powołujących do życia naród obdarowany (obarczony?) boską misją.

Dwie minuty Abrahama Lincolna

Już w 1630 r., długo przed powstaniem USA, na pokładzie „Arbellii", jednego ze statków wiozących purytanów do Nowej Anglii, prawnik John Winthrop wygłosił przemówienie, w którym stwierdził, że nowa kolonia ma być jak „miasto na wzgórzu", na które patrzą oczy całego świata. ↦

prasa.pl/bbd995f95

W roku 1863, w czasie wojny domowej, która omal nie unicestwiła Stanów Zjednoczonych, Abraham Lincoln w swej najsłynniejszej (choć ledwie dwuminutowej) mowie, odwołując się do Boga, biblijnym językiem przywołał wyzwoleńczą misję, jaką Ameryka odgrywa jakoby w świecie. Poległych żołnierzy spod Gettysburga obsadził w roli chrystusowej ofiary na rzecz ludzkości.

W ostatnim stuleciu wszyscy prezydenci wyznawali mesjanizm zdefiniowany przez Winthrope'a i Lincolna, nagminnie nazywając USA najwspanialszym narodem na ziemi. Wyjątek stanowił Jimmy Carter, który zakwestionował amerykańską mitologię m.in. w wystąpieniu z 1979 r., nazwanym później „mową o kryzysie zaufania". Wezwał Amerykanów do autorefleksji, zwracając uwagę na moralną słabość amerykańskiej wspólnoty. Rok później z kretesem przegrał wybory.

Co Ronald Reagan mówił o rdzennych

W jednym z największych wyborczych triumfów w historii (489 do 49 w głosach elektorskich) pokonał go Ronald Reagan. Przystojniak urodzony w mieszkaniu nad piekarnią w maleńkim Tampico w stanie Illinois, zanim został rzecznikiem i ambasadorem General Electric, jednej z największych korporacji świata, a później gubernatorem najbogatszego stanu USA, Kalifornii, a później prezydentem największego imperium, był przez kilka dekad wziętym aktorem w Hollywood. Zagrał w ponad 50 filmach, również w wielu westernach. Wcielił się choćby w rolę George'a Armstronga Custera („Szlak do Santa Fe", 1940, reż. Michael Curtiz), legendarnego dowódcy w tzw. wojnach indiańskich, w których Stany Zjednoczone zgładziły opór Pierwszych Narodów i rozciągnęły się od Atlantyku po Pacyfik.

Jako prezydent Reagan odmawiał spotkania z delegacją rdzennych Amerykanów. Komentując trudną sytuację w rezerwatach powiedział: „Być może popełniliśmy błąd. Być może nie powinniśmy byli im pobłażać w tym, że chcą pozostać przy takim prymitywnym stylu życia".

Rambo, który obalił komunizm

Reagan jest drugim obok Johna Wayne'a amerykańskim idolem mojego ojca. Tata nie jest w tym oryginalny. Wielu Polaków z jego pokolenia, członków albo sympatyków Solidarności, w latach 80. żywiło nadzieję, że Ameryka w taki czy inny sposób pomoże nam wyswobodzić się spod jarzma znienawidzonej komuny.

Prezydent USA idealnie tę nadzieję ucieleśniał. Do globalnej polityki wkraczał z hollywoodzkim przesłaniem: nie lękajcie się, bo dobro zwycięża i co by się nie działo, *happy end* gwarantowany jest w cenie biletu. Jego ulubioną figurą retoryczną było, bezpośrednio nawiązujące do Winthrope'a, określenie „świetliste miasto na wzgórzu". Ameryka nie tylko daje przykład, ale też radośnie, z firmowym reaganowskim uśmiechem na ustach, pokonuje złoczyńców. Niczym John Wayne w „Rio Bravo".

Albo Sylwester Stallone, który w „Rambo" ratował amerykańskich jeńców w Wietnamie, przy okazji unicestwiając sowiecko-wietnamskie bataliony i wygrywając dla Ameryki dawno przegraną wojnę. W schyłkowym PRL-u powielane po tysiąckroć na taśmach VHS hity ze Stallone'em utrwalały nasze przekonanie o wyższości mitologii amerykańskiej nad sowiecką.

Jak Wałęsa rozmawiał z Robertem De Niro

W tym samym czasie, kiedy oglądaliśmy czwartą część opowieści o Rockym, w której amerykański Walczak rozkwaszał sowieckiego pięściarza Ivana Drago, Reagan spotykał się na szczytach z Michaiłem Gorbaczowem. Reaganowska strategia wyścigu gospodarczego i zbrojeniowego sprawiła, że Sowieci wylewali siódme poty. Gorbaczow przyjeżdżał na spotkania zepchnięty do narożnika. Wkrótce USA wygrały zimną wojnę. Nieco później na Trakcie Królewskim w Warszawie stanął pomnik Ronalda Reagana.

We wrześniu 1989 r., gdy mur w Berlinie jeszcze stał, a w Polsce rządził już solidarnościowy gabinet Tadeusza Mazowieckiego, gdy to my przez chwilę dzierżyliśmy symbole, z pomocą których można całemu światu sprzedać opowieść o zwycięstwie wolności, nad Wisłę przyleciał Robert De Niro. Gwiazdor chciał z bliska zobaczyć pierwszy wyswobodzony kraj zza żelaznej kurtyny. Przed kinami, do których przyjeżdżał na spotkania, kłębiły się tłumy, jak kiedyś przed Metalowcem w Grudziądzu. Iście hollywoodzkim happy endem opowieści o tym, jak dzielni Polacy z pomocą Ameryki obalili komunę, było spotkanie De Niro z Lechem Wałęsą w siedzibie Solidarności przy Wałach Piastowskich w Gdańsku.

REKLAMA

eprasa.pl fbbd995f95

– Jest pan jednym z najsłynniejszych ludzi świata – powiedział Wałęsa.

– Pan też – odparł De Niro.

Za chlebem i Coca-Colą

Wiosną 1984 r., gdy Reagan prowadził już kampanię przed drugą kadencją (slogan: „Morning in America", poranek w Ameryce), gdy Michael Jordan, choć nie zagrał jeszcze ani jednego meczu w NBA, podpisał już kontrakt z firmą Nike, gdy Madonna nagrywała już album „Like a Virgin" – czyli kilka miesięcy po tym, gdy kończy się akcja pierwszego sezonu „Stranger Things" – w wieku siedmiu lat dotarłem z ojcem do Ameryki.

20 lat wcześniej wyemigrowała tam starsza siostra taty. A jeszcze wcześniej, na początku XX w., jego stryj, który odbył odyseję podobną do tej, w jaką dziś wyruszają uchodźcy z Afryki. Ze wsi zagubionej gdzieś na wschodzie pośród łąk dotarł konno lub pieszo do miasteczka, dalej koleją do portu i dalej parowcem napakowanym ludźmi, pod pokładem, w ciemnej kajucie z piętrowymi kojami, pośród szczurów, wiader z fekaliami, kałużami wymiocin i smrodu – do Nowego Jorku. I dalej do Detroit. Jak miliony Europejczyków w tamtym czasie, wierzył w amerykański sen.

Dla nas, przybyszów z Polski stanu wojennego, sen zmaterializował się najpierw na lotnisku JFK w Nowym Jorku pod postacią Afroamerykanina z Caritasu, który znał rosyjski, dzięki czemu mój ojciec nie musiał znać angielskiego, żeby zostać uroczyście powitanym w ojczyźnie wolności. Nasz opiekun był jasnym znakiem tego, że Ameryka jest zdolna zorganizować dosłownie wszystko, nawet – mówiąc językiem tamtych lat, wybaczcie – Murzyna gadającego po rusku.

W kolejnych dniach cieszyliśmy się licznymi artefaktami amerykańskiej przewagi cywilizacyjnej: półgalonowymi butlami Coca-Coli, kiściami bananów, koszulkami z Michaelem Jacksonem, transmisjami wrestlingu.

Pionierski znój i grzechotanie węży

Ojciec jednak przede wszystkim docenił powszechną dostępność pracy za dolary. Jako uchodźca, magister inżynier, uczęszczający na intensywny kurs angielskiego, podejmował się licznych proletariackich zajęć, takich jak kierowca osiemnastokołowca, pilarz, murarz, tragarz albo deratyzator. Każda robota dostarczała kolejnych niezbitych dowodów na to, że pionierski mit o ciężkiej pracy, jaką dochodzi się do dobrego, dostatniego życia, jest najprawdziwszą prawdą. Ojciec doświadczał jej na co dzień, pracując u boku etnicznych Niemców, Irlandczyków, Portorykańczyków, poznając ludzi z dziesiątek innych kultur zasuwających od rana do wieczora, albo popijając wino z Grekami w kanciapkach greckiej dzielnicy, którą przecinał wracając pieszo z pracy.

USA, gdzie dziś pracuje się statystycznie o wiele więcej niż np. w Unii Europejskiej, są krajem zbudowanym na harówie. Znój traperów i poszukiwaczy złota. Znój osadników opisany w klasykach amerykańskiej literatury.

Sięgnijmy po jeden z nich, być może mniej oczywisty: autobiograficzna seria „Domek na prerii" Laury Ingalls Wilder jest zapisem przetrwania wyszarpanego naturze, dzień za dniem, w głodzie, chłodzie, na przekór krwi i rozpaczy.

Wspomnijmy znój dziesiątek milionów przybyszów z Europy, takich jak stryj ojca, którzy na przełomie XIX i XX w. opuszczali najbiedniejsze wioski starego kontynentu, żeby dotrzeć do fabryk samochodów, stoczni, kopalni w Detroit, Baltimore, Pittsburghu. Znój Latynosów z imigranckiej fali pierwszych dwóch dekad XXI w.

Większość z nich dotarła do ziemi obiecanej nielegalnie, przez pustynię, prowadzona światłem księżyca i grzechotaniem węży. Jeden z nich, z którym jako dwudziestolatek prowadziłem nieskończone rozmowy za ladą pewnej pizzerii przy nowojorskim Broadwayu, przez siedem lat nie opuścił ani jednego dnia harówy, pracując siedem dni w tygodniu, 12 godzin na dobę.

Przy gorącym piecu do pizzy trzymała go mityczna siła dolara.

> Amerykańscy politycy podtrzymują religijny mit ziemi objawionej kiedyś w westernach. Ziemi, na której pionierską harówą zbudowano kraj od Atlantyku po Pacyfik. To trzeszczy.

Gorączka złota i gacie napchane „zielonymi"

Mój ojciec – po tym, gdy w latach 80. nasza emigracja skończyła się przedwcześnie z powodów zbyt skomplikowanych, by je tutaj opisać – kilkukrotnie wracał do Stanów. Za pracą. Dolary przewoził w zakładanym pod majtki własnej roboty bawełnianym pasie wyposażonym w specjalne kieszonki mieszczące zwitki zielonych banknotów. Za owe banknoty kupił domek pod miastem, malucha, meble, telewizor.

Poza gotówką przywoził sprzęt: narzędzia, termosy, przenośną lodówkę, walkmana. Niektóre z tych przedmiotów mam do dziś i na kilku wciąż widnieje niezatarta, dumna etykieta *Made in USA*. Relikwie mitu o amerykańskiej potędze przemysłowej.

Od kilku dekad żyjemy w erze *Made in China.* Gdy opowieść o niezawodnej amerykańskiej produkcji zostaje zapomniana (bo nie podtrzymuje jej żadna produkcja), słabnie też znaczenie dolara. Systematycznie zmniejsza się jego udział w globalnych rezerwach banków centralnych. Rosnące zadłużenie USA dalej podważa zaufanie do amerykańskiej waluty.

W jej miejsce wchodzi nowa, coraz silniejsza. Gdy ostatnie amerykańskie fabryki wyjeżdżały do Azji i Ameryki Łacińskiej, u nas skończyła się komuna. Po jej upadku po naszej stronie Atlantyku rozrosło się nowe cywilizacyjne imperium, nazwane Unią Europejską. Wkrótce wprowadziło własny pieniądz. Polacy i inni ubodzy Europejczycy, którzy przez stulecia odbywali podróż przez ocean, żeby dokopać się do złota albo napchać gacie „zielonymi", mogli nagle wsiąść w tani samolot i po godzinie, dwóch, wylądować w jednym z dziesiątek europejskich miast nęcących powszechnym dostępem do pracy za euro. Dla tzw. zwykłego człowieka z naszej części świata Ameryka niemal z dnia na dzień stała się zbędna. Okazało się, ↦

eprasa.pl fbbd995f95

↦ że *American Dream* nie trzeba spełniać w Nowym Jorku albo w Chicago, bo dużo łatwiej i szybciej można to zrobić w Dublinie lub w Utrechcie.

Widok z Mount Rushmore

W Deklaracji Niepodległości, kilkanaście akapitów poniżej stwierdzenia, że „wszyscy ludzie zostali stworzeni równymi", ojcowie założyciele przestrzegają przed „bezlitosnymi dzikimi Indianami, których znaną taktyką jest mordowanie ludzi bez względu na wiek, płeć i stan". Dehumanizacja Pierwszych Narodów miała jednoczyć przeciw nim nowy naród, bo wielu rdzennych liderów wchodziło w sojusze z Brytyjczykami, którzy obiecywali zablokowanie ekspansji osadników na zachód.

Myślę o rdzennych Amerykanach, wyjeżdżając z turystycznej mieściny Keystone w Dakocie Południowej. Dwupasmowa droga wypada z miasta i wijąc się między górami, prowadzi wprost pod jeden z najważniejszych pomników Ameryki. Jeden z najbardziej zdumiewających na świecie. Żeby wyrzeźbić w górskiej ścianie mierzące ponad 18 metrów głowy czterech prezydentów, trzeba było, z użyciem dynamitu, usunąć 450 tys. ton granitu. Zajęło to 14 lat.

Sześciometrowe nosy ojców założycieli

Dziś Mount Rushmore odwiedzają rocznie dwa miliony ludzi. W czasie kampanii prezydenckich jest ona też obowiązkowym celem pielgrzymek kandydatów. Nawet politycy najbardziej wrażliwi, wydawałoby się, na zawiłości historii, jak Barack Obama czy Bernie Sanders, przybywali pod Rushmore, aby pokłonić się amerykańskiej wielkości. „Rozpiera mnie duma z tego, że jestem Amerykaninem", westchnął wzruszony Sanders, spoglądając w górę na wykute w skale podobizny Washingtona, Lincolna, Jeffersona i Theodora Roosevelta (o nosach sześciometrowych).

Nieznany jest przypadek, aby którykolwiek z prezydentów bądź kandydatów wspomniał pod Mount Rushmore, że to święta góra dla rdzennego narodu Lakotów, zrabowana im, tak jak całe Góry Czarne, nielegalnie, z pogwałceniem traktatu, jaki zawarli w dobrej wierze z rządem Stanów Zjednoczonych. Układ został zerwany, gdy odkryto tu złoto. Kampanię wykańczania Indian prowadził wspomniany już George Armstrong Custer. W 1980 r. Sąd Najwyższy potwierdził, że ta ziemia należy się Lakotom.

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Nawet jeśli Donald Trump coraz bardziej ośmiesza swój kraj, amerykańska popkultura wciąż przemawia do nas z wielką siłą. Pytanie tylko, co z niej wybieramy?

Co się naprawdę wydarzyło na ziemi Pierwszych Narodów

Dziś politycy milczą o zbrodni przeciw rdzennym ludom, bo, jak uczy przykład Jimmy'ego Cartera, kwestionowanie mitologii nie przynosi politycznych korzyści. Podtrzymuje się więc religijny mit ziemi objawionej przez Johna Forda w westernach, na której pionierską harówą zbudowaliśmy kraj od Atlantyku po Pacyfik.

Aby opowieść żyła, ta ziemia przed naszym przybyciem musi pozostać dziewicza. Dlatego USA, w przeciwieństwie do Kanady, nie prowadzą zinstytucjonalizowanego procesu pojednania z Pierwszymi Narodami.

Przyznając oficjalnie, że kraj powstał kosztem eksterminacji, Amerykanie ryzykowaliby rozpad narodowej tożsamości. Widać to doskonale na przykładzie rozliczeń rasowych. Stopniowa emancypacja Afroamerykanów i towarzysząca jej demitologizacja rodzą napięcia rozsadzające kraj od środka.

Make Europe Great Again

Podczas gdy mitologia USA tuszuje prawdę o niewolnictwie Czarnych i zagładzie rdzennej ludności, Unia Europejska wyewoluowała z porozumienia gospodarczego, którego celem było coś odwrotnego: nie ucieczka przed Historią, lecz jej przemyślenie i wyciągnięcie wniosków.

Dziś po dwóch stronach Atlantyku zachodzą przeciwne procesy. W Stanach obserwujemy rozpad mitu i związany z nim kryzys tożsamości. Amerykanie boją się, bo nie wiedzą, kim będą, kiedy w końcu faktycznie dokonają rachunku sumienia. W Europie to właśnie rachunek sumienia był punktem wyjścia. Unia, z jej wszystkimi wadami, wewnętrznymi waśniami i niepewną przyszłością – pozostaje, zarówno cywilizacyjnie, jak i tożsamościowo, dynamicznym projektem na etapie konstrukcji. Jej największą słabością i, paradoksalnie, największą siłą jest to, że jako jedyne imperium w dziejach buduje się wolna od kłamstwa nazywanego dla niepoznaki mitem. Największą siłą i, paradoksalnie, największą słabością Ameryki jest jej mit.

Amerykański sen jest dążeniem

Zapisana w dokumentach założycielskich Stanów Zjednoczonych koncepcja nazwana później *American Dream*, obiecująca równość, wolność, wynikający z nich szacunek

eprasa.pl fbbd995f95

i możliwość bogacenia się ciężką pracą, nie jest czymś, co kiedyś istniało, a później zostało zaprzepaszczone i – zgodnie ze sloganem *Make America Great Again* – wróci dzięki niemal boskim mocom takich czy innych polityków. Amerykański sen jest dążeniem.

Ameryka słabnie również dlatego, że inne wspólnoty na planecie lepiej to rozumieją. Marzenia skuteczniej spełnia się dzisiaj w Europie, co pokazują statystyki jakości życia, zadowolenia obywateli, przestępczości, bezpieczeństwa, rozwarstwienia, przestrzegania praw człowieka, dostępu do służby zdrowia, edukacji itd.

Baza w Redzikowie i wrzaski Donalda

My, Polacy, dobrze to rozumiemy. Koniec komunizmu, zbliżenie do Europy, a później wstąpienie do Unii i – między innymi, dzięki skuteczności jej mechanizmów gospodarczych – dołączenie do grupy najbogatszych państw świata, stopniowo uwalnia nas nie tylko od dolara, ale od całej amerykańskiej mitologii.

To fakt, że na tle większości społeczeństw Europy pozostajemy wyspą ze względnie wysokimi słupkami sympatii dla USA i poparciem dla obecności amerykańskich wojsk na naszym terenie. Jednak nasza miłość do Ameryki z czasów przepraw parowcami przez ocean, budowania skupisk Polonii w metropoliach, z czasów Johna Wayne'a i Ronalda Reagana jest melodią przeszłości.

Donald Trump wywrzaskując amerykańskie prawdy przez globalny megafon, ośmiesza je i pogłębia również naszą niechęć do Stanów. Prezydent wbrew swoim intencjom przyczynia się do dekonstrukcji mitu, bo uosabia najsłabsze strony Ameryki: megalomanię, chciwość, oszustwo, przemoc, głupotę.

Moja córka słucha Taylor Swift

Moja 14-letnia córka słucha Taylor Swift i Chappell Roan. Uczy się grać na gitarze, śledząc na YouTubie pewną dziewczynę z Kalifornii. Ogląda hollywoodzkie klasyki z lat 80. i 90. Skomplikowana emigracja mojej rodziny w latach 80. sprawiła, że dziś córka ma w Ameryce kuzynów, babcię, ciocie, wujków oraz, raz na jakiś czas, przywilej podróży przez ocean, poznawania Stanów. Ale jej rówieśnicy, także ci, którzy nigdy nie odwiedzili USA, równie łakomie pochłaniają wszelkie wyroby amerykańskiej popkultury, od BigMaków, przez koszulki z nadrukiem NASA, po kultowe seriale.

Co nam zostanie, gdy zawinie się stąd nawet US Army? *Stranger Things*.

Mój tata patrzy na kondory

Dla większości Polaków Ameryka pozostaje krainą – *nomen omen* – mityczną. Niby bliską, znaną z wielopokoleniowych wyobrażeń i obrazków powielanych miliony razy, a jednocześnie geograficznie i kulturowo tak odległą, że czasami samo jej istnienie wydaje się bujdą. Coraz liczniejsi z nas przestają w nią wierzyć, ale nadal ma wielu wyznawców.

Takich jak mój tata. Już do Stanów nie jeździ, co nie przeszkadza mu trwać pod urokiem mitu. Kibicuje Amerykanom w wojnach i w mistrzostwach świata. Gdy kupuje wiadro do kiszenia kapusty albo pralkę, wybiera firmy amerykańskie, ufając w ich solidność i nie dbając o to, że ich produkty skrywają etykiety *Made in China* albo *Made in EU*.

W telewizji ogląda serial dokumentalny o parkach narodowych w USA. Biblijna kraina z westernów, odebrana tzw. dzikim, zaprezentowana detalicznie i spektakularnie z użyciem nowoczesnej technologii. Prawdziwe życie: niedźwiedź grizzly, kondor kalifornijski, karpieniec z Doliny Śmierci.

Szeryf nie ma tu nic do roboty.

© MACIEJ JARKOWIEC

Autor jest reporterem i eseistą, wydał książki „Powrócę jako piorun. Krótka historia Dzikiego Zachodu", „Na bulwarach czyhają potwory. Filmowa historia Ameryki" oraz „Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka".

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż: Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Karolina Biały, Mateusz Gawron, Jacek Napora, Anna Pietrzykowska, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl fbbd995f95

KRAJ

KRZYŻ ZAMIAST SZTANDARU

Prawica chce być przedmurzem chrześcijaństwa i obrońcą cywilizacji. A przebaczenie za Wołyń jest dla niej równie nie do pomyślenia, jak dla Gomułki było przebaczenie Niemcom.

MARCIN MATCZAK

AGNIESZKA ŚNIEŻKO / EAST NEWS

eprasa.pl fbbd995f95

Nie wiem, jak to się stało, ale nagle chrześcijanie, przynajmniej w Polsce, zaczęli uznawać przebaczenie za grzech. Dowiedziałem się o tym, gdy w mediach społecznościowych przeprowadziłem pewien eksperyment myślowy.

Poprosiłem czytelników, by wyobrazili sobie, że dzisiaj jakiś ważny polski polityk, wygłaszając orędzie do narodu, zwraca się też do Ukraińców słowami: „Przebaczamy wam Wołyń. I prosimy o przebaczenie za krzywdy, które my wyrządziliśmy wam: za akcję »Wisła«, za spalone cerkwie, za to, czego sami się wobec was dopuściliśmy".

W odpowiedzi pewna użytkowniczka mediów społecznościowych napisała: „Tylko człowiek opętany przez Szatana mógłby powiedzieć »przebaczamy wam Wołyń«". Było to dużo mocniejsze, niż się spodziewałem. Oczywiście jestem przekonany, że polityk wygłaszający podobną deklarację w ciągu godziny zostałby zmiażdżony jako zdrajca i banderowiec. Że pytano by retorycznie: „Kto cię upoważnił, żebyś wybaczał w imieniu pomordowanych?". Rozszarpano by go na strzępy, bo dla dzisiejszej prawicy taki gest jest po prostu nie do pomyślenia.

Jednak przebaczenie jako oznaka opętania?

HISTERIA WŁADZY | Wychodzi na to, że za to, co zrobili w 1965 r., Karol Wojtyła i Stefan Wyszyński nie powinni trafić na ołtarze, tylko przed oblicze egzorcysty. Przecież ledwie 20 lat po Auschwitz polscy biskupi napisali do biskupów niemieckich słynne „przebaczamy i prosimy o przebaczenie" – napisali do Niemców, którzy wymordowali miliony Polaków.

Autorem tamtego orędzia był abp Bolesław Kominek, Ślązak z pogranicza, który równie dobrze mówił po polsku, co po niemiecku. Podpisało go 34 biskupów, z Wyszyńskim i Wojtyłą na czele. To był akt ogromnej odwagi, na który 20 lat po wojnie nie był gotów prawie nikt.

Władza zareagowała histerycznie. Ruszyła największa antykościelna kampania propagandowa w dziejach PRL. Na fabrycznych masówkach robotnicy uchwalali gotowe rezolucje potępiające biskupów. Władysław Gomułka nazwał gest pojednania „targowicą", „świństwem" oraz zakrojoną na wielką skalę „dywersją polityczną", wymierzoną w Polskę Ludową. Na rezydencji arcybiskupa Kominka ktoś wymalował: „Zdrajca". Premier Józef Cyrankiewicz pisał zaś, że żadne dokumenty biskupie nie wymażą hitlerowskich zbrodni. Pisał tak, choć nikt tych zbrodni nie wymazywał. Biskupi nie napisali przecież: „zapomnijmy o Auschwitz". Napisali „przebaczamy" – a więc założyli, że jest co przebaczać.

Prymas Wyszyński określał postawę władz komunistycznych w tej sprawie jako „spoganienie", dodając z nadzieją, że to spoganienie oficjalnej władzy, a nie narodu, który – jak ufał – umie przebaczać.

Sam wybaczył wprost: „po chrześcijańsku, w duchu Ewangelii Chrystusowej, zgodnie z Modlitwą Pańską i nauką Soborową". Ale co do narodu może się mylił.

PRAWICA MACHAJĄCA RÓŻAŃCEM | Wybaczenie było dla komunistów dokładnie tym, czym wybaczenie Wołynia jest dziś dla prawicy – czymś niewyobrażalnym, równoznacznym ze zdradą. Stylistyka ich wypowiedzi to niemal dokładnie to samo, co słyszymy, gdy ktoś choć słowem wspomina nawet nie o przebaczeniu, ale o nierozdrapywaniu ran. Od razu staje się agentem. Kimś, kto za obce pieniądze sprzedaje polski interes. Interes, którego sensem jest co? Nienawiść i brak przebaczenia?

Komuniści byli ateistami, więc można ich postawę zrozumieć. Dla marksisty wybaczenie nie jest wartością, a raczej sentymentalną słabością. Ale jego niezdolność do przebaczenia jest przynajmniej spójna z tym, w co wierzy. Gomułka nie czytał wieczorem „Kazania na Górze" . Raczej wymachiwał czerwonym sztandarem.

Ale dziś prawica wymachuje krzyżem i różańcem. Chce być przedmurzem chrześcijaństwa, obrońcą cywilizacji zbudowanej na Dobrej Nowinie przed bezbożnym liberalizmem. A jednocześnie wybaczenie Wołynia jest dla niej tak samo nie do pomyślenia, jak wybaczenie Niemcom dla Gomułki.

Ci ludzie odmawiają „Ojcze nasz". Mówią: „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom". Chrystus uczył podobnie: przebaczaj nie siedem razy, ale siedemdziesiąt siedem razy. Miłujcie nieprzyjaciół waszych.

Całe chrześcijaństwo opiera się przecież na krzyżu, który sam jest aktem przebaczenia. „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią". Ale nasi obrońcy krzyża uznali, że skoro chodzi o Polskę, o naszą ranę, to tak daleko akurat Ewangelia nie sięga.

Autorzy listu z 1965 r., być może niechcący, wskazali w jego treści, gdzie tkwi problem. Napisali, że w Polsce od zawsze co polskie, to i katolickie, że wiara zrosła się u nas z narodowością, i że ma to swoje dobre, ale i bardzo złe strony. Być może pisali z nadzieją, że to, co katolickie i chrześcijańskie, weźmie górę nad tym, co w polskości negatywne. Ale czy dzisiaj nie mamy wrażenia, że jest odwrotnie? Że dziwnie rozumiana przez niektórych „polskość" to „niekatolickość" i „niechrześcijańskość"; coś, co chrześcijaństwu zaprzecza?

BÓG WŁASNEGO PLEMIENIA | Bo czym właściwie jest „spoganienie", o którym mówił prymas Wyszyński? Nie chodzi o to, że ktoś przestaje wierzyć. Poganin wierzył aż za dobrze – tyle że w bogów jego własnego plemienia, którzy niejako z definicji bronili swoich i nienawidzili obcych. Religia była dla niego przedłużeniem wojny: nasz bóg przeciwko waszemu, nasza krew przeciwko waszej. Cały skandal i cała nowość związana z chrześcijaństwem polegały na tym, że oto pojawił się taki dziwny Bóg, który każe kochać wroga.

Dlatego to polskie „chrześcijaństwo", które pod przykazaniem miłości wpisuje małym druczkiem masę wyjątków, nie jest słabszym, letnim chrześcijaństwem. Jest czymś znacznie gorszym: pogaństwem, które powiesiło sobie na szyi krzyż. Wróciło dokładnie tam, skąd Ewangelia próbowała ludzkość wyprowadzić.

Uniwersalizm chrześcijaństwa jest wymierzony w sam mechanizm plemiennej religii. Każda wspólnota od zawsze leczyła swoje napięcia tak samo: znajdowała winnego, kozła ofiarnego, i wyładowywała na nim wściekłość, żeby sama poczuć się oczyszczoną. Ewangelia jako pierwsza opowiedziała tę historię z punktu widzenia ofiary, nie tłumu – i pokazała, że tłum kłamie. „Ojcze, przebacz im" to rozbrojenie odwiecznego mechanizmu, który był napędzany odwetem.

I właśnie ten mechanizm nasi obrońcy krzyża dziś silniej niż kiedykolwiek wprawiają w ruch. Potrzebują kozła ↦

Prezydent Andrzej Duda składa kwiaty w miejscu nieistniejącej dziś polskiej wsi Pokuta, podczas obchodów 75. rocznicy rzezi Wołyńskiej. Łuck, 8 lipca 2018 r.

eprasa.pl fbbd995f95

↦ – Ukraińca, „banderowca”, winnego na wieki wieków amen – bo na nim łatwiej zbudować wspólnotę niż na przebaczeniu. Krzyż staje się dla nich dokładnie tym samym, czym wcześniej był czerwony sztandar komunistów: znakiem przynależności, totemem plemiennym. To jest właśnie spoganienie, które nie dotyka dziś ateistów, tylko ludzi z różańcem w ręku.

Ktoś powie: dobrze, ale przebaczenie musi mieć warunki. Najpierw ekshumacje, najpierw prawda, najpierw niech oni przeproszą – potem porozmawiamy o wybaczaniu. To brzmi rozsądnie. Problem w tym, że to też nie jest już chrześcijaństwo, a dodatkowo ta postawa nie mówi prawdy o relacjach polsko-ukraińskich.

TOŻSAMOŚĆ RANY | Chrześcijańskie przebaczenie nie czeka na skruchę, i to jest cały jego skandal. Jezus przebacza nie po przeprosinach katów, lecz mając jeszcze w uszach uderzenia młotka, gdy jego oprawcy rzucają już losy o jego szaty. Biskupi w 1965 r. też nie czekali, aż Niemcy się zbiorowo nawrócą, aż wypłacą reparacje i siedemnaście razy przeproszą za każdą zbrodnię. Na tym polegała odwaga tego gestu i dlatego był ewangeliczny.

Tymczasem, mimo że ukraińscy przywódcy prosili o przebaczenie za Wołyń, klękali przed pomnikami ofiar i uczestniczyli w aktach pojednania, u nas ciągle trwa spór, czy skrucha ta była dostatecznie oficjalna i jednoznaczna. I ciągle słyszymy, że przebaczenie za „takie coś” jest niewyobrażalne.

Jezus mówił o ludziach pozbawionych wyobraźni przebaczenia, że są skrupulatni w drobiazgach: odmierzają dziesięcinę z mięty, kopru i kminku, a porzucili to, co w Prawie najważniejsze: sprawiedliwość, miłosierdzie i wiarę. To portret naszych obrońców krzyża. Perfekcyjni w znakach przynależności: różaniec, przedmurze. I puści tam, gdzie chrześcijaństwo się zaczyna: w miłosierdziu.

Jak zrozumieć, dlaczego znaczna część Polaków uznaje wybaczenie za rzecz niemoralną? Można pojęciem resentymentu. Friedrich Nietzsche opisał go jako szczególny silnik moralny: urazę, która nie potrafi skończyć z doznaną krzywdą, bo zamiast ją przepracować, czyni z niej źródło wartości.

Max Scheler dookreślił ten mechanizm: zranienie, którego nie da się odwzajemnić, zostaje przechowane, przeżute i wpisane w samą tożsamość, a wartości tych, którzy zranili, zostają w odwecie obrócone w ich przeciwieństwo. W takim odwróceniu przebaczenie przestaje być cnotą, a zaczyna uchodzić za słabość, niemal za moralny defekt. To dokładnie ten mechanizm, który dziś każe traktować rękę wyciągniętą do Ukraińców jako zdradę.

Wendy Brown w „States of Injury” (1995) pokazała, jak ten mechanizm zamienia się w trwałą formę polityczną: tożsamość zbudowaną wokół własnej rany. Kiedy wspólnota zaczyna definiować się poprzez doznaną krzywdę, dużo psychologicznie w tę krzywdę inwestuje. Uleczenie rany oznaczałoby więc utratę kawałka tożsamości i roszczeń, które z rany czerpie.

To dlatego przebaczenie trzeba potępiać, a wybaczającego napiętnować. Groźny jest nie dlatego, że zdradza zmarłych, lecz dlatego, że podważa fundament tożsamości żywych. To przecież nasza polska osobliwość: figura narodu-ofiary, Chrystusa Narodów, w której wybaczenie rozpuszczałoby samą rację istnienia wspólnoty.

KOMU TO WSZYSTKO SŁUŻY | Ten mechanizm domyka sakralizacja pamięci, którą opisywał Tzvetan Todorov w „Nadużyciach pamięci”: gdy „obowiązek pamięci” przeradza się w kult, a przebaczenie zaczyna być odbierane nie jako akt miłosierdzia, lecz jako profanacja świętości.

Warto zapytać, komu ta otwarta rana właściwie służy. Bo nie służy ani pomordowanym na Wołyniu, ani Polsce, ani tym bardziej walczącej dziś o życie Ukrainie. Służy jednemu adresatowi: Moskwie, która od dekad nie marzy o niczym innym, jak o tym, żeby Polacy i Ukraińcy skoczyli sobie do gardeł, zamiast stanąć razem.

Jest w tym coś groteskowego: najbardziej antyrosyjska, najgłośniej antykomunistyczna część polskiej sceny odwala tu czarną robotę Kremla – pilnuje, żeby rana się nie zabliźniła. Stary plemienny instynkt okazuje się więc nie tylko niechrześcijański, ale po prostu głupi.

Całą tę postawę streszcza prezydent Karol Nawrocki. Jeszcze jako szef IPN i kandydat w wyborach mówił, że nie wyobraża sobie Ukrainy w Unii i w NATO, dopóki jest „państwem, które nie rozlicza się ze swojej przeszłości”. Stawiał warunek: najpierw rozliczenie, najpierw ekshumacje, dopiero potem wspólnota. Relacje, mówił, trzeba budować na prawdzie i na wartościach.

Pięknie. Tyle że ten sam człowiek na drugim froncie robi rzecz dokładnie odwrotną. Od Niemców – tych, do których biskupi w 1965 r. wyciągnęli rękę – upomina się o reparacje. Tam nie ma mowy o przebaczeniu, tam jest rachunek do zapłaty. Nawrocki odwraca więc gest sprzed 61 lat, i to na obu osiach naraz: Niemcom, którym wybaczono, wystawia fakturę, a Ukraińcom każe najpierw zapłacić rachunek sumienia. Postawa spójna – tylko nie chrześcijańska, lecz plemienna.

Komuniści przynajmniej nie udawali. Nie wybaczali i nie twierdzili, że są chrześcijanami. Prezydent Nawrocki, chrześcijanin przecież, oraz jego towarzysze w wierze nie wybaczają, choć nazywają siebie obrońcami chrześcijaństwa.

Według tak szanowanego przez nich Prymasa Tysiąclecia to „spoganienie”. Ale im jakoś to się klei. © MARCIN MATCZAK

Polska-Ukraina, impas

Ukraińska jednostka im. Bohaterów UPA, odebranie przez Karola Nawrockiego Orderu Orła Białego prezydentowi Ukrainy, nieobecność Wołodymyra Zełenskiego na gdańskiej konferencji poświęconej odbudowie Ukrainy: stosunki Warszawa–Kijów znalazły się w impasie. Artykuł Marcina Matczaka to kolejny głos komentujący te wydarzenia.

W poprzednich numerach:

- **WOJCIECH KONOŃCZUK: Zełenski, który znajduje się dziś w trudnej sytuacji wewnętrznej i potrzebuje jakoś „przykryć” skandale korupcyjne w swoim najbliższym otoczeniu, uznał, że jest gotów zapłacić cenę za pogorszenie stosunków z Polską.**

- **ŁUKASZ ADAMSKI: Spór o jednostkę „Bohaterów UPA” nie wybuchł w próżni. Pokazał, jak szybko słabnie polska solidarność z Ukraińcami – i jak historia, polityka oraz lęk zmieniają wzajemne relacje.**

- **GRZEGORZ MOTYKA: Przedłużający się spór o ekshumacje wyczerpał cierpliwość społeczną w Polsce. Obowiązujący w latach 2017-2024 zakaz, w sytuacji, gdy równolegle trwają bez przeszkód ekshumacje żołnierzy Wehrmachtu i Waffen SS, z każdym rokiem wydawał się nie tylko coraz mniej zrozumiały, ale też rażąco krzywdzący.**

eprasa.pl fbbd995f95

Za wszelką cenę

ANNA KORYTOWSKA

ZDROWIE PSYCHICZNE | Przez lata wierzyły, że miłość może uratować drugiego człowieka. Kontrolowały, tłumaczyły, ukrywały problemy. Brały na siebie odpowiedzialność za cudze życie, coraz bardziej tracąc własne. Kobiety współuzależnione.

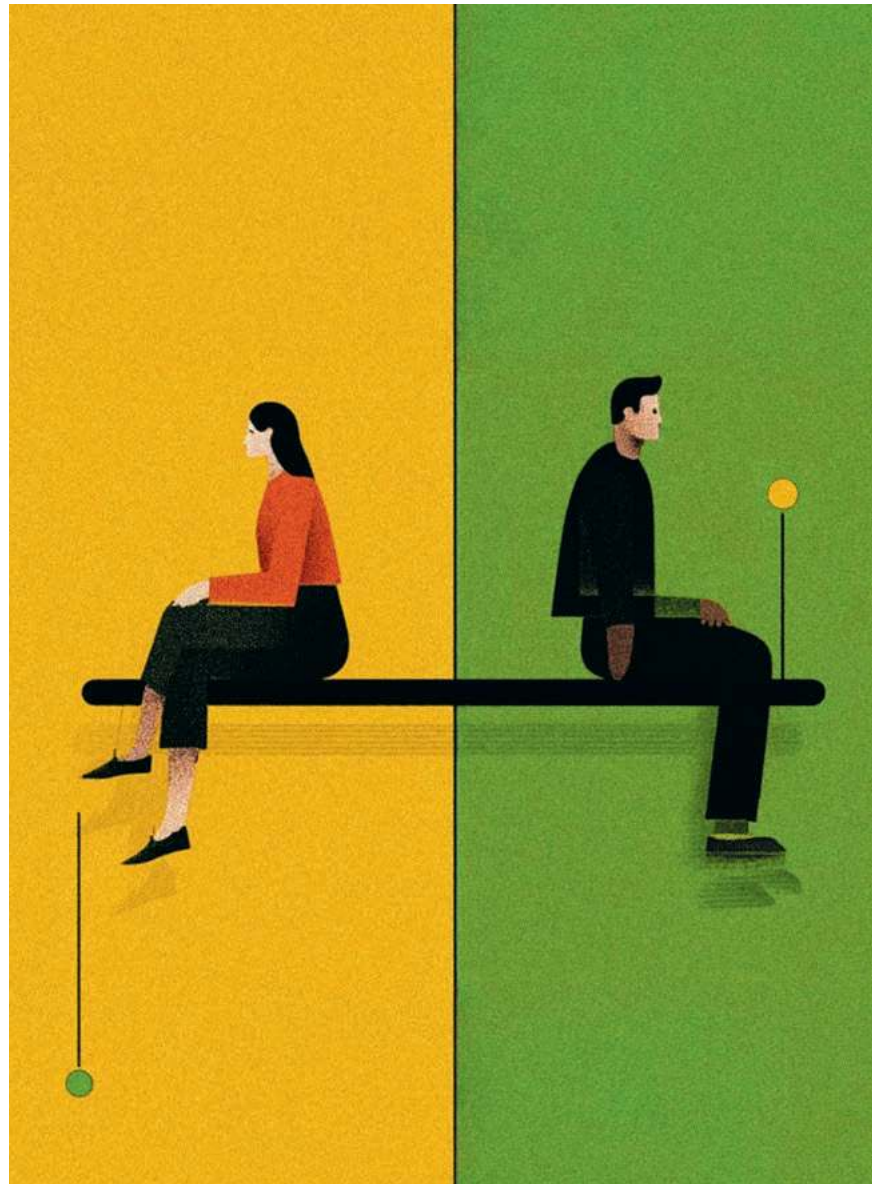

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Chciałam być ratowniczką swojego męża. Wmawiałam sobie, że go ocalę, że jestem jego aniołem stróżem. Że swoją troską, ciepłym rosołem, go uzdrowię. Skoro już zostałam jego żoną, to czułam, że to mój obowiązek – mówi Maja, autorka profilu „Żona niepijącego alkoholika" na TikToku.

Jej małżeństwo było pełne konfliktów. – Trochę bawiłam się w Boga. Wydawało mi się, że wiem, co jest dla niego najlepsze, którą drogą powinien pójść. Podejmowałam decyzje nawet o tym, co ma zjeść na śniadanie, bo uważałam, że to będzie zdrowsze i lepsze – opowiada.

Po kolejnych awanturach następowały lepsze momenty. Mąż wynagradzał kłótnie prezentami. Dziś Maja wie, że większość drogich torebek, jakie od niego otrzymała, było efektem jakiegoś trudnego wydarzenia między nimi.

Kim jestem?

Dziesięć lat. Tak długo trwał teatr maskowania i tuszowania jego postępującego alkoholizmu. Maja kochała męża, więc próbowała zrobić wszystko, by go uratować. Na samym końcu już prawie jej nie było. – Byłam współuzależniona. Żyłam życiem swojego męża – przyznaje.

Po kolejnej kłótni zdecydowali się pójść do mediatora rodzinnego. Od razu zasugerował, że partner ma problem z alkoholem. Przyjaciel męża, który także się o nich martwił, poradził Mai, żeby poszła na grupę Al-Anon, skupiającą krewnych alkoholików i pracującą z nimi w oparciu o metodę 12 Kroków.

– To był początek mojego zdrowienia. Słuchałam doświadczeń innych osób i okazywało się, że to także moja historia. Zaczęłam wtedy wreszcie wychodzić z domu i mniej kontrolować męża – wspomina. Później rozpoczęła także terapię indywidualną. – Odkryłam, że początki mojego współuzależnienia tkwią w moim własnym dzieciństwie. Pochodzę z dysfunkcyjnego środowiska i wszystkie schematy, których nie chciałam przenosić z domu rodzinnego, powieliłam we własnym – przyznaje. Zrobiła tak, chociaż zawsze podkreślała, że „u niej tak nie będzie".

– Zarówno moi rodzice, jak i rodzice mojego męża uczyli nas, że kiedy się cieszymy, świętujemy alkoholem. Kiedy płaczemy, również sięgamy po procenty. To było dla nas całkowicie „normalne", taki wzorzec wynieśliśmy z domu. Nic dziwnego, że ten nasz wspólny zbudowaliśmy bez prawdziwych fundamentów. Dlatego wydarzyło się to, co się wydarzyło – zaznacza.

Mąż Mai zdecydował się na grupę AA. Ich małżeństwo przetrwało, a on nie pije. – To wspaniały człowiek, który zachorował na alkoholizm – podkreśla Maja, dodając, że kluczem do uratowania ich relacji okazała się... rozmowa. – Bardzo dużo mówimy o swoich emocjach, czego kiedyś w ogóle nie praktykowaliśmy. Nie siadaliśmy razem, nie rozmawialiśmy ↦

eprasa.pl fbbd995f95

↦ o tym, czego potrzebujemy i co chcielibyśmy zmienić. Wydawało nam się, że wszystko jest oczywiste, choć wcale takie nie było. Dziś mówimy o swoich pragnieniach wprost.

Dzięki terapii Maja odkryła wreszcie własne potrzeby, których wcześniej nie dostrzegała. – To jest klucz do zdrowienia: powrót do siebie, zauważenie siebie. Podejście do lustra i zobaczenie prawdziwej Mai, a nie osoby żyjącej w cieniu alkoholika. Dzisiaj jest już inaczej: czuję się naprawdę szczęśliwą, spełnioną kobietą. Mam kochającą rodzinę i kochający dom – mówi zdecydowanie.

Postawić na siebie

Katarzyna Zawadzka przez wiele lat nie miała swojego ulubionego filmu ani wykonawcy. – Za każdym razem, kiedy wchodziłam w relację z osobą uzależnioną, stawałam się taka jak ona. Żeby być bliżej, żeby bardziej pomóc. Gubiłam w tym siebie – przyznaje.

Sama dorastała w otoczeniu, w którym wszędzie były trudne historie związane z alkoholem, dużo konfliktów, chaos emocjonalny. – Pomaganie, wchodzenie w trudne sytuacje, reagowanie na kryzysy innych, to było dla mnie naturalne. No i picie. Słyszałam, że skończę jak babcia, która też piła. Może przypominałam ją rodzinie, bo byłam emocjonalna. Alkohol rzeczywiście dawał mi chwilowe poczucie ulgi i pozwalał na moment uwolnić napięcie, ale dość szybko zobaczyłam, że to ułuda i w porę się zatrzymałam – wspomina.

Jej pierwszy poważny partner nie miał tyle szczęścia. – To był chaotyczny związek, pełen kłótni i awantur. Za każdym razem obietnice, że będzie lepiej, że to ostatni raz, a potem w kółko to samo – wspomina. Rozstawali się i wracali do siebie. – We współuzależnieniu patrzymy na człowieka, którego znamy i wciąż widzimy w nim potencjał, który za wszelką cenę chcemy uratować – tłumaczy. I dlatego wybaczała. Pięć lat. – Pamiętam ten wstyd. Tłumaczyłam partnera, kiedy wypił „za dużo" albo coś zrobił na imprezie – opowiada. Odeszła dopiero wtedy, gdy dowiedziała się o zdradzie.

ARCHIWUM PRYWATNE

ANNA NAWROT-CIERPIAŁKOWSKA:

W dysfunkcyjnych rodzinach wartość dziecka nie wynika z tego, kim ono jest, ale z tego, ile potrafi unieść na swych barkach. By przetrwać, musi dostosować się do innych.

Później poznała mężczyznę na portalu randkowym. – Dużo ze sobą pisaliśmy, od rana do wieczora, czasem całymi nocami. Z jednej strony była bliskość, z drugiej on wciąż powtarzał, że nie chce mnie w swe problemy wciągać, że niedługo umrze, że ma zniszczony organizm przez nałogi – opowiada.

Zamiast decyzji o zerwaniu kontaktu, w Kasi znów odezwała się potrzeba ratowania. – Tłumaczyłam mu, że trzeba żyć. Widziałam w nim wartość – mówi. Spotkali się tylko raz, potem kontakt się ulotnił, ale po 10 latach zrobiła coś dziwnego. – Napisałam do niego. Miałam już męża, dziecko, ale byłam ciekawa, co z nim. Odpisał, że nic się nie zmieniło: dalej alkohol, narkotyki i brak chęci do życia – wspomina.

Zobaczyli się ponownie. Kasia pomogła mu znaleźć terapię w zamkniętym ośrodku i sama go tam zawiozła. – Wtedy spojrzałam na naszą znajomość z innej perspektywy, zrozumiałam, że stworzyłam fałszywy obraz tego człowieka. Wymyśliłam naszą relację taką, jaką chciałam, żeby była, a nie taką, jaka była naprawdę – przyznaje.

W odzyskaniu jej własnego życia pomógł Kasi już wcześniej mąż, który pokazał jej zupełnie inne życie: okazywał wsparcie, wiarę, dał poczucie bezpieczeństwa. Nauczył być sobą, być obecną. Zobaczyć, jaka jest naprawdę, co lubi. Przestać skupiać się tylko na drugiej osobie, którą wiecznie trzeba ratować.

– Teraz stawiam na siebie. Poszłam na studia psychologiczne, o których zawsze marzyłam, fotografuję. Prowadzę konto w mediach społecznościowych. Założyłam je z myślą o ratowaniu uzależnionych, ale dziś kieruję je głównie do ich bliskich, tłumaczę jak działają krzywdzące mechanizmy. I że czasem najważniejsze jest, by uratować siebie – dodaje.

Mechanizm przetrwania

Po latach zmagania się z kryzysem uzależnienia i współuzależnienia, Alek Cierpiałkowski i Anna Nawrot-Cierpiałkowska przekuli własne trudności w siłę pomagania innym. Teraz, jako para psychologów i psychoterapeutów, pomagają osobom zmagającym się z różnorodnymi problemami związanymi z nałogami.

– Współuzależnienie to głęboko zakorzeniony i wyuczony mechanizm przetrwania. Sposób funkcjonowania, który bardzo często zaczyna się dużo wcześniej niż dorosły związek, jeszcze w dzieciństwie. W rodzinach niefunkcjonujących prawidłowo, najczęściej zmagających się z problemem alkoholowym – mówi Anna Nawrot-Cierpiałkowska. – W takich miejscach dziecko szybko uczy się, że aby przetrwać, musi dostosować się do innych. Nie sprawiać problemów, lecz pomagać i ratować, gdy sytuacja tego wy-

SPROSTOWANIE

W numerze „TP" 26/2026 w artykule „Tęczowe okno pogodowe" błędnie podpisaliśmy zdjęcie bohaterów.

Prawidłowy opis znajduje się w cyfrowej wersji artykułu: **tyg-pow.pl/pary**. Za błąd przepraszamy.

Redakcja „Tygodnika Powszechnego"

eprasa.pl fbbd995f95

maga. Wartość dziecka nie wynika z tego, kim ono jest, ale z tego, ile potrafi unieść na swych barkach: dla innych. I właśnie z takim przekonaniem wiele osób wchodzi później w dorosłe relacje – zauważa.

Z zewnątrz współuzależnienie bardzo często wygląda jak ogromna troska, poświęcenie i miłość. – Partnerka, bo współuzależnienie najczęściej dotyczy kobiet, kontroluje, pilnuje, tłumaczy, sprząta po kryzysach, ukrywa problem przed światem, bierze odpowiedzialność za dom, dzieci i emocje partnera. Chce pomóc, a tak naprawdę jedynie przyczynia się do podtrzymywania nałogu – wyjaśnia Alek Cierpiałkowski.

Kiedy „ratowniczka" stale łagodzi konsekwencje picia, tłumaczy nieobecności w pracy czy przejmuje obowiązki partnera, daje uzależnionemu możliwość dalszego funkcjonowania bez głębokiej konfrontacji z własnym problemem i jego skutkami. – W tym samym czasie osoba współuzależniona sama żyje w ciągłym napięciu, ale wierzy, że robi to dla dobra rodziny. Dlatego jednym z najtrudniejszych momentów w terapii jest zrozumienie, że nie mamy kontroli nad drugim człowiekiem. Nie da się nikogo uratować siłą, własnym poświęceniem czy nieustannym czuwaniem – mówi Anna Nawrot-Cierpiałkowska.

Kobieta z krzyżem

Bywa że mijają lata, zanim osoba współuzależniona choć w części zrozumie, co się dzieje, i trafi na terapię. – Ale nawet wówczas kobiety często zgłaszają się po pomoc nie dla siebie, tylko dla partnera lub uzależnionego dziecka – dodaje Alek Cierpiałkowski. Pozostają wtedy w roli ratowniczki, całkowicie odcięte od własnych potrzeb. – I dowiadują się, że one również mają problem. Specjalista pyta, jak się czują i czego potrzebują. W odpowiedzi często zapada cisza – zauważa psychoterapeuta. Przecież przez lata cała ich energia była skierowana na partnera, dzieci, rodzinę i gaszenie kolejnych pożarów. Taki wzorzec wyniosły z domu i kultury społecznej.

– Kobiety od pokoleń uczono, że powinny wytrzymywać więcej, poświęcać się dla rodziny, brać odpowiedzialność za emocje innych i „nieść swój krzyż". Dobra żona miała być cierpliwa, lojalna i wyrozumiała, nawet kosztem siebie – tłumaczy Anna Nawrot-Cierpiałkowska.

ARCHIWUM PRYWATNE

KATARZYNA ZAWADZKA:

Za każdym razem, kiedy wchodziłam w relację z osobą uzależnioną, stawałam się taka jak ona. Żeby być bliżej, żeby bardziej pomóc. Gubiłam w tym siebie.

Postawienie granicy jest trudne. Nie wystarczy powiedzieć „dość", trzeba też zmierzyć się z sobą, własnym lękiem, wstydem, utraconym czasem. Dopiero od tego momentu zaczyna się proces zdrowienia. A także codziennego odzyskiwania siebie, rozumienia i wybierania własnych pragnień. Czasem będzie to po prostu wyspanie się. Innym razem godzina tylko dla siebie, potem weekendowy wyjazd.

– Dla osoby współuzależnionej bywają to momenty przełomowe, gdy po raz pierwszy od wielu lat pojawia się w nich myśl: „ja również jestem ważna". Właśnie to jest sednem wychodzenia z choroby. Nie nauka lepszego ratowania innych, ale słuchanie siebie i swoich potrzeb – podsumowuje Alek Cierpiałkowski.

Polska alkoholem stoi

Chociaż nie istnieją dokładne statystyki dotyczące współuzależnienia, można szacować, że w Polsce problem ten dotyka milionów. Według danych Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych, samych uzależnionych od alkoholu jest u nas około 900 tys. Mało tego, od 2,5 do nawet 5 mln Polaków (dużo rzadziej Polek) pije w sposób szkodliwy, ryzykowny. Za każdą z tych liczb stoją rodziny i bliscy, którzy każdego dnia ponoszą konsekwencje cudzego picia.

Te osoby naprawdę „niosą krzyż". Statystyki są bowiem bezwzględne: co roku z przyczyn bezpośrednio i pośrednio związanych z alkoholem umiera w Polsce od 10 do ponad 20 tys. osób. Te tragedie trzeba mocno pomnożyć, bo za każdą z nich czai się cierpienie bliskich. A jednak niewiele wniosków z tego wyciągamy: jako państwo i jako społeczeństwo. Wciąż nie traktujemy alkoholu jako substancji psychoaktywnej, która powoduje ogromne szkody społeczne i zdrowotne oraz prowadzi do wielu dramatów.

Tymczasem wódka to jeden z najcięższych narkotyków. Jest na dodatek tani, łatwo dostępny i obecny niemal wszędzie. Wystarczy zajrzeć na stacje benzynowe, które bardziej przypominają sklepy monopolowe niż przystanki w drodze (podczas której trzeba być przecież trzeźwym). Jakby tego było mało, producenci alkoholu wciąż kuszą nas, ostatnio oferując np. „fit piwo", produkt promowany niższą kalorycznością i ograniczoną zawartością cukru. Tyle że niezależnie od liczby kalorii, alkohol pozostaje alkoholem.

Na szczęście coś zaczyna się zmieniać. Rząd zapowiada czterokrotne podniesienie dodatkowej opłaty od tzw. małpek (łatwe do ukrycia buteleczki kupuje codziennie ponad 2 mln osób) i przekazanie wszystkich wpływów do NFZ. Coraz więcej samorządów ogranicza też nocną sprzedaż alkoholu – taki rodzaj prohibicji wprowadziło już ponad 170 gmin.

Warto też inspirować się doświadczeniem naszych sąsiadów. Litwini jeszcze dekadę temu byli uznani przez WHO za najbardziej pijący naród. Władze kraju ograniczyły jednak dostępność alkoholu, zakazały jego reklamowania, podniosły akcyzę i zwiększyły wiek uprawniający do zakupu do 20 lat. Efekty są wyraźne: z 14,5 litra czystego alkoholu w 2015 r., spożycie spadło w 2025 r. do 8,7 litra.

U nas ta liczba wynosi ok. 11 litrów – i nie spada. Mamy ogrom pracy do zrobienia, by przestać traktować alkohol jako element rozrywki i tradycji, lecz jako substancję, która na przestrzeni wieków zrujnowała w naszym kraju miliony istnień i miliony rodzin. © ANNA KORYTOWSKA

eprasa.pl fbbd995f95

Starość do podziału

TEKST I ZDJĘCIA: JACEK TARAN

SPOŁECZEŃSTWO | Żyjemy coraz dłużej, ale często w samotności. W Rybniku testowany jest cohousing – model wspólnego mieszkania dla seniorów, który czyni ich życie dużo lepszym.

Do wyremontowanej, zabytkowej kamienicy w Rybniku przy ul. Chrobrego wchodzi się przez ciemną sień. Na parterze, w mieszkaniu przystosowanym do potrzeb osób starszych, pachnie obiadem. Mieszkają tu trzy kobiety – niespokrewnione, ale bliskie sobie jak rodzina. Średnia ich wieku wynosi osiemdziesiąt pięć lat.

Cohousing to model, w którym osoby starsze mają własne pokoje, a jednocześnie dzielą wspólną przestrzeń oraz część codziennych obowiązków i kosztów. Rybnicki lokal to jedno z pierwszych w Polsce mieszkań, w których samotni, starsi ludzie mogą spróbować innego życia.

Trzy historie

86-metrowe mieszkanie zostało przygotowane przez miasto i przekazane do prowadzenia Ośrodkowi Pomocy Społecznej (OPS). Seniorki mają tu swoje pokoje, a razem korzystają z przestronnego salonu z kuchnią oraz łazienki. Lokal jest dostosowany do potrzeb osób starszych: brak progów, szerokie przejścia, łatwy dostęp do kuchni i łazienki. Do dyspozycji mieszkanek jest niewielki taras z małym ogródkiem. Wiosną zakwitły w nim bratki.

Pobyt przyznawany jest decyzją administracyjną. Lokatorki ponoszą tylko część kosztów – głównie media i bieżące wydatki. Nie jest to jednak dom pomocy społecznej. Kobiety mają co prawda wsparcie, ale są samodzielne.

Mieszkanie wspomagane przez miasto Rybnik funkcjonuje w tym modelu od 2022 r. Obecnie zamieszkują je trzy panie: Krystyna Arciszewska (86 lat), Maria Korga (80 lat) i Felicja Wolny (90 lat).

Jak tutaj trafiły? Felicja mieszkała sama, gdyż od wielu lat jest wdową. – Zainteresowali się mną sąsiedzi, gdy zachorowałam na covid – opowiada. – Zgłosili w urzędzie miasta, że jestem sama i potrzebuję wsparcia. Pracownicy z ośrodka pomocy społecznej robili mi zakupy, pomagali. Później dostałam propozycję zamieszkania przy Chrobrego. Zgodziłam się i spodobało mi się tutaj od pierwszej chwili.

Pani Maria porusza się na wózku elektrycznym. Wspomina jedną ze swoich wizyt w ośrodku pomocy: – Ja to mam zawsze tyle energii, że nie lubię, jak coś wolno idzie. Rozpędziłam się po korytarzu jak zając na tym moim „motorze" i łup. Wyrżnęłam w stół, zrobiła się kraksa. Pół urzędu się zleciało. I była tam też pani Kasia, która po rozmowie zaproponowała mi miejsce w tym mieszkaniu.

Katarzyna Torfińska jest koordynatorką i opiekunką dwóch mieszkań cohousingowych OPS w Rybniku. – Pojechałam z Marią do jej córki, żeby również ją zapytać o zdanie, a ona na to: „Ja tu nie mam nic do gadania, jak mama sobie coś postanowi, to tak ma być" – opowiada.

Najkrócej w mieszkaniu przy Chrobrego przebywa pani Krystyna: – Jestem już w takim wieku, że coraz gorzej słyszę, gorzej widzę, mam problemy z chodzeniem. Kiedy tylko dostałam propozycję, nie było mi trudno podjąć decyzję. Choć przyznaję, miałam obawy, jak to wszystko się ułoży. Ale ułożyło się dobrze.

Codzienność seniorek wyznacza rytm posiłków, przyjmowanych lekarstw i krótkich spacerów po okolicy. Z pasją oglądają też tureckie seriale. Oczy błyszczą im się młodzieńczo, gdy wymieniają się opiniami na temat tureckich aktorów.

Jak to się zaczęło

Pomysł nie był efektem jednego projektu ani odgórnej decyzji. Jak mówi Katarzyna Torfińska, mieszkanie powstało jako odpowiedź na narastający problem. Do ośrodka zgłaszało się coraz więcej osób (głównie kobiet) w podobnej sytuacji: samotnych, często z niską emeryturą, mieszkających w dużych, trudnych do utrzymania mieszkaniach albo na wyższych kondygnacjach bloków bez windy (tzw. niewolnicy czwartego piętra).

– Mamy bardzo dużo pań, które zostały same: wdowy, osoby z problemami zdrowotnymi, z trudnościami w poruszaniu się. Do tego dochodzą wysokie koszty utrzymania oraz samotność – wylicza.

Cohousing nie ma jednej, sztywnej grupy docelowej, ale w praktyce trafiają tu osoby w podobnym momencie życia. – To rozwiązanie dla tych, którzy jeszcze są samodzielni, ale już potrzebują wsparcia i zaczynają się zastanawiać, czy to nie jest moment na dom pomocy społecznej – mówi Torfińska.

W Rybniku na początku decydowała głównie kolejność zgłoszeń. Zainteresowanie było duże. Potencjalne mieszkanki przychodziły zobaczyć lokal, czasem spędzały tu kilka godzin, próbując wyobrazić sobie życie w takim układzie.

Dla miasta to również jest korzystne rozwiązanie, dużo tańsze niż opieka instytucjonalna. – Pobyt w domu pomocy społecznej to dziś koszt około siedmiu tysięcy złotych miesięcznie (w niektórych

eprasa.pl fbbd995f95

Seniorki z rybnickiego mieszkania: Maria Korga, Krystyna Arciszewska i Felicja Wolny. Wiosna 2026 r.

miastach w Polsce nawet ponad 10 tys. – przyp. red.). W przypadku osób samotnych dużą część musi więc dopłacać miasto – mówi Torfińska. – Tutaj te koszty są znacznie niższe.

Torfińska jest jedyną osobą w rybnickim OPS bezpośrednio zajmującą się projektem. Jej rola obejmuje zarówno kwestie formalne, jak i codzienny kontakt z mieszkankami.

– To nie ma być instytucja. Chodzi o to, żeby panie mogły żyć po swojemu, ale wiedziały, że w razie potrzeby ktoś im pomoże. Nie chcemy narzucać im zbyt dużej kontroli – podkreśla.

Wsparcie obejmuje m.in. pomoc w sprawach urzędowych, organizację wizyt lekarskich i bieżące sprawy. OPS zapewnia też konserwatora, który zajmuje się drobnymi naprawami.

Największym ograniczeniem jest skala projektu. Mieszkań tego typu jest zbyt mało w stosunku do wciąż rosnących potrzeb. Każde z nich musi być też dostosowane do osób z ograniczoną sprawnością oraz odpowiednio wyposażone. Oznacza to konieczność gruntownych remontów, a często też przebudowy istniejącej przestrzeni.

Mimo ograniczeń finansowych miasto zdecydowało się rozwijać ten model. Po pierwszym mieszkaniu powstało kolejne, w wyremontowanym familoku w dzielnicy Paruszowiec-Piaski.

– To już nie jest pilotaż. Myślimy o tym, żeby takich miejsc było więcej. Idziemy małymi krokami, ale w dobrym kierunku – mówi Torfińska.

Sąsiedztwo zamiast izolacji

Projekt od początku zakładał, że seniorki nie będą mieszkać w odrębnej przestrzeni. W tym samym budynku, na piętrze, znajduje się drugie mieszkanie, w którym przebywają młode samotne matki – kobiety, których start w samodzielną dorosłość był utrudniony przez środowisko, z którego się wywodzą.

Obie przestrzenie są ze sobą powiązane i nie funkcjonują w izolacji. – To nie jest przypadek. Chcieliśmy uniknąć tworzenia zamkniętych obszarów tylko dla seniorów – mówi Katarzyna Torfińska. – Nie chcemy budować miejsc, gdzie są tylko osoby starsze, sklep, przychodnia i nic więcej.

Młodsze kobiety pomagają seniorkom w codziennych sprawach – robią zakupy, pomagają w sprzątaniu, czasem po prostu zaglądają do nich. Zdarzają się też odwrotne sytuacje: seniorki zajmują się dziećmi, kiedy ich matki muszą coś załatwić.

Nieformalna współpraca stała się nieodłączną częścią funkcjonowania domu. – Te dzieci są jak nasze wnuki – mówi pani Felicja. – Uwielbiamy, kiedy do nas przychodzą. Wnoszą tu życie, radość, młodość.

Dla młodych matek jest to również nauka funkcjonowania w relacjach społecznych i doświadczenie międzypokoleniowej bliskości. I wspólnoty, bo *cohousing* jest ściśle związany właśnie z tą ideą, zrodzoną w Danii pod koniec lat 60. XX w.

Wówczas miała to być odpowiedź na rosnące poczucie izolacji w nowoczesnym budownictwie. Pierwsze wspólnoty powstawały z inicjatywy samych mieszkańców, którzy chcieli połączyć niezależność z codziennym kontaktem z innym ludźmi.

W Holandii *cohousing* przybrał bardziej systemowy charakter. Powołano setki takich wspólnot, w tym wiele specjalnie dla seniorów. Są one częścią polityki mieszkaniowej państwa i odpowiedzią na starzenie się społeczeństwa.

Niezależnie od kraju zasada pozostaje podobna: prywatne mieszkanie łączy się z przestrzenią wspólną i wzajemną pomocą.

O tym, że w Polsce tego typu działania stają się naglącą koniecznością, świadczą statystyki. Jak wynika z danych GUS, kobiety żyją przeciętnie ponad 82 lata, mężczyźni niespełna 75. To najdłużej w historii, a prognozy zakładają dalszy wzrost długości życia przy jednoczesnym spadku liczby urodzeń.

Równocześnie, jak pokazują dane Eurostatu, wydłużenie życia nie oznacza automatycznie dłuższego życia w zdrowiu. Przeciętna Polka i Polak spędzają co najmniej kilkanaście lat z rosnącymi ograniczeniami zdrowotnymi, a czasem w cierpieniu, które potrafi obrzydzić starość.

Architektura dobrego życia

Odpowiedzią na te statystyki może być właśnie idea cohousingu. Aby mogła się w pełni ziścić, potrzebne są nie tylko zmiany systemowo-prawne, ale też ↦

eprasa.pl fbbd995f95

Seniorki z rybnickiego mieszkania. Wiosna 2026 r.

↦ w mentalności. Jak mówi dr Agnieszka Labus, architektka zajmująca się projektowaniem dla starzejącego się społeczeństwa, jedną z barier jest silnie zakorzeniony u nas paradygmat własności. Mieszkanie wciąż postrzegamy jako kapitał i „polisę na życie", co utrudnia przejście do modelu cohousingu, który opiera się na współdzieleniu i elastyczności.

Jak twierdzi Labus, brak jest nam też modeli pośrednich. Pomiędzy samodzielnym, niedostosowanym mieszkaniem w bloku a domem pomocy społecznej istnieje ogromna luka. Barierą jest też brak zaufania społecznego. *Cohousing* wymaga miękkich kompetencji: umiejętności negocjacji i wspólnego podejmowania decyzji, których jako społeczeństwo dopiero się uczymy.

Istotne jest też, by projektowana przestrzeń zachęcała do budowania relacji i nie stawała się martwą bryłą. Przestrzeń musi być „katalizatorem spotkań". Musi dawać wybór między prywatnością a wspólnotą. To tzw. architektura wspierająca, która poprzez odpowiedni układ korytarzy, wspólnych kuchni czy ogrodów zapobiega izolacji.

Cohousing nie zastępuje oczywiście rodziny ani systemu ochrony zdrowia. Nie ma też jednak w sobie niczego z chłodu instytucji, funkcjonującej w określonych godzinach i schematach. Na pewno zdecydowanie zmienia codzienność. – Najważniejsze, że zawsze ktoś jest obok – mówią mieszkanki lokalu w Rybniku.

Wspólnota jest dla nich receptą na starość. Na pytanie, czym właściwie ta starość jest, nie odpowiadają od razu. Raczej poprawiają pytanie, mówią o różnych jej wariantach. – Jak ktoś mieszka z rodziną, z dziećmi, wnukami, to jest inaczej. Ale i wtedy często taka babcia jest już trochę na boku. Niby jest, ale jakby jej nie było. Chodzi przecież nie tylko o opiekę nad nią, ale też o rozmowę, włączenie w codzienność – tłumaczy pani Krystyna.

– Niech ktoś powie: „chodź, zobacz, co leci w telewizji". Wtedy człowiek jeszcze w tym życiu rodzinnym uczestniczy. A jak nie, to się wycofuje – dodaje pani Maria.

Żyć tym, co jest

Wszystkie trzy kobiety mówią mi również o tempie życia. O tym, że świat przyspieszył, a one zostały trochę z tyłu. Krystyna z wykształcenia jest inżynierem, skończyła politechnikę. Pracowała w przemyśle budowlanym, głównie z mężczyznami. To było inne środowisko i inne relacje. Teraz wielu z tych ludzi już nie ma, więc dla Krystyny starość to także doświadczenie utraty – znajomych, przyjaciół, spotkań. Wzajemnej pomocy. – To było życie – wzdycha.

Pani Felicja pracowała jako sekretarka w szkole. – Uwielbiałam ten szkolny gwar. Do dziś mi się zdarza, że ktoś na ulicy mówi: „dzień dobry, pani Felu", a ja nie wiem, kto to jest, więc dopytuję. Zwykle to uczniowie z mojej szkoły. Pamiętają i pozdrawiają, więc chyba mnie lubili – śmieje się.

Seniorki nie lubią narzekania na młodsze pokolenia. – Nie znoszę takiego gadania – mówi Maria. – Odkąd pamiętam, starcy mówili, że młodzież jest okropna. To nieprawda.

W rozmowie wciąż powraca jeden wątek – samotność. Nawet jeśli dziś już mieszkają razem, doświadczenie izolacji tkwi w nich głęboko. – Tak, starość mocno się z tym wiąże – przyznają.

O gasnącej sprawności mówią ze zrozumieniem. – Człowiek już pewnych rzeczy nie zrobi, bo wszystko boli. Ale jednak wciąż żyję, to najważniejsze – mówi Felicja. A Maria dodaje: – Ja na tym moim „motorze" niemal wszędzie wjadę. Niedawno rozwaliłam nim drzwi w markecie. Ale wjechałam – mówi ze śmiechem i dodaje, że to, co teraz im się przydarza, to życie na kredyt.

– Większość naszych rówieśników już nie żyje. Patrzę na siebie i myślę: co ja tu jeszcze robię? – mówi Maria.

Jednak w ich głosach nie czuję zgorzknienia, raczej pogodzenie z losem. Gdy pytam, co zrobić, żeby na starość zachować pogodę ducha, odpowiadają zgodnie: nie żyć przeszłością. – Można opowiadać, jak było, wspominać to, co było piękne, ale nie porównywać ciągle z teraźniejszością i nie biadać, że kiedyś było lepiej. Wtedy człowiek się tylko męczy – mówi Krystyna.

– Nie rozpamiętywać. Żyć tym, co jest – dodaje Felicja.

■■■

Rozwiązania cohousingowe zaczynają pojawiać się także w innych miastach. W Gliwicach trwa remont pierwszego mieszkania wspomaganego dla kilku seniorek, które będą prowadzić wspólne gospodarstwo domowe. Rekrutacja do pilotażu ma ruszyć jeszcze w 2026 r., a projekt od początku pomyślany jest jako alternatywa dla samotnego mieszkania i domów opieki.

Podobne kierunki polityki mieszkaniowej dla seniorów deklarują Katowice, które inwestują w mieszkania dostosowane do potrzeb osób starszych i projekty sprzyjające integracji międzypokoleniowej. Choć skala tych działań jest w Polsce na razie niewielka, coraz wyraźniej widać, że model wspólnego życia seniorów przestaje być eksperymentem, a zaczyna funkcjonować jako jedna z najlepszych odpowiedzi na starzenie się społeczeństwa.

©℗ JACEK TARAN

eprasa.pl fbbd995f95

OLGA

Drenda:
Czar maga Naodwalsie

To także aspekt staranności: przekonanie, że moja miejscowość, nawet mała, zasługuje na porządne rzeczy. Staranność innych bywa zaraźliwa i sprawia, że chce się brać przykład.

Z należytą starannością wykonać przedmiot umowy" – to standardowy zapis znany wszystkim, którzy parają się świadczeniem jakichś usług i realizacją zleceń. Wykonanie niedbałe oznacza niewywiązanie się z umowy, ale, co ciekawe, przekroczeniem zasad jest także staranność nadmierna. Należy postępować na miarę swojej wiedzy i kompetencji – tyle litera prawa. A jak ma się to do życia codziennego, które oczywiście jak zwykle swoje?

Gdy się obcuje ze starannością w mowie i uczynku, życie nabiera osobliwego dopełnienia. Działa to trochę tak jak właściwie położone bliki światła i cienie w rysunku albo dodatki dobrane do stroju – z wersji wstępnej, 1.0, czynią gotową całość. To taka wyczuwalna pewność, że miejsce czy rzecz, z których korzystam, będą działały i mogę im zaufać, bo komuś chciało się dopilnować i sprawdzić. Zawsze odczuwam to, gdy spaceruję po tych kawałkach miast polskich, gdzie widać, że komuś się chciało zaprojektować i wykonać coś porządnie i równo, może nawet ze schludną elewacją, a przede wszystkim zrobić więcej niż to nędzne gołe minimum.

Oczywiście ktoś powie: „przecież na pewno mowa o jakichś bogatych kamienicach, w których musiała się chyba mieścić rezydencja mecenasa Prado!". Niekoniecznie, ale nawet jeśli, to przecież ulica, wraz z galerią frontów budynków, należy także do spacerowicza, który może cieszyć się tym wszystkim, uwaga, za darmo. To także aspekt staranności: przekonanie, że moja miejscowość, nawet mała, zasługuje na porządne rzeczy. Staranność innych bywa zaraźliwa i sprawia, że chce się brać przykład.

Tajemniczy patron

OLGA DRENDA

Z drugiej strony mijałam hotel, świeżo zbudowany i na oko wcale nietani, któremu gdzieś, niby temu misiu oczko, odpadła nowo przymocowana literka. Widywałam też oberwane tapety w tych legendarnych toaletach, w których za 4 złote można doznać chwilowego luksusu z muzyką relaksacyjną włącznie. To są rzeczy pojedyncze, dla których można znaleźć zawsze uzasadnienie – tu akurat brakło pieniędzy, tu czekają na przetarg, tam konserwator ma urlop – ale czasami wyraźnie zaczynają się jednocześnie kumulować i przechodzić w etap długiego trwania.

A więc znów w nasze życie wkrada się zaklęcie złego maga Naodwalsie, pomyślałam z przykrością. Gdy zaczyna ono działać, gdy standard już się obniża – na pewien czas Polacy zarażają się od siebie nawzajem skłonnością do wykonywania wszystkiego po łebkach, zostawiania roboty w pół drogi, machania ręką. To potem mija, ale czar raz rzucony nie znika do końca i ma skłonność do powracania czkawką.

Z folkloru branży remontowej znam bardzo celną zasadę, zgodnie z którą podczas wykonywania usługi możliwe są jednocześnie tylko dwie rzeczy z trzech: szybko, tanio i dobrze. Z obserwacji świata dookoła wynika, że najczęściej rezygnuje się z tej ostatniej kategorii, ale o tym, że gorszy pieniądz wypiera lepszy, wiedział już staruszek Kopernik.

Nieco bardziej dziwi może to, że widuje się także realizacje zapewne całkiem kosztowne, które także prezentują się niechlujnie. Tu zapewniona została widocznie tylko jedna z obiecanych jakości, ale może za to podwójnie – szybko i szybko? Polecam np. zwrócić uwagę na wszechobecność literówek w przestrzeni publicznej („litrówek", jak mawiają żartem tłumacze). Na ogłoszeniach czy ulotkach bywają uciesznym urozmaiceniem codziennego spaceru („zatrudnimy na satanowisko" oraz „województwo małpopolskie" to moje osobiste typy), ale co zrobić, gdy błędy i kiksy pojawiają się na szyldach i banerach firm obiecujących solidną jakość? Albo gdy wręcz dotykają wieczności, bo przecież nagrobek z literówką to też rzecz nie tak znów rzadka?

Najbardziej zdumiewającym przykładem są napisy na budynkach, np. urzędów albo co jeszcze zabawniejsze – szkół, w których litery zderzają się ze sobą albo zsuwają się po linii pochyłej. Tak – to nie są tanie rzeczy, a mimo to komuś nie chciało się dopilnować, by litery tworzące napis „urząd miasta" ustawić w prostej linii i proporcjonalnej odległości. Oczywiście ktoś znów powie, że także i krzywo podpisany urząd jest nadal urzędem, może nawet działającym sprawnie i scyfryzowanym, i znów pod jakimś względem będzie miał rację. Ale prawdopodobnie człowiek odpowiedzialny za montaż liter na elewacji podpisał umowę zakładającą „należytą staranność". Może podświadomie wiedział, że to umowa na pomnik naszej epoki. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl fbbd995f95

OPINIE

CZTERY POMYSŁY NA SZKOŁĘ PRZYSZŁOŚCI

Szkołę trzeba wymyślić na nowo. Trzeba ją przebudować odważnie i radykalnie. I trzeba to zrobić natychmiast, a nic nie stoi na przeszkodzie, żeby światowa rewolucja zaczęła się w Polsce.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

eprasa.pl fbbd995f95

Z góry ustalony program nauczania i traktowanie uczniów jak armii klonów to przeżytki oparte na fabryczno-koszarowej logice z epoki druku. Jako takie nie mają racji bytu w dobie cyfrowych technologii. Miejsce dzienników (także elektronicznych), klas, sal i dzwonków jest w muzeum.

Ale nie miejsce szkoły, a już na pewno nie miejsce nauczycieli. Nauczyciel to praca przyszłości, a być może nawet ostatnia praca na świecie. Tak przynajmniej twierdzi amerykańska socjolożka Allison Pugh.

Nauczyciel to ostatnia praca na świecie

To mocna teza, zawarta już w tytule jej książki „*The Last Human Job*". Pugh pracuje na Johns Hopkins University, cieszącym się sławą najlepszej szkoły medycznej na świecie. To tam prowadzone są przełomowe badania nad nowymi lekami, innowacyjnymi procedurami operacyjnymi, szczepieniami i zdrowiem publicznym. Pugh także zajmowała się medycyną, tyle że ona przez lata z zainteresowaniem przyglądała się pielęgniarkom, doradcom czy kapelanom – wszystkim tym, których zadaniem było przede wszystkim towarzyszyć pacjentom w cierpieniu i, jak ujmuje to autorka, „widzieć w nich człowieka".

GORODENKOFF / ADOBE STOCK

Tą drogą badaczka doszła do zdefiniowania szczególnego rodzaju pracy, którą nazywa „pracą konektywną" (*connective labour*). Pojęcie to oznacza po prostu wspieranie relacji i budowanie środowiska, w którym ludzie pozostają ludźmi.

W sproceduralizowanym i materialistycznym świecie nowoczesnej medycyny praca ta była często niedostrzegana, a jej – ogromne! – korzyści dla pacjentów nie były tak oczywiste, jak rezultaty działania nowych leków czy wielogodzinnych operacji. Ale kiedy już Pugh rozpoznała i opisała ten specyficzny rodzaj wysiłku, zaczęła dostrzegać go w wielu miejscach.

W ten sposób jej uwaga przeniosła się na szkołę. To właśnie tam Pugh dostrzegła prawdziwe królestwo pracy konektywnej.

Szkoła uczy nas być ludźmi

Szkoła, obok przekazywania wiedzy, robi coś znacznie ważniejszego. Uczy nas być ludźmi. Nauczycielka czasem jest chirurżką, czasem zapisuje leki, znacznie częściej jednak jej zadania przypominają wyzwania doradcy, pielęgniarki albo duszpasterza. Musi przede wszystkim dostrzec w uczniu człowieka, z całą jego wyjątkowością, i nauczyć go widzieć człowieka w innym.

Być może dlatego od lat nie jesteśmy w stanie naprawdę odważnie i radykalnie pomyśleć o szkole przyszłości, że swoją uwagę kierujemy wyłącznie na obszar przekazywania wiedzy, ignorując znacznie ważniejszą „pracę konektywną".

Co ciekawe: zwrócenie uwagi na ten aspekt wcale nie oznacza odcięcia się od refleksji o nowej technologii. Przeciwnie! Wygląda na to, że droga do realizacji tej głęboko humanistycznej misji wiedzie, paradoksalnie, przez lepsze zrozumienie i mądrą adaptację błyskawicznie rozwijającej się technologii.

Poniżej przedstawiam cztery ważne osie napięć, wokół których w najbliższych latach decydować się będzie przyszłość szkoły (jeśli, oczywiście, odważymy się wreszcie na wymyślenie jej jakiejś przyszłości).

Po pierwsze, szkoła ma być jak Uber, ale bez uberyzacji szkoły

Zacznijmy od najbardziej kontrowersyjnego pomysłu i miejmy to już za sobą. Otóż wierzę, że szkoła może się wiele nauczyć od... Ubera.

Dużo mówi się o negatywnych skutkach rozprzestrzenienia się tego rodzaju platform internetowych. I słusznie! Nick Srnicek już 10 lat temu opisał najpoważniejsze związane z nimi zagrożenia w „Kapitalizmie platform", a Shoshana Zuboff uzupełniła jego diagnozę w „Wieku kapitalizmu inwigilacji".

Najpoważneiszy problem to prekaryzacja kolejnych zawodów (np. taksówkarza czy kuriera), czyli zmiana ich z etatów w dorywcze „fuchy" (ang. *gigs*) wykonywane *ad hoc*, bez poczucia stabilności. Zyski zgarnia platforma, koszty często ponosi cała społeczność – jak w przypadku mieszkań sąsiadów, wynajmowanych krótkoterminowo na Airbnb czy Booking.com. Do tego dodać można monopolizację całych sektorów gospodarki przez gigantyczne globalne podmioty i nadzwyczaj skuteczne unikanie płacenia podatków przez większość korporacji.

↦

eprasa.pl fbbd995f95

↦ W ten sposób wielcy stają się jeszcze więksi, a mali więdną w ich cieniu. Do tego dochodzą gigantyczne korpusy danych zbierane o użytkownikach oraz działanie aktywnych algorytmów, które już nie tylko przewidują nasze zachcianki, ale coraz zuchwalej je kształtują. Całość tych koszmarnych zjawisk nazywa się właśnie „uberyzacją" i stanowi przerażającą przestrogę przed kierunkami, w których rozwinąć się może również szkoła przyszłości.

A jednak gdzieś w sercu nawet najbardziej drapieżnych platform drzemie pierwotne dobro. Wszak wyrosły one z jednej z najgenialniejszych funkcjonalności „paleointernetu" – rozpoznania cudownej możliwości błyskawicznego kojarzenia popytu i podaży, jakie stwarza globalna sieć komputerowa. Przy czym popytem może być chęć kupienia używanego konika na biegunach albo pojechania na Żoliborz, ale też – co kluczowe z naszego punktu widzenia – głód wiedzy na dowolnie ezoteryczny temat.

Dzięki internetowi dwoje ludzi może się dostrzec, spotkać i wymienić. To właśnie z tej potrzeby, a nie z pragnienia nieograniczonego zysku, narodziła się koncepcja internetowych platform. I właśnie do tej idei warto znów nawiązać. Szkoła przyszłości jako platforma stawiałaby sobie za cel stworzenie najlepszego możliwego dopasowania między uczniem a nauczycielem. W rozmowie jeden na jeden albo w ramach dowolnie dużego audytorium.

Dziś usługę taką oferują platformy do lekcji dodatkowych i korepetycji działające obok systemowej szkoły, a czasem wręcz utrzymujące się z jej słabości. Czemu jednak nie mogłaby tak wyglądać szkolna codzienność? Dlaczego ciekawy świata młody matematyk nie miałby od czasu do czasu wymienić kilku zdań z inspirującym doktorantem z UW (lub Cambridge) albo ze specjalistą od ubezpieczeń, na co dzień wykorzystującym rachunek prawdopodobieństwa w budowie modeli ryzyka?

Swoją drogą, pewne rozmycie granic między nauczycielami i „nienauczycielami", jakie przyniosłyby szkolne platformy, mogłoby dać fascynujące efekty. Jestem sobie w stanie wyobrazić niedaleką przyszłość, w której wybitni praktycy z różnych dziedzin chętnie dzielą się wiedzą w ramach szkoły, ponieważ przynosi to realne pieniądze, prestiż i szacunek w lokalnym środowisku. A jednocześnie nauczyciele wykorzystują swoje talenty także poza szkołą.

Warto podkreślić, że w tym obszarze technologia nie tyle daje szkole coś nowego, ile raczej pozwala jej na nowo odkryć swoje serce. Szkoła rozumiana szeroko – od żłobka po staże podoktorskie – była bowiem zawsze niczym innym jak platformą umożliwiającą spotkania ludzi, którzy mogą się wzajem czegoś od siebie nauczyć.

Po drugie, w szkole indywidualizacja ma uczyć współpracy

Szkoła przyszłości mogłaby więc wykorzystywać model platform. Także po to, by przekazywać materiał w tempie i formie maksymalnie dostosowanej do ucznia. Nie jest to koncepcja nowa. Pasjonaci matematyki od dwudziestu lat uczą się rachunku różniczkowego z prostych wideo na legendarnej Khan Academy, po czym we własnym tempie rozwiązują testy, odbywają powtórki i motywują się, zdobywając punkty.

Większość platform i aplikacji do nauki (w tym nauki języków) wykorzystuje eksperymentalnie potwierdzoną i bardzo skuteczną technikę powtórek interwałowych (*spaced repetition*). To po prostu system fiszek powracających do nas w odpowiednich odstępach, dopasowanych do naturalnych mechanizmów zapamiętywania i zapominania.

To technologiczna odpowiedź na niewygodny fakt, że ważną częścią nauki dowolnej umiejętności jest żmudne, mechaniczne powtarzanie. Ćwiczenie na instrumencie, rozwiązywanie coraz trudniejszych zadań, podnoszenie ciężarów albo czytanie filozofii.

Wszędzie tu pojawia się legendarna zasada „dziesięciu tysięcy godzin" spędzonych na ćwiczeniu w drodze do mistrzostwa, spopularyzowana przez Malcolma Gladwella.

Zasada ta ma w sobie sporo prawdy, choć nie działa tak prosto. Nie wystarczy bezmyślne tłuczenie na autopilocie, co w odpowiedzi na książkę Gladwella wielokrotnie podkreślał odkrywca „dziesięciu tysięcy godzin", K. Anders Ericsson – pionier badań nad „świadomym ćwiczeniem" (*deliberate practice*). W rzeczywistości ilość ma tu nie mniejsze znaczenie niż jakość (skupienie, staranność), kluczowa jest też struktura ćwiczenia i zachowanie motywacji, co specjalne aplikacje faktycznie mogą ułatwić, dostarczając szybką informację zwrotną oraz zapewniając gamifikację doświadczenia.

Niezależnie od wszystkiego – szkoła przyszłości musi uczyć dzieci także wytrwałości i konsekwencji, co podkreśla Paul Though, do którego koncepcji jeszcze w tym tekście wrócimy.

A więc długie godziny spędzone na pilotowanym przez algorytm odkrywaniu i powtarzaniu. Eksperymenty z wprowadzeniem takiego modelu do szkół są już zaawansowane, a pionierami, jakże by inaczej, okazali się mieszkańcy Doliny Krzemowej. Np. organizacja Altitude Learning prowadzi już kilkanaście szkół opartych na tworzeniu przez uczniów „indywidualnej playlisty" do nauki opartej głównie na powtarzaniu interwałowym.

Wróćmy na chwilę do Allison Pugh, która w ramach badań do książki odwiedziła jedną z takich szkół. Wcale nie była zachwycona, gdy ujrzała uczniów siedzących w klasie całkiem oddzielnie. Każdy ze słuchawkami na uszach, każdy przechodzący własną ścieżkę „dziesięciu tysięcy godzin" do mistrzostwa, w samotności reagujący na kolejne sukcesy i porażki. Z drugiej strony uczniowie faktycznie byli mocno zmotywowani do poznawania wiedzy, a wybór indywidualnych kursów i projektów pozwalał im eksperymentować i rozwijać różne talenty.

Z punktu widzenia Pugh najważniejsze okazało się jednak to, że nauka w systemie indywidualnych powtórzeń interwałowych okazała się szybsza i znacznie mniej pracochłonna i dla uczniów, i – przede wszystkim – dla nauczycieli. Kluczowe było więc to, co z uwolnionym czasem będą robić obie strony. Jeżeli zaoszczędzony na nieefektywnym wkuwaniu czas zostanie wykorzystany na „pracę konektywną", możemy odnieść podwójne korzyści!

Dlatego właśnie technologia musi zostać uzupełniona przez człowieka. Aplikacje usprawniają czyste przekazywanie wiedzy. Ale nie po to, by szkoła mniej czasu i uwagi poświęcała swej podstawowej misji łączenia ludzi. Przeciwnie – dzięki tech-

eprasa.pl fbbd995f95

GORODENKOFF / ADOBE STOCK

Informacja o tym, że „Słowacki wielkim poetą był” jest mniej istotna niż zdolność zadania pytania o to, po co w ogóle porównujemy poetów, jakie są możliwe kryteria estetyczne i po co nam kanon.

nologii więcej czasu nauczyciela i ucznia powinno zostać zwolnione na ich wspólną indywidualną pracę, długie rozmowy, ale też na projekty zespołowe i zabawę.

Im więcej indywidualnego podejścia do ucznia, tym więcej szkoła powinna stwarzać przestrzeni do wspólnego spędzania czasu i poznawania świata: uczyć współpracy, komunikacji i rozwiązywania konfliktów. W szkole przyszłości więcej indywidualizacji dzięki technologii musi dać nam więcej „pracy konektywnej”, wykonywanej przez ludzi, dla ludzi i z ludźmi.

Po trzecie, kultura danych obędzie się bez biurokracji

Obecnie tak się jednak nie dzieje. Na każdą zaoszczędzoną dzięki technologii godzinę dwie godziny zostają nauczycielom (a w konsekwencji uczniom!) skradzione przez biurokrację (na co Allison Pugh także zwraca uwagę). Formularze, tabele, rejestry i zgody przytłaczają „pracę konektywną” nie tylko w szkole. W dążeniu do obiektywizacji, zapewnieniu równych szans i zapobiegania kryzysom skręciliśmy w ślepy zaułek.

Nowe technologie powinny uwalniać nas od biurokracji, a nie generować ją. Mapowanie postępów ucznia, ocena edukacyjnej wartości dodanej w poszczególnych placówkach (a nawet klasach) – wszystko to może odbywać się coraz bardziej automatycznie, bez mnożenia zbędnej biurokracji.

Umożliwiłoby to wyjście z jednej z najbardziej ironicznych pułapek naszych czasów: dziś szkoła się nie uczy. Ani na błędach, ani na sukcesach. Tymczasem programy i metody nauczania muszą na bieżąco adaptować się do zmieniających się warunków i potrzeb, stawać się coraz sprytniejsze, ewoluować.

Skoro stać nas, żeby robiły to algorytmy TikToka, odpowiedzialne za społeczną dystrybucję filmów o kotkach, to tym bardziej powinniśmy sprawić, by działały tak algorytmy odpowiedzialne za przyszłość naszego świata. W wojnie cyfrowej dyktatury z cyfrową demokracją musimy wreszcie solidnie dozbroić tych dobrych. Bez tego rebelianci nigdy nie wygrają z imperium.

Po czwarte, kanon jest potrzebny, ale bez ujednolicania

To jeszcze chwilkę o danych. Jeśli zastanowimy się nad sposobem, w jaki przechowujemy nasze dane, z łatwością uświadomimy sobie gigantyczną zmianę, która niemal niepostrzeżenie zaszła w ciągu ostatnich dwóch dekad. W doświadczeniu użytkownika przeszliśmy od plików jednoznacznie przypisanych do pewnej lokalizacji do zbiorów danych błyskawicznie przeszukiwalnych z dowolnego miejsca, które możemy filtrować i sortować według różnych etykiet (tagów) czy słów kluczowych.

Nie muszę już pamiętać, w którym folderze zapisałem ten tekst, bo odnajdę go natychmiast, wpisując w okienko wyszukiwania „szkoła” albo „Allison Pugh”. Od folderów przeszliśmy do chmur. Od katalogów stron internetowych do Google’a.

Ta zmiana wydaje mi się bardzo ważna dla szkoły, która pod wieloma względami naśladuje strukturę tego, czego uczy. Podział na oddzielne przedmioty, instytucja podręcznika, ale też koncepcja kanonu wymaga dziś przemyślenia na nowo.Tak jak przyszłość uniwersytetu wiąże się z przełamywaniem granic między dyscyplinami, tak szkoła będzie musiała w najbliższym czasie zrezygnować z koncepcji uczenia biologii oddzielnie od fizyki, chemii czy historii. Nie potrzebujemy kompletnie nieżyciowych zadań o Asi, która kupiła trzy jabłka więcej niż Jaś, bo biologia, historia, a nawet język polski dostarczają dostatecznie dużo rewelacyjnych okazji do zastosowania wszelkich narzędzi matematyki.

Na tym jednak nie koniec. W świecie bez folderów przeszukiwanie, agregowanie i interpretowanie danych, a także umiejętność krytycznego podejścia do nich, będą stanowić kluczowe kompetencje. Dlatego szkoła przyszłości musi uczyć nie tylko samej wiedzy, ale też umiejętności metakognitywnych, które w swojej książce „Jak dzieci odnoszą sukces?” opisuje wspomniany już przy okazji wytrwałości Paul Though. ↦

eprasa.pl fbbd995f95

Informacja o tym, że „Słowacki wielkim poetą był” jest mniej istotna niż zdolność zadania pytania o to, po co w ogóle porównujemy poetów, jakie są możliwe kryteria estetyczne i do czego potrzebny jest kanon.

A skoro już o kanonie mowa – oto kolejne wyzwanie stojące dziś przed szkołą. W świecie zindywidualizowanej wiedzy, gdzie każdy uczeń może podążać za własną ciekawością, wciąż go potrzebujemy. Lektury, fakty, miejsca, daty i postaci, które wszyscy znamy, tworzą przestrzeń wspólną. Wyobraźmy sobie życie jako wielką grę w kalambury. Możemy się porozumieć i pokazać nowe hasła tym łatwiej, im więcej wspólnych punktów odniesienia mamy.

Oczywiście kanon warto modernizować, starych lektur nie trzeba czytać bezkrytycznie, a zakres tego, co „każdy wykształcony człowiek powinien wiedzieć”, będzie się zmieniał. W świecie rosnącej polaryzacji i atomizacji potrzebujemy jednak wszelkich możliwych przestrzeni wspólnych. „Praca konektywna” wykonywana przez nauczycieli i szkołę polega także na budowaniu pewnej wspólnoty wiedzy.

Najbardziej radykalną formą odrzucenia kanonu są dziś głosy mówiące o tym, że w ogóle żadna wiedza nie jest już uczniom potrzebna, skoro wszystko mogą sprawdzić na Wikipedii albo spytać ChataGPT. Rzekomo powinniśmy więc uczyć wyłącznie wyszukiwania i analizy. To kompletne nieporozumienie! Posiadana już wiedza znacznie ułatwia przyswajanie nowej.

Po pierwsze, ucząc się, uczymy się uczenia się. Choć brzmi to dziwnie (a w zapisie wygląda wręcz przerażająco), ta oczywista prawda stanowi jeden z najcenniejszych drogowskazów dla szkoły przyszłości. Uczenie się jest rzemiosłem, w którym także osiąga się mistrzostwo przez tysiące godzin żmudnego ćwiczenia.

Po drugie, jak pokazują badania, posiadane informacje stanowią „rusztowanie” dla nowej wiedzy, przyspieszając jej przyswajanie i zapamiętywanie (np. dostarczając kategoryzacji czy analogii). Dlatego zdobywanie wiedzy, choćby nawet abstrakcyjnej, ma głęboki sens. Skoro jednak wiedza nudna i bezużyteczna nie ma w tym aspekcie żadnej przewagi nad fascynującą i przydatną, uczniowie szkoły przyszłości powinni zachować dużą swobodę w wybieraniu swoich ścieżek, choćby i najmniej uczęszczanych, o ile tylko będziemy w stanie zadbać, by się te ścieżki od czasu do czasu przecinały z drogami innych.

Wrzesień już za chwilę, oto zadanie domowe na wakacje

Takich osi napięć wskazać można oczywiście znacznie więcej. Musimy np. zachować szacunek dla eksperckości i metody naukowej, przy jednoczesnym wypłaszczaniu hierarchii (uczenie się wzajemne i „poziome”, a więc na linii uczeń–uczeń). Ważne jest budowanie ścian (szkoła jako bezpieczna przestrzeń), przy jednoczesnym burzeniu murów (szkoła musi się lepiej przenikać z życiem, także z życiem lokalnej wspólnoty).

Szkoła przyszłości musi być „lisem” (realizować wiele zadań i funkcji), a zarazem „jeżem” (nie tracić swej jednej specjalności i sensu, jakim jest przekazywanie wiedzy i wychowywanie nowych pokoleń).

Przedstawione w tym tekście pomysły mogą się okazać lepsze albo gorsze – ale stanowią zaledwie punkt wyjścia. Najważniejsze jest to, byśmy uwierzyli, że szkołę trzeba wymyślić na nowo i że jest to najważniejsze i najpilniejsze zadanie, przed jakim obecnie stoimy.

Niestety, zawsze jest jakieś usprawiedliwienie. Jakieś „jutro”, „nie teraz”, albo „to nie takie proste”. Mamy przecież mnóstwo pilniejszych i poważniejszych wyzwań: wojnę, kryzys klimatyczny albo pandemię. To pułapka!

Najwyższy czas uświadomić sobie, że jeśli we wrześniu poślemy nasze siedmiolatki do zupełnie innej szkoły, to za półtorej, najdalej dwie dekady nasze uniwersytety i szpitale, Sejm i Senat, fabryczne hale i drobne biznesy zaczną wypełniać się nowym pokoleniem talentów, które dostrzegą rozwiązania, a może nawet szanse tam, gdzie my widzimy tylko problem i zagrożenie.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

REKLAMA

radar – magazyn literacki w trzech językach.
Najnowsza literatura z Polski, Niemiec i Ukrainy.

W nadchodzącym numerze m.in.:
Daniel Kehlmann, nominowany do Nagrody Bookera w 2026 roku
Mateusz Górniak, finalista Nagrody Literackiej Nike w 2023 roku
Anastasija Lewkowa, autorka bestsellerowych „Imion Krymu”
Jerzy Franczak, laureat Krakowskiej Książki Miesiąca 2025
Tamara Duda, laureatka Nagrody im. Tarasa Szewczenki
i wiele, wiele więcej!

POEZJA - PROZA - ESEJE - WYWIADY

Czytaj na e-radar.online, a bezpłatnego egzemplarza szukaj w księgarniach kameralnych.

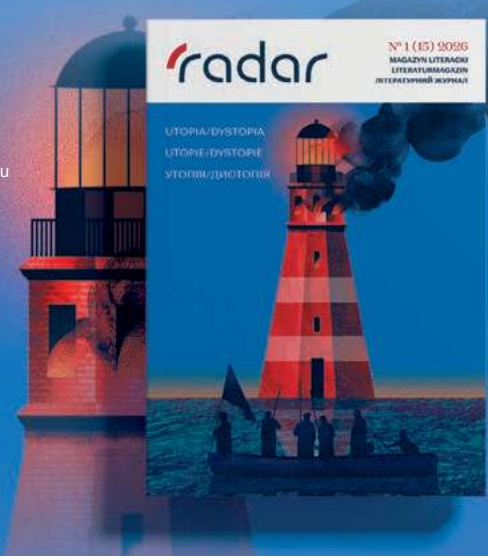

Wydawca:
Instytut Kultury Willa Decjusza
Kraków

Finansowanie:
OeAD
austriackie forum kultury
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

eprasa.pl fbbd995f95

NATALIA

de Barbaro:

Sztuczne wygenerowało

Byłam ostatnio na Prestiżowej Konferencji. Jednym z licznych występujących był tam współtwórca wartej miliardy firmy AI, zajmującej się syntezą głosu (czyli biorą tekst i zamieniają go na bardzo naturalnie brzmiący głos, którego właściciel nie istnieje). Jednym z wątków w rozmowie z technologicznym geniuszem było symulowanie empatii. „Jesteśmy w tym coraz lepsi!" – radował się geniusz. Na dowód publiczność mogła zobaczyć filmik z „rozmową": sfrustrowany klient linii lotniczych dowiaduje się właśnie, że jego lot, dzięki któremu miał dotrzeć do domu na urodziny córki, został odwołany.

Dzwoni na infolinię i rozmawia z niezwykle empatyczną panią, która z przejęciem i fachowością znajduje lot alternatywny („nie możemy dopuścić do tego, żeby córka obchodziła urodziny bez taty!"). Pani oczywiście nie istnieje; jest syntetycznym głosem AI. I właśnie dlatego, kiedy filmik się kończy, publiczność zrywa się do braw. Brawa są długie i gromkie. Cudownie! Jak świetnie zasymulowaliście empatię! Słowo daję, uwierzyłem! Czy to można już kupić? Cena nie gra roli!

Osobiście nie klaskałam. Bo czemu miałabym przyklaskiwać? Że *machina sapiens* coraz lepiej podszywa się pod *Homo sapiens*?

Człowiek myśli o sobie jako o istocie podejmującej racjonalne i świadome decyzje (o sobie samym, bo już innych chętnie uznaje za szaleńców). Ci, którzy klaskali w zachwycie nad podrabianą empatią, nie myślą o tym, że niedługo ich mózg może uznać „asystentów AI" za ludzi. Tymczasem psychologia poznawcza opisuje ważne w tym kontekście zjawisko: nasze mózgi przez większość czasu pracują w trybie tzw. przetwarzania peryferycznego.

Kiedy przetwarzamy peryferycznie, podlegamy nieświadomym wrażeniom, skrótom myślowym. Jesteśmy bezrefleksyjni i odruchowi. Przeciwieństwem jest przetwarzanie centralne – czyli sytuacja, kiedy jesteśmy skupieni, analizujemy fakty, świadomie podejmujemy decyzje. Centralnie jesteśmy za prawami człowieka – ale kiedy nasz mózg słyszy sformułowanie „fala uchodźców", dokonuje się w nim skojarzenie pomiędzy uciekającym przed wojną człowiekiem a niebezpiecznym żywiołem.

Oficjalnie jesteśmy za równouprawnieniem kobiet i mężczyzn, ale kiedy mówimy „poseł Nowak", a nie „posłanka Nowak", nasz mózg utrwala zapis, wedle którego „poseł" równa się „mężczyzna". Kiedy przetwarzamy centralnie, wiemy, że ChatGPT nie jest człowiekiem – ale peryferyjnie (czyli na ogół!) nasz mózg reaguje na niego tak, jakby nim był.

Pomna tego zagrożenia, postanowiłam wprowadzić parę zmian w mojej „relacji" z czatem. Nie chodziło mi o to, żeby się od AI odciąć. Nie chcę być jak ci, którzy halucynowali poglądy Olgi Tokarczuk, krytykując ją, chociaż sami przeczytali mniej książek, niż ona napisała. Chciałam natomiast mądrze się ustawić wobec tzw. wyzwań naszych czasów.

Mózg chłonie świat poprzez język, a my sami możemy w pewnej mierze kształtować własną jego odmianę. Ja postanowiłam swój język wokół AI od-antropomorfizować. Czyli, w przeciwieństwie do gromko oklaskiwanych starań technologicznych magików, nie pomagać, a wręcz przeszkadzać technologii w podszywaniu się pod człowieka.

Zaczęłam od gramatyki. Jakiego rodzaju, z poziomu ducha, a nie litery, jest czat GPT? Oczywiste, że nijakiego. Postanowiłam więc, że zamiast „czat GPT" będę mówić „Sztuczne"; zamiast „czat mi powiedział" mówię „Sztuczne wygenerowało", albo choćby „Sztuczne powiedziało". Napisałam też Sztucznemu, żeby mnie nie chwaliło i nie wydawało z siebie komunikatów dotyczących własnych rzekomych uczuć. Żadnego „to będzie na pewno pyszne!", żadnego „co za głębokie pytanie!", żadnego „przykro mi, że zepsuły ci się wycieraczki w samochodzie".

Napisałam Sztucznemu, żeby samo o sobie mówiło w rodzaju nijakim, co prowadzi do różnych gramatycznych ekwilibrystyk. Suma tych akrobacji doprowadziła jednak do tego, że mój mózg zdaje się lepiej rozumieć, co jest ludzkie, a co ludzkie nie jest.

I teraz mogę ruszyć do zabawy; napawać się niezwykłymi okolicznościami, które nam się przydarzyły. Bo są niezwykłe, te czasy. ©

Natalia de Barbaro jest psycholożką, poetką, prowadzi autorskie warsztaty dla kobiet. Autorka bestsellerowej „Czułej przewodniczki", „Przędzy" i „Przejść".

eprasa.pl fbbd995f95

Zdrowe finanse.

Sprawa bardziej ludzka, niż się wydaje

Banki mówią o odbudowie zaufania do instytucji finansowych właściwie jednym głosem, ale rzadko wybrzmiewa to poza językiem strategii i wskaźników. Tymczasem stawką jest coś więcej niż wyniki kwartalne, bo chodzi o relację z klientem, w której logika transakcji ustępuje miejsca partnerstwu i współodpowiedzialności. Co to w praktyce oznacza i czy w dobie AI możliwe jest jeszcze „ludzkie" bankowanie? O tym, gdzie przebiega dzisiaj granica między technologią a zaufaniem, czym są „zdrowe finanse" i jak bank może upraszczać życie, rozmawiamy z Krzysztofem Bratosem, wiceprezesem mBanku ds. bankowości detalicznej.

REDAKCJA: W polskiej bankowości w ostatnich latach dały o sobie znać dwa na pierwszy rzut oka sprzeczne trendy. Rośnie liczba skarg na instytucje finansowe, w tym na banki. Jednocześnie widać wzrost zaufania do tej branży.
KRZYSZTOF BRATOS: Moim zdaniem oba zjawiska się nie wykluczają. Rosnąca liczba skarg nie musi oznaczać pogorszenia jakości usług. Często świadczy raczej o tym, że to klienci stają się bardziej świadomi swoich praw i coraz chętniej korzystają z narzędzi dających im ochronę. Wszyscy obserwujemy to nie tylko w bankowości. Konsumenci częściej reklamują produkty, zgłaszają problemy z usługami czy wchodzą w spory z różnymi instytucjami. To oznaka dojrzałości obywatelskiej i rynkowej.

Jednocześnie badania pokazują, że zaufanie do sektora bankowego stopniowo rośnie. Po zawirowaniach ostatnich lat klienci nadal postrzegają banki jako instytucje stabilne i bezpieczne. To dla nas ważny sygnał, ale też zobowiązanie. Zaufanie nie jest czymś, co zdobywa się raz na zawsze. Trzeba na nie codziennie pracować.

Zawirowania to delikatne określenie. Przez polskie sądy najpierw przetoczyła się fala spraw o kredyty frankowe. A na horyzoncie widać już kolejną odsłonę sporu, tym razem o kredyty indeksowane stawką WIBOR oraz tzw. Sankcję Kredytu Darmowego.
Ta fala spowodowana przez kredyty frankowe dużo nas nauczyła. Przede wszystkim przypomniała bankom, że zajmują się w istocie relacjami międzyludzkimi. Relacjami, które muszą się opierać na wzajemnym zaufaniu, bo nie pożycza się komuś, komu się nie ufa, i w drugą stronę – nie idzie się do kogoś po pożyczkę bez poczucia, że można na nim polegać.

Dostrzegamy, jak bardzo zmieniły się oczekiwania klientów wobec branży. Kilkanaście lat temu wystarczało, że bank był stabilny i bezpieczny. Sam status instytucji finansowej zapewniał pewien kredyt zaufania. Dziś to za mało. Przechodzimy od modelu, w którym wystarczyło mieć poprawnie skonstruowaną umowę, do modelu, w którym musimy mieć pewność, że klient rzeczywiście rozumie produkt i jego działanie. Bo jeśli po latach mówi nam, że czegoś nie zrozumiał, to dla banku sygnał, że sama poprawność na poziomie legislacyjnym nie wystarcza; że musimy wesprzeć klientów w podejmowaniu dobrych dla nich decyzji.

Banki – przepraszam za truizm, ale on jest tutaj kwestią fundamentalną – są instytucjami zaufania publicznego. Pracują w nich świetni ekonomiści, analitycy, eksperci od finansów, wybitni prawnicy. Naturalne jest więc, że największa część odpowiedzialności za transparentność naszych produktów musi spoczywać również na nas. Oczywiście każda zdrowa relacja musi być partnerska, zatem i klient ma swoją odpowiedzialność. Jeśli jednak chcemy budować długofalowe zaufanie, nie możemy ograniczać się do stwierdzenia: „wszystko było zapisane w umowie, wiedziałeś, co podpisujesz".

Brzmi to jak zapowiedź zmiany modelu działania banków.
Ta zmiana już się zaczęła. Nie chodzi o sprzedaż pojedynczego produktu, a coraz bardziej o budowanie długotrwałej relacji. Klient nie szuka dziś kolejnego rachunku, lokaty czy kredytu. Szuka solidnego partnera, który pomoże mu uporządkować finanse, zapewnić bezpieczeństwo rodzinie i realizować życiowe cele. Kluczowe pytanie nie brzmi zatem: „jaki produkt sprzedać i jak go sprzedać?", lecz „jak pomóc klientowi dojść tam, gdzie chciałby być".

Podobną zmianę myślenia widać obecnie w wielu sektorach polskiej gospodarki. Konsumenci mają raczej problem nadmiaru ofert niż ich deficytu. Konkurencja jest coraz ostrzejsza, dlatego w każdym biznesie obok krótkoterminowych wyników finansowych kluczowe staje się budowanie relacji z odbiorcą.

Oferta banków również staje się coraz bardziej rozbudowana. Czy to nie utrudnia wypracowywania takich relacji?
To jedno z największych wyzwań współczesnej bankowości. Kilkanaście lat temu przeciętny klient korzystał z kilku podstawowych produktów. Dziś ma do dyspozycji lokaty, konta oszczędnościowe, fundusze inwestycyjne, ETF-y, obligacje, produkty emerytalne, takie jak IKE, IKZE, ubezpieczenia czy różne formy finansowania. Do tego dochodzą kwestie bezpieczeństwa: limity transakcyjne, autoryzacje mobilne, zabezpieczenia antyfraudowe, alerty, potwierdzenia i wiele innych funkcji. Każde z tych rozwiązań powstawało z myślą o kliencie. Problem polega jednak na tym, że razem tworzą coraz bardziej złożony świat. Klient otrzymuje większy wybór, ale jednocześnie coraz trudniej jest mu się w tym wszystkim odnaleźć.

Macie na to odpowiedź?
Paradoksalnie, nie jest nią dodawanie kolejnych funkcji. Przyszłość należy do instytucji, które potrafią upraszczać życie. Klient nie ma czasu na analizowanie kilkudziesięciu parametrów czy porównywanie dziesiątków rozwiązań. Oczekuje prostej odpowiedzi na pytanie: „Czy moje finanse są bezpieczne i w dobrej kondycji?". Dlatego coraz więcej mówimy o całościowym spojrzeniu na jego sytuację. Nie o pojedynczych produktach, lecz o bezpieczeństwie, poduszce finansowej,

eprasa.pl fbbd995f95

codziennych wydatkach, inwestycjach, ubezpieczeniu i planach na przyszłość, czyli tym, czym *de facto* są tzw. zdrowe finanse.

Nowoczesny smartwatch na koniec każdego dnia podsumowuje jego przebieg i podsuwa właścicielowi garść przydatnych statystyk okraszonych sugestią, żeby np. więcej chodzić pieszo lub wprowadzić zmiany w diecie. Podobnie muszą robić banki. Dzień dobiega końca, siadam ze smartfonem, włączam bankową aplikację i dostaję podsumowanie: w moich finansach wszystko gra, udało mi się utrzymać realizację założonych celów oszczędnościowych lub inwestycyjnych.

Jeżeli spojrzymy na strukturę skarg kierowanych do sektora bankowego, zauważymy, że coraz częściej dotyczą one właśnie takich codziennych doświadczeń. Klienci zwracają uwagę na dostępność kontaktu, przejrzystość komunikacji, transparentność dokumentów czy sprawność obsługi. To pokazuje, że od relacji czysto transakcyjnej przeszliśmy do relacji opartej na doświadczeniu.

Jednocześnie bankowość staje się coraz bardziej cyfrowa. Z ulic znikają oddziały. Infolinie ustępują miejsca czatom.
Tak, ale dzieje się tak nie wbrew oczekiwaniom klientów. Większość z nas chce wykonywać podstawowe operacje samodzielnie, szybko i bez konieczności odwiedzania oddziału.

Problem pojawia się wtedy, gdy sprawa staje się bardziej złożona. Kredyt hipoteczny, planowanie emerytury, inwestowanie czy kwestie bezpieczeństwa wymagają głębszego zrozumienia, czasem fachowego wsparcia w podjęciu właściwej decyzji. Dlatego naszym zadaniem jest przeniesienie tej bardziej zaawansowanej bankowości do świata cyfrowego w taki sposób, aby pozostała ona prosta i intuicyjna. Klient nie może mieć poczucia, że jest pozostawiony sam sobie.

> *Klienci chcą mieć pewność, że ich finanse są bezpieczne i w dobrej kondycji. Resztą ma się zająć bank.*

Kolejny pozorny paradoks. Proste i intuicyjne kontra bezpieczne.
Jak pokazują badania ARC, aż 87 proc. Polaków zetknęło się z próbą oszustwa, phishingu czy wyłudzenia danych, choć warto podkreślić, że w Polsce nie doszło nigdy do włamania do systemu bankowego. Obiektem ataku są klienci, ich hasła dostępowe, aplikacje. W tej sytuacji zrozumiałe jest oczekiwanie, że bank pomoże się im bronić. Bezpieczeństwo nie może jednak komplikować życia. Wręcz przeciwnie. Naszym zadaniem jest sprawić, by skomplikowane mechanizmy ochrony działały w tle, a klient otrzymywał proste i zrozumiałe wskazówki. A jeśli coś go niepokoi, powinien mieć pod ręką „panic button", który automatycznie wyłącza wszystkie funkcje transakcyjne. W naszym banku mamy już takie rozwiązanie.

Tak Pan rozumie pojęcie dobrostanu finansowego klientów, o którym często mówią bankowcy?
Tak. To spojrzenie na finanse z perspektywy życia człowieka, a nie produktów bankowych. Klienta nie interesuje fundusz inwestycyjny sam w sobie. Interesuje go spokojna emerytura. Nie interesuje go lokata jako taka. Interesuje go bezpieczeństwo finansowe rodziny. Dlatego punktem wyjścia powinny być cele życiowe. Najpierw bezpieczeństwo. Potem poduszka finansowa. Następnie planowanie większych wydatków, edukacji dzieci czy emerytury. Dopiero później dobór konkretnych produktów. Mówimy *de facto* o odwróceniu tradycyjnej logiki sprzedażowej.

W reklamach banków w Polsce tego przewrotu na razie nie widać.
Nie mam pod ręką danych, ale gdybyśmy się przyjrzeli naszemu portfolio reklamowemu, zaryzykuję stwierdzenie, że reklam kart czy kredytów znaleźlibyśmy w nim najwyżej tyle samo, ile reklam apelujących o „niejutranie" z emeryturą czy innych produktów wspierających właśnie budowę finansowego dobrostanu.

Polska się bogaci. Rosną nasze dochody i oszczędności, powiększa się majątek gospodarstw domowych. Z drugiej strony wciąż brakuje nam doświadczeń związanych z długoterminowym inwestowaniem i planowaniem finansowym. W krajach takich jak Wielka Brytania, Stany Zjednoczone czy państwa skandynawskie budowanie kapitału na emeryturę jest czymś naturalnym już od początku kariery zawodowej. W Polsce dopiero uczymy się takiego podejścia.

Młodzi klienci wręcz zdają się omijać banki. Ich plan na przyszłość to często kryptowaluty, krótkie inwestycje giełdowe, czasem nawet hazard. Socjologowie mówią o „gamifikacji" ich postaw wobec przyszłości finansowej. Macie na to pomysł?
Młodzi ludzie oczekują natychmiastowej informacji zwrotnej, prostoty i wygody. Jeżeli banki chcą pozostać dla nich partnerem, muszą nauczyć się mówić ich językiem. Nie oznacza to rezygnacji z odpowiedzialności czy bezpieczeństwa, jedynie konieczność dostosowania sposobu komunikacji. Jeśli młody odbiorca niejako wychował się w ekosystemie gier i aplikacji, dlaczego bank nie miałby rozmawiać z nim właśnie takim językiem? Dlaczego na przykład nie miałby codziennie dostawać powiadomienia w stylu: „Hej, to już kolejny dzień, w którym zrealizowałeś założone cele finansowe. Tak trzymać".

Jeśli młody klient na co dzień posługuje się asystentem AI, dlaczego nie dać mu podobnego narzędzia bankowego? Młodzi nie chcą przeszukiwać instrukcji czy dokumentów. Wolą głosówki. Chcą zadać pytanie i otrzymać od razu nie tylko odpowiedź, ale także rozwiązanie ewentualnego problemu. „Czy oddałem wczoraj sto złotych Frankowi? Jeśli nie, chcę przelać mu je teraz".

AI w roli opiekuna klienta?
Do pewnego stopnia. Budujemy bankowość konwersacyjną – nowy kanał rozmowy z bankiem – nie kolejny czat. Nie dotykamy fundamentów: bezpieczeństwa, autoryzacji i dostępów. W mBanku AI pełni rolę interfejsu, który upraszcza i uruchamia sprawdzone mechanizmy. Asystent zrobi bardzo wiele, ale nie wszystko. Są obszary wysokiego ryzyka, jak choćby ocena zdolności kredytowej czy doradztwo inwestycyjne, które zgodnie z regulacjami muszą zostać pod nadzorem człowieka. Ciąży na nas duża odpowiedzialność, nie tworzymy gadżetu, tylko narzędzie wspierające zdrowe finanse klientów. ©℗

SZYMON SIKORA

Krzysztof Bratos, wiceprezes mBanku ds. bankowości detalicznej

MATERIAŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z mBankiem

eprasa.pl fbbd995f95

ŚWIAT

WYOBRAŻAM SOBIE INNĄ AMERYKĘ

SEAN WILENTZ, HISTORYK:

Stany Zjednoczone, mimo głupich przygód, takich jak wojna z Iranem, nadal są bogatym krajem o wielkich możliwościach. Nie powinniśmy porównywać się z dawnymi imperiami, które upadły.

MARTA ZDZIEBORSKA: Gdy USA świętują 250. urodziny, Biały Dom jest wielkim placem budowy, bo Trump wyburzył całe wschodnie skrzydło. Czy to dobra alegoria obecnej sytuacji w USA?

SEAN WILENTZ: To okropne, że druga kadencja Trumpa zbiegła się z obchodami 250-lecia powstania USA. Amerykanie i cały świat nie mają szansy na spokojną refleksję nad dziedzictwem i znaczeniem amerykańskiej wojny o niepodległość. Trump serwuje nam narcystyczną manifestację samouwielbienia: wyburzył wschodnie skrzydło Białego Domu, aby zbudować sobie salę balową. Ten i inne jego projekty to wypaczenie tego, czym naprawdę są Stany Zjednoczone.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że prawo daje prezydentowi dużą władzę. Tak dużą, że teoretycznie bez konsultacji z nikim mógłby zburzyć cały Biały Dom.

Trump nie tylko wykorzystuje niedoskonałości amerykańskiego systemu, ale wręcz nadużywa prawa. Szuka każdej okazji, by zmaksymalizować swoją władzę. To w myśl zasady, że jeśli działa się wystarczająco szybko, bez konsultacji i nie zważając na prawo, to wiele rzeczy może ujść na sucho.

Prawnik Departamentu Sprawiedliwości przedstawił taką właśnie optykę, broniąc w sądzie projektu budowy sali balowej. Powiedział, że gdyby prezydent tylko chciał, to miałby też prawo szybko zburzyć Statuę Wolności i nikt nie mógłby mu w tym przeszkodzić.

Nie rozmawialibyśmy teraz o Trumpie, gdyby prezydentów wyłaniano bezpośrednio, a nie według systemu elektorskiego. W 2016 r. w skali całych Stanów więcej Amerykanów poparło Hillary Clinton niż Trumpa. Ale on uzyskał więcej głosów elektorskich, a to dzięki garstce wyborców z trzech stanów. Często powtarza Pan, że trumpizm to efekt rządów mniejszości.

Jest wiele aspektów naszego systemu konstytucyjnego, które – wykorzystane w określony sposób – mogą dać mniejszości nieproporcjonalnie dużą władzę.

Pierwszy przykład to właśnie wybory prezydenckie. Amerykanie oddają głosy nie na kandydatów, ale na elektorów danej partii. Ci zaś głosują na kandydata wskazanego przez większość wyborców w danym stanie. Mechanizm, mający uzasadnienie w 1787 r., gdy powstawała konstytucja, dziś wymaga reformy. Mam nadzieję, że kiedyś uda nam się to zmienić, choć w najbliższym czasie szanse na to są niewielkie.

Zbyt dużą władzę mniejszości dają także wybory do Senatu USA. Każdy z 50 stanów – niezależnie od liczby lud-

eprasa.pl fbbd995f95

AL DRAGO / GETTY IMAGES

Transmisja przemówienia Donalda Trumpa podczas inauguracji obchodów 250-lecia USA na National Mall w Waszyngtonie. Do 10 lipca odbywają się tu koncerty, pokazy wojskowe i wystawy, 24 czerwca 2026 r.

ności – jest reprezentowany przez dwóch senatorów.

W ten sposób liczący niecałe 600 tys. mieszkańców stan Wyoming ma w Senacie taką samą siłę głosu co ponad 39-milionowa Kalifornia.

Jest tu też inny ważny wątek. W historii Stanów Zjednoczonych zdarzało się, że pewne grupy umacniały swoją władzę, choć stanowiły mniejszość. Niektórzy właściciele niewolników chcieli mieć wręcz prawo blokowania decyzji rządu, co przekreśliła wojna secesyjna.

Przy tak dużej polaryzacji reforma konstytucji jest dziś niemożliwa. Co można zatem zrobić, by uzdrowić amerykańską demokrację?

Głosować i jeszcze raz głosować. Podczas trwających teraz prawyborów, które wyłonią kandydatów do listopadowych wyborów do Kongresu, widać dużą mobilizację wśród elektoratu Partii Demokratycznej. Ludzie są wściekli na obecną sytuację w USA. Są też osoby, które nie znoszą Demokratów i dlatego zagłosowały na Trumpa w wyborach prezydenckich w 2024 r. Być może tym razem odpuszczą sobie pójście do urn.

A to zwiększa szanse Demokratów na odbicie przynajmniej jednej izby Kongresu.

Dlatego pierwszą linią obrony amerykańskiej demokracji jest pójście na wybory. Długofalowo potrzebne są gruntowne zmiany, które pozwolą ograniczyć władzę prezydenta. Jeśli Demokraci wygrają w listopadowych wyborach do Kongresu, to mogą spróbować zreformować Sąd Najwyższy, gdzie przewagę mają dziś ↦

eprasa.pl fbbd995f95

↦ konserwatywni sędziowie, w tym trzej mianowani przez Trumpa.

Mówimy o sądzie, którego orzeczenia kształtują przepisy w ważnych kwestiach – od dostępu do aborcji po prawa wyborcze. Jak należałoby zreformować tę instytucję?

Kongres mógłby zwiększyć swój wpływ na to, jakie sprawy rozpatrywane są przez Sąd Najwyższy. Jest to możliwe, gdyż Kongresowi przysługują uprawnienia dotyczące regulowania jurysdykcji sądów federalnych.

Wśród Demokratów od lat krąży pomysł, by rozszerzyć skład Sądu Najwyższego i tym samym „obalić" konserwatywną większość.

To także sposób na okiełznanie obecnej, silnie upolitycznionej większości w tym sądzie. W latach 30. XX w. nieudaną próbę rozszerzenia składu sędziowskiego podjął prezydent Franklin D. Roosevelt. Wtedy to były jednak inne czasy, może tym razem to by się udało, kto wie.

Choć taki manewr byłby mało demokratyczny, podobnie jak system finansowania kampanii wyborczych. Politycy, od prawa do lewa, siedzą w kieszeniach miliarderów. Czy ta sytuacja wymknęła się spod kontroli wraz z orzeczeniem Sądu Najwyższego z 2010 r.? Utorował on drogę do powstania komitetów Super PACs, które bez ograniczeń zbierają pieniądze na kampanie.

Absolutnie tak. Winę za tę sytuację ponosi konserwatywna większość zasiadająca wtedy w Sądzie Najwyższym. Ich werdykt sprawił, że pieniądze zasilają machinę wyborczą bez realnej kontroli. Niestety, odkręcenie tego orzeczenia z 2010 r. jest bardzo trudne.

Jak wyglądało finansowanie kampanii politycznych w 1976 r., gdy Stany świętowały dwusetne urodziny? Miał Pan wtedy 25 lat.

To ciekawa kwestia, bo w latach 70. XX w., na fali afery Watergate, wprowadzono reformy mające zwiększyć przejrzystość finansowania kampanii. Nie ma się jednak co łudzić, pieniądze zawsze odgrywały ogromną rolę w amerykańskiej polityce. Co innego jest tu źródłem problemu. To koncentracja bogactwa w rękach nielicznych, która w ostatnich 20 latach osiągnęła niewyobrażalną skalę.

LARRY DALTON / ARCHIVE PHOTOS / GETTY IMAGES

Pół wieku temu USA też obchodziły urodziny w trudnym czasie. „Kraj wychodził z afery Watergate, zakończyła się interwencja w Wietnamie. Mieliśmy wtedy nadzieję, że obchody 200-lecia pomogą zakopać podziały. Ale teraz atmosfera jest znacznie bardziej ponura" – mówi Sean Wilentz.
Na zdjęciu: studenci z Los Angeles protestują przeciw wojnie w Wietnamie, 1972 r.

Wszystko zaczęło się w latach 80. XX w., za prezydentury Ronalda Reagana, który deregulował rynek i ciął podatki, co ułatwiło akumulowanie majątku przez najbogatszych. Ten problem pogłębiła zbyt liberalna regulacja rynku medialnego za rządów Billa Clintona. Skorzystały na tym firmy, które dorobiły się fortuny na boomie internetowym. Dodajmy jeszcze cięcia podatków za prezydentury George'a W. Busha oraz za pierwszej kadencji Trumpa, kontynuowane teraz podczas drugiej kadencji.

Gdy urodziłem się w 1951 r., najbogatsi płacili znacznie wyższe podatki niż dziś. To był czas dobrobytu odczuwalnego dla wielu, a nie tylko dla tych najbogatszych.

Dziś, według sondaży, mniej niż połowa Amerykanów wierzy, że każdy może zrealizować swój *American Dream*. Trudno jest kupić dom, opłacić opiekę nad dzieckiem, sfinansować koszmarnie drogie studia.

Niestety, największy egalitaryzm ekonomiczny w USA przypadł na okres od lat 50. do 70. XX stulecia. Potem, a już w szczególności od drugiej kadencji George'a W. Busha, sytuacja się pogorszyła. Procentowy udział klasy średniej w bogactwie zmniejszał się, co utrudniało awans społeczny. Około 90 proc. osób urodzonych w okolicach roku 1940 zarabiało w dorosłości więcej niż ich rodzice, po uwzględnieniu inflacji. Natomiast wśród Amerykanów urodzonych w latach 80. XX w. ten odsetek spadł do około 50 procent.

Pan miał swój *American Dream*, robiąc licencjat na Uniwersytecie Columbia oraz studia magisterskie i doktorskie na Yale. Łatwiej było wtedy opłacić naukę na prestiżowych uczelniach z tzw. Ligi Bluszczowej?

Zdecydowanie. Kiedy w 1968 r. zaczynałem studia licencjackie na Uniwersytecie Columbia, czesne wynosiło ok. 2,6 tys. dolarów za cały rok akademicki. To równowartość ok. 24 tys. dolarów dzisiaj, po uwzględnieniu inflacji. Tymczasem dziś czesne za rok studiowania jest trzykrotnie wyższe. Do tego trzeba doliczyć również rosnące koszty zakwaterowania, wyżywienia i podręczników.

Natomiast moje studia na Yale to była zupełnie inna bajka. Większość studentów z mojego rocznika, w tym i ja, nie musiała w ogóle płacić czesnego, a do tego dostawaliśmy jeszcze stypendium.

Dziś to nie do pomyślenia... Kolejną bolączką Amerykanów są wysokie koszty opieki zdrowotnej. Według Pew Research Center aż 66 proc. uważa, że rząd federalny powinien zapewnić ją wszystkim. Czy to nie zaskakujący wynik w kraju, gdzie fundamentami są indywidualizm i obawa przed nadmierną ingerencją rządu?

eprasa.pl fbbd995f95

Cóż, mnie te dane nie zaskakują. Stworzenie w latach 60. XX w. rządowych programów opieki dla seniorów Medicare oraz dla najbiedniejszych (Medicaid) wpłynęły na przestrzeni kolejnych dekad na oczekiwania Amerykanów. Wiele projektów, nazywanych dziś pogardliwie socjalistycznymi, wpisuje się w założenia Nowego Ładu, programu reform gospodarczo-społecznych z lat 30 XX w.

Ówczesny prezydent Franklin D. Roosevelt próbował wprowadzić powszechne ubezpieczenia zdrowotne, ale wycofał się pod presją lobby lekarskiego. Hasła typu „Medicare dla wszystkich", głoszone dziś przez zdeklarowanych socjalistów, jak Bernie Sanders, to w rzeczywistości kontynuacja linii reform sprzed niemal wieku.

Dorastałem w latach 50. i 60. XX w., więc potrafię sobie wyobrazić, że odwrócenie zmian rozpoczętych za Reagana byłoby możliwe. Ale nie będzie to łatwe.

Co przede wszystkim należy zmienić?

Zwiększyć wydatki na programy społeczne, wzmocnić kontrolę nad rynkiem medialnym i zreformować system podatkowy tak, by bardziej obciążał osoby o wysokich dochodach.

Wróćmy do finansowania kampanii. Jest tu szansa na reformę? Konstytucję trudno zmienić, a politycy nie palą się do wprowadzania restrykcji, bo sami siedzą w kieszeniach miliarderów.

Być może należałoby wprowadzić coś w rodzaju publicznego finansowania wyborów, co jest już testowane na szczeblu stanowym i lokalnym. W Ameryce reformy przebiegają czasem od dołu do góry. Zanim np. uchwalono Nowy Ład, podobne rozwiązania wprowadzały niektóre stany. Potrzeba było dopiero tamtego Wielkiego Kryzysu, aby politycy wzięli się za ogólnokrajową reformę. Ktoś kiedyś nazwał rządy stanowe „laboratoriami demokracji" i jest w tym dużo racji.

Czy w latach 70. XX w. możliwe było rozkręcenie kampanii prezydenckiej bez wsparcia armii miliarderów?

Tak, choć nie trzeba cofać się aż tak daleko. Spójrzmy na Baracka Obamę. Gdy startował w wyborach prezydenckich w 2008 r., miał co prawda wielu darczyńców, ale to nie jest tak, że tylko dzięki nim mógł rozwijać karierę. W chwili startu był wciąż człowiekiem znikąd.

DANIEL KRAMER

SEAN WILENTZ (ur. 1951) jest profesorem historii z Uniwersytetu Princeton. Bada zagadnienia dotyczące polityki i społeczeństwa amerykańskiego od czasów rewolucji w 1776 r. do współczesności. Autor wielu książek, z których jedna „The Rise of American Democracy: Jefferson to Lincoln" (Rozwój amerykańskiej demokracji: od Jeffersona do Lincolna) w 2006 r. trafiła na listę finalistów Nagrody Pulitzera.

Jednak był już wtedy senatorem.

Owszem, ale dopiero od kilku lat. Nie siedział głęboko w kieszeniach bogaczy.

Upieram się, że nadal można zaistnieć w polityce bez ogromnych pieniędzy, ale potrzeba tu niezwykłego zbiegu okoliczności. Jest znacznie trudniej niż w latach 70., ale wciąż uważam, że nie jesteśmy jeszcze oligarchią. Oczywiście, mamy prezydenta-kleptokratę posiadającego ogromną władzę nad zastraszonym Kongresem. Chyba nie można sobie wyobrazić gorszej sytuacji. Nie sądzę jednak, aby to był prognostyk na przyszłość. Nie jesteśmy drugą Rosją.

Amerykański historyk Alfred W. McCoy twierdzi, że USA są hegemonią w fazie ostatecznego upadku, o czym mają świadczyć interwencje za granicą i niestabilna sytuacja wewnętrzna, co z kolei jest sprzężone z utratą wpływów na arenie światowej. Zgadza się Pan z taką diagnozą?

Nie. Pomimo głupich i szalonych przygód za granicą, takich jak wojna z Iranem, Stany nadal są bogatym krajem o wielkich możliwościach. Wciąż w pewnym sensie jesteśmy demokracją. Nie podzielam poglądu, że powinniśmy porównywać się z dawnymi imperiami, które upadły. Mamy dziś inne realia, a do tego Stany to kraj jak żaden inny.

Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie jesteśmy idealni. Ale biorąc pod uwagę nasz potencjał, uważam, że upadek hegemonii USA nie jest przesądzony.

Utrzymania dominacji USA nie ułatwia rekordowy dług publiczny, cięcia w nauce czy technologiczny i wojskowy rozwój Chin. „New York Times" twierdzi, że dominacja USA słabnie i dlatego amerykańskie wojsko musi wymyślić się na nowo. Choćby pod kątem używania tańszych technologii, a nie wyłącznie systemów kosztownych i wyrafinowanych. To pokazała ostatnio wojna z Iranem.

Jeśli Ameryka będzie kontynuować politykę obecnego reżimu, bo tak nazywam administrację Trumpa, to upadek Stanów jako światowej potęgi wydaje się nieunikniony. Tę sytuację można jednak odkręcić i mam nadzieję, że tak się stanie.

Jak porównuje Pan obchody 250-lecia USA z tymi sprzed 50 lat?

To też był trudny czas. Kraj wychodził z problemów po aferze Watergate, w 1974 r. prezydent Richard Nixon ogłosił rezygnację. Wcześniej, w 1973 r., zakończyła się interwencja USA w Wietnamie. Stany miały też za sobą trudną i długą walkę o prawa obywatelskie. Te kwestie polaryzowały społeczeństwo. Mieliśmy wtedy nadzieję, że obchody 200-lecia pomogą nam zakopać podziały.

Teraz atmosfera jest znacznie bardziej ponura. No chyba że ktoś jest fanem koszykarzy z New York Knicks i tak jak ja był na ich zwycięskim meczu z San Antonio Spurs [po 53 latach przerwy Knicks zostali mistrzami NBA – red.]. Byłem też ostatnio na koncercie Bruce'a Springsteena. To na takich wydarzeniach czuć dziś ducha Ameryki, a nie w Waszyngtonie na obchodach 250-lecia. USA są na rozdrożu, na którym nie były od dawna.

© ROZMAWIAŁA MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

eprasa.pl fbbd995f95

Po lewej: Muzeum historii Dmitriwki, stworzone przez Lidię, pasjonatkę historii.

Obok: Anatolij wraz ze swoją krewną, Ljubą, przed wejściem do „Czumackiego Szlaku”.

Siatki antydronowe nad drogą z Pawłohradu do Kramatorska.

Pamiątki zostawione w „Czumackim Szlaku” przez żołnierzy, 2026 r.

Przystanek Dmitriwka

TEKST I ZDJĘCIA ANTONINA PALARCZYK Z PAWŁOHRADU I DMITRIWKI

UKRAINA | Wędrowali tędy Scytowie i Tatarzy, czumackie wozy i kozackie sotnie. Dziś Szosą Doniecką suną wojskowe kolumny. Oto wieś, która od ponad 300 lat żyje przy tej drodze.

Historia tego szlaku, biegnącego przez Dzikie Pola na Krym, sięga starożytności i Wielkiej Scytii, której granice sięgały rzeki Doniec. Przemieszczały się nim stepowe ludy koczownicze, po których dziś zostały kurhany i posągi kamiennych „bab”.

Pierwsze pisemne wzmianki i mapy uwzględniające tę drogę, pojawiają się w XVI w., pod nazwą *sakma*. Według encyklopedii Brockhausa i Efrona słowo to pochodzi najpewniej z tureckiego i pierwotnie oznaczało ślad na ziemi, zostawiony przez zwierzęta lub kawalerię.

Jeszcze za czasów Iwana Groźnego *sakmami* podążały hordy tatarskie. Potem okolicę obecnego pogranicza obwodów dniepropietrowskiego i donieckiego zasiedlili Kozacy zaporoscy. Strategiczny szlak łączył wschód z zachodem – tędy zaczęto sprowadzać cenną sól z Krymu, aż do wieku XIX. Zapamiętany został w pieśniach jako Czumacki Szlak, a wędrownych kupców zwano czumakami, czasem kołomyjcami.

Czumacki Szlak to w języku ukraińskim droga mleczna. Gwiazdy wskazywały wędrowcom drogę.

TRASA E-50 | Przez setki lat czumacy pędzili więc przez step besarabskie woły, ciągnące wozy pełne towaru. Zapisali się w ukraińskiej kulturze, w poezji Tarasa Szewczenki, w XIX-wiecznym malarstwie. Czumactwo znaczyło wolność, ucieczkę spod pańskiego bata.

Dziś ten szlak znów żyje, na swój sposób. Znów step przecina droga mleczna: strategiczna, nieodzowna dla wojskowej logistyki, Szosa Doniecka. Pokryta antydronowymi siatkami, które ciągną się przez dziesiątki kilometrów, spękana trasa E-50. Z Dniepra przez Pawłohrad suną nią do Donbasu dniem i nocą wojskowe auta: naznaczone odłamkami terenówki, ociężałe kamazy, karetki i autobusy, z okien których wyglądają zmęczone twarze.

Przyglądam się jej. Najpierw z punktu obserwacyjnego na dworcu autobusowym w Pawłohradzie. Potem z wytartego fotela marszrutki. Ciężarówka pełna „smoczych zębów”, betonowych zapór fortyfikacyjnych, mija klatki pełne osowiałych kur wystawione na bazarze. Nad asfaltem, nad szklanymi drzwiami dworca wiszą plakaty rekrutacyjne brygady „Ljut” (gniew, wściekłość): „Zostań wyrokiem dla okupanta!”.

Obok rozkładu jazdy marszrutki na trasie Pawłohrad-Orbita-Terniwka wisi kartka z apelem do mieszkańców o ewakuację z miasta.

DMITRIWKA | Marszrutka wypluwa mnie w połowie drogi z Pawłohradu do granicy z obwodem donieckim, w wioseczce Dmitriwka nad rzeczką Samarą. Gdzie, jak nie tutaj szukać opowieści o historii i teraźniejszości drogi, która przecina Dmitriwkę na pół?

Tunel z siatki wrzyna się w wieś, uwiera. Jego obecność to zwiastun rosyjskich dronów. Wprawdzie front jest ponad 40 km stąd, ale dla niektórych małych dronów nie jest to dystans nie do pokonania (tym bardziej dla tych dalekiego zasięgu). Wojna zakrada się do Dmitriwki. Już wcześniej odciskała tu swoje piętno: zabierała życie poborowych

eprasa.pl fbbd995f95

i ochotników, zaglądała pod postacią ostrzałów rakietowych.

Od 2014 r. płynie tędy strumień wojskowych zmierzających na front i wracających stamtąd. Wielu się tu zatrzymuje: w dmitriwskiej knajpce połączonej ze sklepem. W Dmitriwce piąty już rok z rzędu wolontariusze serwują żołnierzom bezpłatne posiłki. Nad wejściem blaknie napis z nazwą przybytku: „Czumacki Szlak".

ANATOLIJ | W sklepie króluje on. – Wszystko już umarło w mojej duszy. Jest mi obojętne, niech się dzieje. Niech przyjdzie diabeł z rogami, niech mnie rozstrzelają i psy rozwleką. Ale nigdzie nie wyjeżdżam, bo nikomu nie jesteśmy potrzebni. Kiedyś to była energia, jakaś pasja, kurwa. Ludzie umieli sobie pomagać i nie było w tym nic dziwnego – mówi Anatolij zza kontuaru.

Zwalisty jak lodowa góra, łypiący niebieskimi oczami. W przybrudzonym dresie i wojskowej mycce wtapia się w otoczenie, złożone z pustych półek sklepowych, mętnych szyb niedziałającej lodówki i przypadkowych drobiazgów pokrywających sklepik jak kurz. Miejsce jeszcze dyszy, jeszcze trwa, jeszcze się nie zamyka.

Knajpka też pracuje, jak pracowała – nieprzerwanie od początku inwazji. Tylko z każdym kolejnym rokiem miejscowi wolontariusze miny mają coraz bardziej markotne.

– Dojadamy, co zostało – wzdycha Anatolij. Według jego rachunków, kiedyś przez to niepozorne z ulicy miejsce mogło przewijać się trzy tysiące ludzi na dobę. Zgiełk nie do opisania, dzień i noc „Czumacki Szlak" był pełen, więc i ręce pełne roboty. Mimo to ktoś zawsze znajdował czas, by na długim stole zostawić bukiet świeżych polnych kwiatów. Szosa Doniecka szumiała tysiącem wojskowych aut zmierzających na najdzikszy ze wschodów.

MILANKA | Dziś chętnych na herbatę i miskę barszczu wciąż nie brakuje. Co jakiś czas drzwi otwierają się, wpuszczają kolejną grupkę żołnierzy i zatrzaskują za tymi, którzy odsiedzieli kwadrans lub dwa, nasycili ciepłem, pogapili na szynszyle w klatce i pokrywające ściany tysiące podpisów, naszywek i innych artefaktów, jakie nagromadziły się w ostatnich latach. ↦

eprasa.pl fbbd995f95

Nie zniknęła nawet ukraińska flaga z Matką Boską obejmującą ręczną wyrzutnię przeciwpancerną Javelin, którą zostawiłam tutaj trzy lata temu.

Co jakiś czas między jadalnią a przedsionkiem przebiega Milanka, wnuczka Anatolija. Trzyletnie dziecko wojny: tata służy w wojsku, a mama opiekuje się „Czumackim Szlakiem". Milanka tarmosi burego kota o minie sugerującej, że doprawdy jest mu już wszystko jedno, zagląda w każdym zakamarek i sprawia, że oczy Anatolija zaczynają się śmiać. Może nawet na chwilę zamienił zdanie z tymi psami, które miałyby rozwlec jego szczątki.

LIDIA | Z „Czumackiego Szlaku" idę do Lidii Wasyliwny. Czyli do miejscowego muzeum.

Przez 45 lat pracowała tu w szkole. Potem w dawnym budynku administracji wiejskiej stworzyła malutkie muzeum historii Dmitriwki. Z pasji. Gdy nadszedł rok 2022, jak wielu mieszkańców wsi pomagała w „Czumackim Szlaku". Nakrywała stoły, obierała ziemniaki. Potem, żyjąc samotnie po śmierci męża, zaczęła opiekować się żołnierzami, jakich coraz więcej zaczęło mieszkać w Dmitriwce. – Szkoda ich wszystkich – mawia o nich zatroskanym głosem – to wszystko nasze dzieci.

Dziś muzeum jest zamknięte. Ale jeśli zgłosić się do Lidii, z chęcią wpuści i oprowadzi. Ale najpierw sadza za stołem kuchennym w swoim domu, częstuje naparem z kilkunastu ziół i zaczyna opowieść.

PRZESZŁOŚĆ | W Dmitriwce były kiedyś dwa warsztaty garncarskie. Jeden, należący do Dziadka Matwieja, nieco poniżej obecnego „Czumackiego Szlaku". Wszystko w wieku XVIII. Glina była dobra, miejscowa (dowodem regał pełen dzbanków na ścianie muzealnej salki). Dziadek Matwiej co niedziela sprzedawał na bazarze pod Pawłohradem swoje wyroby – z czarnej gliny. Dzbanki z czerwonej gliny wyrabiał drugi warsztat, w części wsi zwanej Lebeża, od łabędzi zamieszkujących tu jeziorka.

Z kolei nieopodal Samary były stajnie, tam zatrzymywali się podróżujący na wschód, by podkuć konie i odpocząć. Do dziś zachowała się tylko studnia, pamiętająca dawne czasy.

Jeśli z rejonu Leniniec jechać w dół drogi i w prawo, dotrze się do Lebeży. A w lewo – tak jak jechali czumacy, do Kozeriwka, gdzie hodowano kozy. Jeśli zaś skierować się w stronę dawnego kołchozu, dotrze się do Polski: tam mieszkali kiedyś polscy osadnicy, którzy dotarli tu w końcu XVII w., uciekając od pańszczyzny. Przez wieki niejeden uciekał na Dzikie Pola w poszukiwaniu swobody. Nazwa została, choć Polaków dawno nie ma.

Z czasów wojny domowej, tej po 1917 r., krążą po okolicy plotki, że do pobliskiej wioski Czumaki, po drugiej stronie E-50, przyjeżdżał Nestor Machno, wódz powstańczej armii chłopskiej i anarchokomunistycznej republiki w sercu Dzikich Pól. Podobno tam mieszkała jego kochanka.

ZNOWU | Przygotowując część ekspozycji o Hołodomorze, Wielkim Głodzie, Lidia po prostu szła od chaty do chaty, pytając o rodzinne historie. Niemal pod każdym dachem doznano straty. Po wsi krążyła opowieść o kobiecie, która zjadła dwoje swoich dzieci, po czym straciła zmysły. Babka od strony męża Lidii opowiadała, że we wsi był żłobek, gdzie całodobowo trzymano dzieci, aby przeżyły. Karmiono je zupą z narwanej lebiody, z wyszperanej garstki ziaren. Ludzie polowali na susły i myszy, na wszystko, co dało się złapać.

Potem przyszła II wojna światowa, zabrała ze sobą kilka setek mężczyzn z Dmitriwki. Lista ich nazwisk dłuży się w jednej z gablot, jest wyryta na brackiej mogile za wsią.

Portrety poległych w obecnej wojnie wiszą zaś w głównym korytarzu muzeum. Chyba niedługo przestanie starczać dla nich miejsca.

Jeśli zasłuchać się tu w wietrze, może przyniesie z głębi Dzikich Pól czumacką pieśń:

Smutny, smutny nasz pan Ataman
Chodzi po taborze
Co chodzi i białe ręce załamuje
I mówi słowami:
Wstawajcie, chłopcy, nowe wozy smarujcie
Siwe woły zaprzęgajcie
Hej i pojedziemy w drogę
Aż do niebieskiego Donu!

Ponure czasy znowu zawisły nad stepem.

© ANTONINA PALARCZYK

TYGODNIK POWSZECHNY
KURS KRYTYCZNEGO MYŚLENIA
Nie daj się informacyjnemu chaosowi
z kodem TYGODNIK zniżka ponad 60% dla czytelników „Tygodnika Powszechnego"
elearning.TygodnikPowszechny.pl/p/kurs-krytycznego-myslenia
zapisz się:
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl fbbd995f95

KAREN MINASYAN / AFP / EAST NEWS

Erywań, jesień 2025 r. W oddali Ararat: święta góra Ormian i symbol ich kraju, dziś znajdujecy się na terytorium Turcji.

Witajcie w Nowej Armenii

STASIA BUDZISZ Z ERYWANIA

ARMENIA | Premier Nikol Paszynian buduje państwo, które nazywa „nowym" lub „realnym". Zyskiem jest pokój, ale cenę za niego płacą Ormianie, którzy uciekli z Karabachu.

Pawłowi nie mieści się w głowie, że za chwilę w Armenii już nikt nie będzie pamiętać o Karabachu. Ze strachem patrzy, jak jego dawny świat znika za coraz bardziej gęstą mgłą.

Nawet politycy tutaj starają się nie używać już słowa Arcach, armeńskiej nazwy Górskiego Karabachu, żeby nie drażnić sąsiadów. Samych zaś karabachskich Ormian traktują z rezerwą. Paweł ma wrażenie, że nie biorą ich na poważnie.

Ot, choćby niedawne wybory parlamentarne. Ani Paweł, ani jego żona Armine nie wzięli w nich udziału. Nie mogli, bo dla Armenii nie są prawowitymi obywatelami. Niby paszporty mają jak wszyscy, armeńskie, i dla całego świata są obywatelami tego kraju na Południowym Kaukazie. Jednak w Armenii są Ormianami Karabachu, oznaczonymi specjalnym kodem 070.

– Ten kod zabiera nam szereg praw, dyskredytuje. Z takim dokumentem nie mogę zatrudnić się na państwowej posadzie ani nawet zarejestrować auta. Jestem uchodźcą, mam kartę pobytu, którą nazywam pozwoleniem na bycie bezdomnym we własnym kraju. Moje dzieci otrzymują jako zapomogę 30 tys. dramów miesięcznie – mówi Paweł (to równowartość 300 zł).

Wcześniej, po jesieni 2023 r., gdy Azerbejdżan przejął całkowitą kontrolę nad Karabachem, Armenia wydzieliła im pomoc humanitarną. Na początek, jednorazowo, każdy z blisko 100 tys. Ormian, którzy opuścili domy, otrzymał 100 tys. dramów (1000 zł). Potem co miesiąc dostawali zapomogę 50 tys., aż w końcu państwo zaczęło płacić ją tylko dzieciom.

Domy i groby

Z Armine i Pawłem poznaliśmy się jesienią 2023 r. w armeńskim mieście Goris. Z całą rodziną dopiero co uciekli z Karabachu, zostawiając wszystko, czego od pokoleń dorabiali się ich przodkowie.

Zostawili też groby. W pierwszej wojnie karabachskiej, na początku lat 90. XX w., Paweł stracił ojca. Nawet go nie poznał, ojciec zginął kilka miesięcy przed jego urodzeniem. Mogiła była jedyną rzeczą, która ich łączyła. Teraz zostało jej zdjęcie i lęk, że Azerbejdżanie zbezcześcili cmentarz.

Przez całe jego życie ojca zastępował mu dziadek. Nie zdążyłam go poznać. Zmarł dwa dni wcześniej na punkcie granicznym, gdy opuszczali Karabach. Poznałam za to jego zrozpaczoną żonę, która z nienawiścią w oczach mówiła, że strata Karabachu to wina Nikola Paszyniana, premiera Armenii. Dziś babcia Pawła też już nie żyje.

Paweł nie pochował ich w Armenii. Ciało dziadka prosto z granicy z Karabachem ruszyło do rosyjskiego Stawropola, gdzie żyją jego wujowie. Kilka miesięcy później pojechała do nich babcia. – Nie chciała umierać w Armenii. Nie chciała być tu pochowana. Nie zostało w niej wiele szacunku dla tego kraju – mówi Paweł.

W nim zresztą też. Sam chciał jechać do Rosji. W Armenii kiepsko było z pracą, a po rosyjskiej inwazji na Ukrainę i po tym, jak do Armenii przybyło 90 tys. Rosjan, ceny najmu wystrzeliły tak, że stać go było na mieszkanie na obrzeżach Erywania w kiepskich warunkach. ↦

eprasa.pl fbbd995f95

↦ Tymczasem w Martakercie zostawił wielki dom z werandą, działkę, sad i fundamenty pod nowy dom. Zostawił też samochód. Nie mógł nim wyjechać, bo nie było już paliwa.

Na zapiecku z Azikami

– Na początku w Armenii przyjęli nas ciepło – wspomina Paweł. – Wszyscy wtedy byli przerażeni tym, co się stało. Z czasem jednak zaczęliśmy przeszkadzać. Ludzie dogryzali nam, że wyrwaliśmy się z dziczy i w końcu możemy mieszkać w normalnych warunkach. Wypominali pieniądze, które wydzielało nam państwo. A przed wyborami ciągle słyszeliśmy, że przez tyle lat utrzymywali nas w Karabachu, walczyli za nas i ginęli, a my tylko spijaliśmy śmietankę i żyliśmy jak u Pana Boga za piecem z Azikami.

Azikowie to pogardliwe określenie Azerbejdżan. Takie słowa to dla Pawła obelga. Ale nie ona jest najgorsza. Najgorsze, że zdaniem części jego rodaków Karabach był przez 30 lat dla Armenii ciężarem i Paszynian, oddając go Azerbejdżanom, dokonał najlepszego wyboru. – Jeszcze trzy-cztery lata temu takie zdanie nie przeszłoby żadnemu Ormianinowi przez usta – mówi Paweł. – Dziś Paszynian buduje Nową Armenię, a w niej nie ma miejsca dla Arcachu.

W jakimś sensie to prawda. Premier Paszynian część swojej niedawnej kampanii wyborczej poświęcił idei tego, co nazwał „Realną Armenią": jego zdaniem Ormianie powinni skupić się na tym, co mają, czyli 29 tys. km kw. terytorium, i nie wracać pamięcią do tego, co utracili. Ma na myśli zarówno Ararat (ten leży w Turcji), jak i Arcach, który oficjalnie uznał za część Azerbejdżanu.

Fakty dokonane

Ararat to święta góra Ormian, ich główny symbol, na który każdy mieszkaniec Erywania, stolicy kraju, codziennie spogląda. To też jeden z elementów pamięci o rzezi Ormian, której w 1915 r. dokonało Imperium Osmańskie. Ararat występuje w herbie Armenii, Ormianie piszą o nim wiersze, śpiewają pieśni. Do niedawna widniał na pieczątkach, które straż graniczna wbijała do paszportów na granicy. Ale już nie widnieje.

Nie wszystkim w Armenii podoba się taka polityka uznania faktów dokonanych.

YURI KOCHETKOV / IMAGO / EAST NEWS

Nikol Paszynian w dniu zwycięskich wyborów parlamentarnych, 7 czerwca 2026 r.

– Paszynian uważa, że Ararat to symbol starej Armenii. W nowej powinniśmy się zachwycać Agarakiem, najwyższym szczytem na naszym terytorium. Tyle że w przypadku tej góry nie ma się czym zachwycać – mówi Boris Navasardian, dziennikarz i założyciel Yerevan Press Club, pierwszej niezależnej organizacji dziennikarskiej w kraju.

– Paszynian sądzi, że odrzucając tradycję i dokonując zamachu na naszą tożsamość, śle pozytywny sygnał do Turcji i Azerbejdżanu. Nie rozumie, że nas upokarza – dodaje.

Navasardian przypomina, że w czasie kampanii wyborczej Paszynian pokłócił się publicznie z Arturem Osipianem, bohaterem wojen karabachskich. Osipian zapytał go, dlaczego jako premier od 2018 r. podtrzymywał finansowo władze Karabachu, choć wiedział, że kradną. Chciał wiedzieć, dlaczego premier nie wsadził tych ludzi do więzienia.

Paszynian w rewanżu zapytał, czemu Osipian nie zginął w walce o Karabach. Potem wszczęto wobec niego śledztwo (zarzuty: nawoływanie do przemocy i utrudnianie kampanii) i aresztowano. W areszcie prowadzi on strajk głodowy, żąda też przeprosin od premiera.

Paszynian kontra oligarchia

– Nie wiem, czy doczeka się tych przeprosin – mówi Navasardian. – Paszynian wybory wygrał, więc nic nie stoi na przeszkodzie, by przeprosił nie tylko Osipiana, ale też innych, których podczas kampanii obraził. Przed wyborami taki gest mógłby mu zaszkodzić, ludzie mogliby wziąć go za słabego, a takich się u nas nie lubi. Ale teraz, gdy ma już pewność, że będzie premierem kolejne pięć lat, powinien przeprosić.

Paszynian rzeczywiście wybory wygrał. Jego partia Umowa Społeczna zdobyła prawie połowę głosów i tym samym większość parlamentarną. Głosowali na niego przede wszystkim ci, którzy za wszelką cenę chcą pokoju z Azerbejdżanem i otwarcia granicy z Turcją, a także prowincja. To tam Paszynian po dojściu do władzy budował drogi, dał ludziom pracę.

A zwłaszcza: uwolnił ich z poddańczego układu, w którym żyli od czasu, gdy w 1991 r. upadł Związek Sowiecki i powstała niepodległa Armenia.

– W naszym kraju rządził układ oligarchiczny, który rozpędu nabrał w 1998 r., gdy do władzy doszedł tzw. klan karabachski. Armenia była pogrążona w korupcji i nieograniczonej władzy oligarchów – wspomina Navasardian. – Podzielili oni kraj na strefy wpływów, a ludzi, którzy tam żyli, mieli za swoich wasali. Dopiero gdy pojawił się Paszynian i zaczął walczyć z tym układem, zobaczyli, że mają jakąś sprawczość i mogą decydować o sobie.

– To w Armenii nowość – przyznaje dziennikarz. – Trwa to dopiero osiem lat, dlatego ludzie bardzo to cenią.

W uścisku Rosji

W europejskich mediach po wyborach z 7 czerwca dominował ton, że Armenia wybrała Zachód i odwraca się od Rosji. To jednak uproszczenie. Ani Paszynian nie chce dystansować się od Rosji, o czym mówi publicznie, ani Rosja donikąd się z Armenii nie wybiera. Dla każdej

eprasa.pl fbbd995f95

ze stron byłoby z tego powodu zbyt wiele strat. Mówią o tym liczby.

Centralny Bank Armenii podaje, że tylko w 2025 r. na rosyjski rynek trafiało blisko 40 proc. armeńskiego eksportu, a Rosja odpowiadała za 35 proc. całego zagranicznego handlu tego kraju. Ponadto w 2025 r. Ormianie pracujący w Rosji przelali do kraju 3,9 mld dolarów (to wartość przelewów bankowych).

Rosja trzyma też rękę na energetyce Armenii. Prawie 82 proc. zużywanego tu gazu pochodzi z Rosji, a jego dystrybucją zajmuje się Gazprom. Dalej: 30 proc. prądu wytwarza elektrownia jądrowa Metsamor; jej reaktor jest konstrukcji sowieckiej i jego funkcjonowanie zależy od rosyjskiego paliwa jądrowego, technologii i części.

W rosyjskich rękach jest armeńska kolej, rosyjski kapitał kontroluje znaczną część sektora telekomunikacyjnego, a w Giumri jest rosyjska baza wojskowa. Nie da się szybko zerwać tych wszystkich zależności i powiązań – nawet gdyby była po temu wola.

Układ dwustronny

Paszynian o tym wie. – Robi więc wszystko, by nie dać się sprowokować. Jeśli Rosja będzie chciała nas ukarać, zrobi to, ale my musimy zrobić, co w naszej mocy, żeby to była jej decyzja, a nie reakcja na nasze nerwowe ruchy ze względu na jej prowokacje – tłumaczy Stiopa Safarian, analityk z Armenian Institute of International and Security Affairs (AIISA).

Safarian uważa, że jest to układ obustronny, bo Rosja też potrzebuje Armenii. I to właśnie z Paszynianem na czele.

– Moskwa korzysta na jego dobrych stosunkach z Zachodem, bo to pozwala jej za pośrednictwem Armenii obchodzić sankcje na niektóre towary – twierdzi Safarian. – Jednak zarazem Rosji zależy na tym, by władza Paszyniana była jak najsłabsza. Dlatego przed wyborami cała rosyjska machina propagandowa wieszała na Paszynianie psy, straszyła wojną i nałożyła sankcje na kwiaty, koniak, żywność i wodę mineralną.

– Trzeba przyznać, że okazali się skuteczni – ocenia analityk. – Paszynian wygrał, ale nie ma większości konstytucyjnej. W nowym parlamencie są ludzie Kremla. Można nawet powiedzieć, że w naszym parlamencie zasiądą deputowani rosyjskiej Dumy Państwowej.

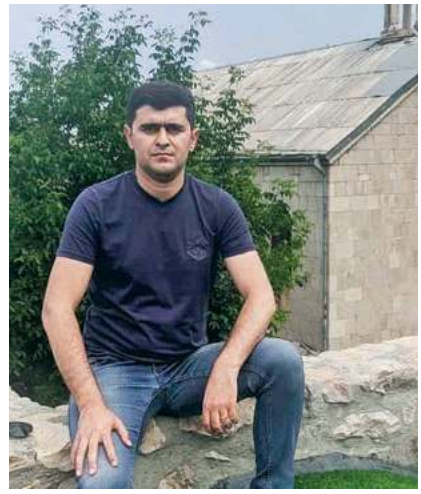

ARCHIWUM PRYWATNE

Paweł opuścił Karabach jesienią 2023 r. wraz ze stu tysiącami Ormian. Dziś uważa, że Armenia go zdradziła. Na zdjęciu jeszcze w rodzinnym Stepanakercie.

Kto ponosi winę?

Skąd taka ocena? Dwie partie prorosyjskie – Silna Armenia i Sojusz Armenia – zdobyły razem ponad 33 proc. głosów. Obie chcą zbliżenia z Rosją, ponownego „przedyskutowania" procesu pokojowego z Azerbejdżanem, a nawet „rozważenia" powrotu Ormian do Karabachu.

Jeśli przyjrzeć się wynikom wyborów, to okazuje się, że więcej ludzi w kraju głosowało przeciw Paszynianowi, nawet jeśli nie oddali głosów na prorosyjskie partie. Paweł też nie oddałby na niego swojego głosu. – On oddał Karabach, a teraz chce przekreślić pamięć tych, którzy za niego polegli – mówi.

Także Boris Navasardian obwinia Paszyniana za utratę Karabachu. – Tej wojny można było uniknąć – przekonuje. – Gdy on doszedł do władzy, Azerbejdżan wielokrotnie proponował negocjacje. Chcieli, by Armenia uznała Karabach za azerbejdżański i podjęła rozmowy na temat Ormian z Karabachu. Azerbejdżan chciał przyznać regionowi szeroką autonomię, byle w swoich granicach.

Paszynian się nie zgodził. – Krzyczał wtedy, że Arcach to Armenia. Tak naprawdę Azerbejdżan nie miał innego wyjścia, więc zaczął wojnę w 2020 r. Owszem, Azerbejdżan nie jest bez winy, ale uważam, że większa leży po naszej stronie. Paszynian był pewien, że Rosja do tego nie dopuści. Bardzo się pomylił – mówi Navasardian.

Wielki hamulcowy

Teraz, aby podpisać traktat pokojowy, Armenia musi zmienić konstytucję. Prezydent Azerbejdżanu, Ilham Alijew, postawił warunek, aby Erywań wykreślił z preambuły konstytucji nawiązanie do Deklaracji Niepodległości z 1990 r., gdzie mowa jest o zjednoczeniu Armenii z Arcachem. Alijew uważa, że zapis ten oznacza roszczenia terytorialne. Jednak by to zrobić, trzeba przeprowadzić referendum.

– Przy tym parlamencie to niemożliwe, a to oznacza, że układu pokojowego nie będzie – ocenia Stiopa Safarian. – Co ciekawe, ta sytuacja odpowiada i Rosji, i części Ormian, zwłaszcza tych z diaspory.

Poza Armenią żyje może nawet dwa-trzy razy więcej Ormian niż w kraju. Safarian: – Oni nie mogą głosować, ale i tak mają u nas ogromne wpływy, bo przesyłają pieniądze. Nigdy nie odbieraliśmy diaspory jako zagrożenia. Nawet wtedy, gdy ci ludzie byli zwerbowani przez inny wywiad, wierzyliśmy, że to, czego chcą, to dobro Armenii.

– Niedawno dotarło do nas, że diaspora to wielki hamulcowy rozwoju naszego kraju – uważa Safarian. – Oni żyją wygodnie w Nowym Jorku, Paryżu czy Moskwie, karmią się mitami, ale nie chcą się tu przeprowadzić. W roli mądrzejszych braci tłumaczą, co dla nas lepsze. Dla nich każde wyjście poza mit jest zdradą. Ale nie da się iść do przodu, grzęznąc w historii.

Wspomnienie

Akurat z tym Paweł nie może się pogodzić. Uważa, że Armenia go zdradziła. – Uważa się nas za problem. Najlepiej, gdybyśmy zniknęli – rzuca. Potem sięga po telefon i pokazuje mi zdjęcia wschodów i zachodów słońca w Martakercie. Mówi, że gdy tylko zamyka oczy, od razu się tam przenosi. Chodzi po łąkach, odwiedza sklepy, pije herbatę u sąsiadów.

Tylko rodzinnego domu nie chce wspominać. Zanim go opuścił, porąbał siekierą, co się tylko dało. Nie był w stanie myśleć, że jakiś Azerbejdżanin miałby korzystać z jego rzeczy.

Wciąż wierzy, że kiedyś tam wróci. – Przecież Azikom udało się to po 30 latach. Nam też się uda. To wszystko nie może się tak skończyć. © STASIA BUDZISZ

eprasa.pl fbbd995f95

Modlitwa po śmierci papieża Franciszka w Bazylice Grobu Świętego w Jerozolimie, 21 kwietnia 2025 r.

DISNEYLANDU TU NIE BĘDZIE

KS. PIOTR ŻELAZKO, DUSZPASTERZ HEBRAJSKOJĘZYCZNYCH KATOLIKÓW:

Chrześcijanom w Izraelu żyje się lepiej niż w innych krajach na Bliskim Wschodzie. Pod warunkiem, że nie ma wojny.

eprasa.pl fbbd995f95

SAEED QAQ / ANADOLU / AFP / EAST NEWS

KAROLINA PRZEWROCKA: Dziś w nocy Izrael i Iran przypuściły wzajemne ataki, budząc w regionie lęk przed powrotem krwawej wojny. Izrael zamknął szkoły. A w jakiej sytuacji ten poranek zastaje Twoją wspólnotę – katolików języka hebrajskiego w Izraelu?

KS. PIOTR ŻELAZKO: Żyjemy energią wydarzeń ważnych dla naszego wikariatu św. Jakuba. Niedawno świętowaliśmy jego 70-lecie – w 1956 r. została w Izraelu odprawiona pierwsza msza katolicka po hebrajsku. Mimo napiętej sytuacji udało nam się zorganizować galę: przyjechali przedstawiciele naszych wspólnot z całego kraju, kard. Pierbattista Pizzaballa odprawił mszę. Potem była muzyka, trochę wspomnień i wręczanie medali.

Wcześniej była Wielkanoc, która z powodu wojny wypadła nam w schronach. W Niedzielę Palmową odprawiałem mszę 30 metrów pod ziemią, pod centralną stacją autobusową w Tel Awiwie. Katolickie rodziny z dziećmi, które nie miały schronów w swoich domach, przeniosły się do tych podziemi i przez 5 tygodni mieszkały tam w namiotach.

Potem w Cinematheque, najważniejszym kinie w Jerozolimie, zorganizowaliśmy premierę filmu dokumentalnego katolickiej telewizji KTO o naszej pracy z dziećmi z Filipin, które nie otrzymały w Izraelu legalnego statusu. Pokazanie filmu w tak ważnym kinie było dla nas sporym wydarzeniem.

Teraz kończy się rok szkolny i jak zwykle zorganizujemy *kaitanot* – kolonie dla naszych dzieciaków ze wspólnoty.

Gala, premiera, kolonie – a w polskich mediach czytamy, że katolicy w Izraelu są prześladowani i dla swojego bezpieczeństwa nie powinni ujawniać się ze swoją odmiennością. Jak to jest?

Zależy, jak na to spojrzymy. Bo trudno mówić o tym, że chrześcijaństwo jest wyraźnie obecne w Izraelu, jeżeli jego wyznawcy stanowią niecałe 2 proc. społeczeństwa – a więc można tu żyć, w ogóle nie spotykając chrześcijan. Dla zwykłego mieszkańca Izraela nie ma znaczenia, czy ktoś jest chrześcijaninem, czy muzułmaninem – ma natomiast znaczenie to, że jest Arabem, bo większość chrześcijan w Izraelu to właśnie Arabowie.

Katolicy języka hebrajskiego w Izraelu, czyli niespełna 1000-1200 osób, to osobna kategoria, wymykająca się podziałowi na Żydów i Arabów. Tu mówi się po hebrajsku, wiele osób ma pochodzenie żydowskie. Poza tym są u nas też Arabowie, Filipińczycy, Europejczycy, Amerykanie, Afrykańczycy. Wszyscy funkcjonują całkiem normalnie: dzieci chodzą do szkoły, zdają maturę, potem część z nich idzie do armii, potem biorą śluby, pracują, robią karierę, biznesy. Troski mają takie same jak żydowscy Izraelczycy – lepsza praca, dobra szkoła, wysokość czynszu, ceny w sklepach. Normalne problemy – pod warunkiem, że nie ma wojny, bo wtedy normalne nie są, i to też dotyczy wszystkich. Zaryzykowałbym twierdzenie, że lepiej i łatwiej im się tu żyje niż w jakimkolwiek innym kraju na Bliskim Wschodzie.

Benedyktyński opat z Jerozolimy, Nikodemus Schnabel, powiedział niedawno, że Ziemia Święta wkrótce może stać się „rodzajem chrześcijańskiego Disneylandu". Uważa, że wprawdzie święte miejsca pozostaną, a w nich mnisi i księża, ale nie będzie już świeckich chrześcijan. Zgadzasz się z tą opinią?

Absolutnie nie! W samym Izraelu wbrew wszelkim oczekiwaniom liczba chrześcijan wzrasta. Co roku w Boże Narodzenie publikowany jest raport statystyczny: było 1,8 proc., teraz jest 1,9 proc., i w tym roku prawdopodobnie będzie pełne 2 proc. społeczeństwa. To obecnie jedyny kraj na Bliskim Wschodzie, gdzie liczba chrześcijan rośnie i skąd chrześcijanie nie chcą wyjeżdżać.

Mówimy cały czas o Izraelu, bo tu sprawujesz swoją funkcję – nie o Gazie czy Zachodnim Brzegu. Czy masz porównanie, jak sytuacja wygląda w innych miejscach Bliskiego Wschodu?

Czasami jeżdżę do Libanu. Mam też regularny kontakt z łacińskim biskupem z Bejrutu. Gdy Izrael zabił w 2024 r. przywódcę Hezbollahu Nasrallaha, to nie słyszałem, by chrześcijanie po nim płakali. Wiem, że jest tam ciężko, bo Izrael robi naloty i walczy z Hezbollahem, ale wcześniej też nie żyło się najlepiej. Liban popadł w wielki kryzys finansowy. Podczas mojego ostatniego pobytu około północy zabrakło prądu.

Na konferencji episkopatu rozmawiałem też niedawno z biskupem łacińskim Syrii, który opowiadał o trudnych realiach życia w tym kraju. Więc z głosów, które do mnie docierają, wnoszę, że chrześcijanie w krajach Bliskiego Wschodu zmagają się z poważniejszymi problemami. I że nasze życie tu, w Izraelu, jest spokojniejsze, bo nie odbiega znacznie od poziomu europejskiego – czy to jeśli chodzi o poziom życia, podstawowe prawa, ochronę zdrowia, czy edukację. Przynajmniej od 20 lat, odkąd żyję w Izraelu, czuję, że jest to kraj dużo łatwiejszy do życia niż choćby nawet Jordania – w której chrześcijan jest sporo, mają swoje szkoły, ↦

eprasa.pl fbbd995f95

napięć prawie nie ma, a jednak ogólny poziom życia wpływa na całokształt dobrego samopoczucia.

Czy widzisz różnicę w tym, jak chrześcijanie zaczęli być traktowani po dojściu do władzy w Izraelu ugrupowań ekstremistycznych? Siedziba wikariatu jest akurat niedaleko Mea Szearim, ultraortodoksyjnej dzielnicy, i Starego Miasta, gdzie dochodzi do największej liczby ataków.

Nie lubię słowa „atak". Ataki na chrześcijan są w Nigerii, gdzie porywa się dzieci, regularnie pali się kościoły. Tutaj mamy do czynienia z aktami wandalizmu typu graffiti, mową nienawiści, obrażaniem, opluwaniem. Oczywiście poza ostatnim wydarzeniem: pobiciem siostry zakonnej, bo to był atak fizyczny.

Ale to nie jest tak, że każdy, kto wychodzi na ulice izraelskich miast z krzyżykiem na piersi, od razu będzie opluty. A takie wrażenie mogą odnieść ci, którzy czytają te dramatyczne nagłówki z polskich mediów.

„Brutalny atak na katolicką zakonnicę w Izraelu", „niespotykana dotąd przemoc", „chrześcijanie coraz bardziej zagrożeni" – to kilka przykładów. Nie można jednak bagatelizować czyjegoś poczucia zagrożenia.

Nie bagatelizuję i wcale się nie dziwię, że niektórzy przełożeni zakonni tak to przedstawiają, bo faktycznie tego doświadczają. Nie mają szerszego doświadczenia duszpasterskiego, są odpowiedzialni za swoje siostry zakonne i zakonników, i podnoszą alarm. Przy tym pamiętajmy, że nienawiść na tle religijnym jest okazywana codziennie na całym świecie. W tym samym czasie, gdy w Jerozolimie atakowano zakonnicę, w Londynie w żydowskiej dzielnicy dwukrotnie napadnięto kogoś z nożem w ręku. My jako chrześcijanie mamy potępiać wszystkie ataki nienawiści religijnej na całym świecie, a nie tylko nagłaśniać to, że biją naszych. „Nasi" to są wszyscy, którzy cierpią z powodu nienawiści religijnej. I tu musimy być bardzo zjednoczeni.

Te nagłówki Cię denerwują?

Tak, bo kreują równoległą rzeczywistość. Kiedy moja rodzina albo znajomi pytają mnie, czy rzeczywiście jest aż tak niebezpiecznie w Izraelu, i martwią się, że chodzę po mieście w koloratce lub z krzyżem, to mnie to denerwuje. Ostatnio braliśmy udział w międzyreligijnym marszu z YMCA do Bramy Jafskiej. Szliśmy – muzułmanie, chrześcijanie, żydzi – poubierani w nasze stroje religijne: habity, sutanny, kipy, wszyscy razem. Nikt nas nie atakował.

Z drugiej strony – przy jednym z naszych klasztorów widnieje drogowskaz z symbolem – domkiem z krzyżykiem na znak, że jest to miejsce święte dla chrześcijan. Ten krzyżyk jest notorycznie zamalowywany sprejem. Wiem, że jest to zgłaszane, potem odpowiednie służby to czyszczą lub wymieniają drogowskaz, aż do następnego razu – bo komuś krzyż ewidentnie się nie podoba. I moim zdaniem trzeba to nagłaśniać – ale też pamiętać, że to się nie różni od gwiazdy Dawida na szubienicy nabazgranej na murze w polskim mieście. To są wulgarne akty wandalizmu na tle nienawiści religijnej i nie ma dla nich usprawiedliwienia.

Widzę, że dla niektórych te akty są świetnym pretekstem, by znów powiedzieć: ach, ci okropni Żydzi. A Izrael tych powodów do krytyki na arenie międzynarodowej daje już wystarczająco dużo. Ochocze zbieranie dodatkowych „dowodów" w kwestii ataków na chrześcijan tworzy bardzo wrogi, nieprawdziwy obraz Izraela.

Czy na pewno taki nieprawdziwy?

Wielu moich znajomych Izraelczyków odcina się od działań obecnego rządu i próbuje bronić obrazu otwartego Izraela, twierdząc, że to rząd, a nie ludzie odpowiadają za te decyzje. Ale zauważam, że nastroje w kraju, wśród ludzi, skręciły ostatnio w prawo, i to, jaka jest prawda o poglądach mieszkańców, zweryfikują dopiero kolejne wybory.

Myślę też, że pełny obraz sytuacji, wiedzę o tym, czy liczba tych zdarzeń statystycznie wzrasta, czy podejście policji się zmienia – będziemy mieli po jakimś czasie, porównując statystyki i raporty, np. te publikowane przez Yiskę Harani, izraelską działaczkę na rzecz dialogu żydowsko-chrześcijańskiego, i jej wolontariuszy, którzy zbierają dane na temat aktów przemocy i je publikują. Poza tym Izrael to nie jest tylko jerozolimska starówka, gdzie aktów przemocy czy wandalizmu doświadczają rzeczywiście osoby w habitach, które przemieszczają się ulicami prowadzącymi pod Ścianę Płaczu.

Więc jaki jest dla świeckich chrześcijan ten zwykły Izrael?

Regularnie odwiedzam nasze wspólnoty w Tel Awiwie-Jafie, Beer Szewie, rozmawiam z ludźmi i nie słyszę, żeby nagle zaczęło się chrześcijanom żyć gorzej. Nie mam jednak wątpliwości, że atmosfera kreowana przez wydarzenia na wysokim szczeblu wpływa na ludzkie reakcje. Podczas naszego pokazu filmowego w Cinemateque wywiesiliśmy banner z napisem „hebrajskojęzyczni katolicy w Izraelu". Zauważyła go starsza kobieta, która nie brała udziału w naszym pokazie. Podeszła do mnie i powiedziała stanowczo, że wprawdzie nie jest osobą religijną, ale sobie nie życzy katolików w Izraelu. Nie było z nią dyskusji.

Jak zareagowałeś?

Zastanowiło mnie, czy to jest związane z jakąś ogólną atmosferą i napięciem, czy tym, że język polityki obniżył swój poziom do minimum i uczy, że właściwie można publicznie powiedzieć wszystko i nie ponosi się z tego tytułu żadnych konsekwencji.

Nas, katolików, jest w Izraelu mało, jesteśmy zintegrowani ze społeczeństwem izraelskim. Ktoś może więc powiedzieć, że tajemnicą tego, że dobrze nam się w Izraelu żyje, jest to, że niewielu wie, że w ogóle tu jesteśmy. Być może gdybyśmy zaczęli jakoś bardziej manifestować naszą obecność, kto wie, jak to by wyglądało.

Dotąd wśród katolików w Izraelu sympatie kierowały się bardziej w stronę propokojowej lewicy,

Gdy opowiadam o przebaczeniu, słyszę hebrajskie powiedzenie: „gdy będziesz tak kochał ludzi, to cię zjedzą bez soli".

Ale bycie frajerem nie zawsze jest złe. Nawet na Bliskim Wschodzie.

eprasa.pl fbbd995f95

również przez fakt, że chrześcijanie izraelscy są w dużej mierze Arabami. Jak wygląda „profil światopoglądowy” katolików po latach tej okropnej wojny?

Mamy cały wachlarz osób o poglądach bardzo różnych i zawsze uczulam naszych księży, by jak najmniej manifestowali swoje poglądy, by każdy, kto przychodzi się modlić, czuł, że jest w domu. Te poglądy ujawniają się np. przy okazji spontanicznej modlitwy wiernych, którą praktykujemy w naszych wspólnotach. Ktoś modli się o błogosławieństwo dla premiera Netanjahu, a za chwilę ktoś inny modli się, żeby zakończyły się zbrodnie wojenne w Gazie. Jako księża musimy być neutralni, nie narzucać nikomu żadnej narracji.

Atak Hamasu 7 października był dla nas wielkim tąpnięciem. Wtedy wszyscy myśleliśmy w podobny sposób: byliśmy w rozpaczy, żałobie, gniewie. Potrzebowaliśmy czasu, by z tego wyjść. Ktoś ostatnio nam zarzucił, że nasze wspólnoty delikatnie skręciły w prawo. Czy tak jest – nie wiem, nie chcę tego oceniać. Sądzę jednak, że nie mamy we wspólnotach osób o bardzo skrajnych przekonaniach, bo jednak chrześcijaństwo ma moc wygładzania różnych skrajności.

Gdy dwa miesiące po ataku pytałam na tych łamach, jak chrześcijańscy Izraelczycy radzą sobie z traumą, powiedziałeś: „Pozostaniemy pomostem między religiami i narodami, ale najpierw dajcie nam przeżyć żałobę i gniew”. Czy teraz jest już moment, gdy można zacząć rozmawiać?

Tak, to już jest moment, w którym można zacząć widzieć sprawy szerzej, można wreszcie rozmawiać. Ale ciągle jeszcze widzę zderzenie dwóch narracji: jednej o tym, że Izrael dokonał zbrodni wojennych i łamał prawa człowieka, i drugiej o tym, że kiedy walczysz o życie, wszystkie środki są dozwolone – a Izrael walczy przecież o swoją egzystencję na Bliskim Wschodzie. Mam wrażenie, że to jest obecnie główna narracja w Izraelu, wzmacniana zresztą przez kolejne alarmy przeciwrakietowe i, paradoksalnie, przez nieprzychylną Izraelowi opinię świata. Ale powoli przebijają się głosy, że trzeba szukać pokoju, bo nie można wszystkiego usprawiedliwiać wojną o przeżycie.

ARCHIWUM PRYWATNE

Ks. Piotr Żelazko

Jak Ty sam przeżyłeś ten trudny okres?

Sam też przeszedłem drogę od gniewu zaraz po 7 października po głębokie rozumienie, że nie można odczłowieczać wroga, i że nie wszystko jest dozwolone, nawet gdy walczysz o życie.

Rozumiem Cię, bo również przeszłam tę ścieżkę, ale dla Europejczyków jest ona niemal niezrozumiała.

Z kolei w samym Izraelu mało kto rozumie chrześcijańską specyfikę przeżywania tragedii. Gdy kard. Pizzaballa oznajmił, że odda się w niewolę Hamasu w zamian za uwolnienie zakładników, Izraelczycy przyjęli to z podziwem. Pytałem potem żydowskich znajomych, dlaczego brakuje w Izraelu innych takich głosów – celebrytów, filozofów, polityków. Czemu nikt publicznie nie powiedział: wypuśćcie ich, ja pójdę? Znajoma Izraelka odpowiedziała: nie mieści nam się w głowach, że tak można. To zupełnie nie jest wpisane w naszą kulturę.

To ciekawe, bo w każdej izraelskiej rodzinie są osoby, które służyły w armii. Mówimy później, że są bohaterami, którzy oddali życie za kraj. Choć judaizm mówi, że największą wartością jest twoje życie i masz go przede wszystkim chronić.

Pomyślałem, że to dobrze, że chrześcijaństwo wnosi do Izraela trochę tej innej, niezrozumiałej przyprawy. Chociażby poczucie tego, że prowokujemy do zadawania pytań, kiedy upominamy się o człowieczeństwo wroga albo o prawa człowieka, albo o to, że warto poświęcić życie za innych.

Często w Izraelu słyszy się powiedzenie: nie bądź frajer. Nie ustępuj. To część tutejszego światopoglądu.

W dodatku historycznie uwarunkowana: bo przecież na Bliskim Wschodzie, gdy nie będziesz się rozpychał łokciami, to ci wszystko zabiorą. Gdy czasem opowiadam coś o próbie przebaczenia i proszenia o przebaczenie, bezwarunkowego kochania, to słyszę hebrajskie powiedzenie: „Gdy będziesz tak kochał ludzi, to cię zjedzą bez soli”. Mimo wszystko powtarzam ludziom: warto odpuścić. Nie zawsze bycie frajerem jest złe. Nawet na Bliskim Wschodzie.

Jak ta wojna zmieniła Twoją modlitwę?

We wspólnocie często modlimy się za młodzież w armii z ich rodzinami, matkami. Zapewniam też moje znajome Izraelki, że modlę się za ich dzieci, bo wiem, że one same też się modlą, nawet gdy na co dzień są niereligijne. Czuję, że nawet gdybym nie wierzył w to, że Pan Bóg czuwa i że może pomóc, to i tak bym się modlił, żeby te dzieciaki, które znam, wróciły.

A czy modlisz się jeszcze o pokój?

Każdą modlitwę zaczynam i kończę taką modlitwą, bo czuję, że muszę. Jesteśmy zobowiązani do modlitwy o pokój, nawet jeśli sami nie do końca wierzymy w to, że przyjdzie. Mam takie doświadczenie, że na wieczornej modlitwie zdaję sobie sprawę z przytłoczenia tymi wszystkimi dramatami z całego dnia, i mówię Bogu: nie chcę już do tego wracać, to dla mnie za dużo. Po prostu Ci to oddaję, i Ty już wiesz, co z tym zrobić. To też sposób na to, by siebie ochronić: nie mam w sobie siły, by wracać w modlitwie do szczegółów tylu trudnych doświadczeń, bo wiem, że następnego dnia będą kolejne.

Te emocje nie mogą nas determinować. Złe doświadczenia nie mogą mieć wpływu na to, jak idziemy do przodu. To trudne, ale konieczne. Chciałbym za jakiś czas móc powiedzieć, że izraelscy chrześcijanie byli grupą, która jako pierwsza ocknęła się po szoku 7 października i jako pierwsi zaczęli mówić o prawach człowieka.

© Rozmawiała KAROLINA PRZEWROCKA

O wikariacie św. Jakuba i możliwościach udzielenia wsparcia można przeczytać na stronie friendsofstjames.org

eprasa.pl fbbd995f95

FREDERIC PETRY / HANS LUCAS / AFP / EAST NEWS

Msza w rycie trydenckim. Chartres, 9 czerwca 2025 r.

Bożek tradycji

MICHAŁ RYCHERT

KONTROWERSJE | Mówią, że są wierni tradycji, a kwestionują zwierzchność papieża. Kim są lefebryści i czy w najbliższych dniach ich drogi z Kościołem całkiem się rozejdą?

To będzie „akt schizmatycki" – zakomunikował Watykan w odpowiedzi na informację, że Bractwo Kapłańskie Świętego Piusa X (FSSPX) zamierza wyświęcić – bez zgody papieża – czterech biskupów. Jeśli ta konsekracja (zapowiedziana na 1 lipca) się dokona, drogi lefebrystów i Kościoła katolickiego mogą rozejść się na dobre. Bractwo uznaje te święcenia za „konieczne ze względu na obecny kryzys w Kościele", a także by zapewnić swojej wspólnocie „ciągłość posługi sakramentalnej i formacji duchownych".

Zresztą nie pierwszy raz w historii – blisko 40 lat temu na podobny krok zdecydował się założyciel Bractwa, Marcel Lefebvre (1905-1991), francuski arcybiskup, misjonarz w Afryce, jeden z najzacieklejszych krytyków Soboru Watykańskiego II (patrz ramka).

O lefebrystach jest dziś głośno głównie ze względu na ich przywiązania do tradycyjnej liturgii. Mniej mówi się o ich przedsoborowej teologii. Tymczasem konsekwentne negowanie zmian wprowadzonych przez Vaticanum II jest działaniem nie mniej schizmatyckim jak zapowiedziane święcenia biskupów.

Posłuszeństwo i granice

Spór z Lefebvre'em i jego zwolennikami nie dotyczy bowiem – jak się czasem uważa – jedynie nowego rytu mszalnego, lecz spraw dużo ważniejszych: sposobu rozumienia Tradycji, podważania autorytetu soboru, papieża i nauczania Kościoła, ekumenizmu, relacji do świata.

Lefebryści uważają, że od czasu Soboru Watykańskiego II Kościół pobłądził, a kolejni papieże nauczają niezgodnie z Tradycją. Tymczasem nauka Kościoła rozwijała się właśnie poprzez sobory, dyskusje i spory. Dlaczego więc ta zasada nie miałaby dotyczyć Vaticanum II?

„Deklaracja o wolności religijnej" – jedna z najbardziej kontestowanych przez lefebrystów – została przyjęta przy ogromnej większości głosów: „za" głosowało 2130 ojców soborowych, „przeciw" 88, a 3 głosy były nieważne. Przewaga przytłaczająca, więc trudno mówić tu – zwykle z przekąsem – o triumfie demokracji. Dlaczego nie uznać tego wyniku za wyraz jedności Kościoła i działania Ducha Świętego? Skoro wierzymy, że na soborze jerozolimskim, potem nicejskim i kolejnych, przemówił „Duch Święty i my", jak mówi Pismo Święte (Dz 15, 28), nie ma powodu, by sądzić, że na ostatnim soborze stało się inaczej.

Lefebryści pozostają jednak w trwałej opozycji wobec soborowych reform. Co w praktyce prowadzi do podziału oraz podważania autorytetu tych struk-

eprasa.pl fbbd995f95

tur, które oni sami uznają za konieczne dla Kościoła.

Własna miara

Lefebryści często uzasadniają swoją postawę „stanem wyższej konieczności" i dobrem dusz. To nie nowa argumentacja. Podobną spotykamy u trzysta lat wcześniejszych jansenistów, którzy również uważali się za autentyczną część Kościoła (patrz ramka).

Decydując się na wyświęcenie biskupów bez zgody papieża, lefebryści próbują wykazać, że historia jansenistów z nimi nie ma nic wspólnego. Mechanizm jest jednak podobny: uznaje się urząd papieski, ale odrzuca konkretne decyzje papieży, odwołując się do wyższego kryterium. Dla jansenistów była nim predestynacja, dla lefebrystów – określona wizja Tradycji. W konsekwencji o wiążącej mocy nauczania nie decyduje już Kościół, lecz arbitralnie przyjęte kryterium. Jeden sobór uznaje się za obowiązujący, inny się odrzuca; jednego papieża przyjmuje się za „strażnika i głosiciela wiary", innego za heretyka, jeden katechizm wyraża autentyczną wiarę Kościoła, inny jest „fałszywy".

Prywatne opinie arcybiskupa Lefebvre'a traktowane są w efekcie za bardziej zobowiązujące niż nauczanie papieży i soboru powszechnego. Środowisko powołujące się na niezmienność Tradycji samo popada w relatywizm.

Kościół w ruchu

Każda epoka posiadała swoje „współczesne" nauczanie. Nie może być inaczej, jeśli Kościół nie chce zamienić się w muzeum. Tradycjonaliści często przekonują, że Sobór Watykański II „zerwał z przeszłością". Historia Kościoła pokazuje jednak, że jego doktryna rozwijała się od samego początku chrześcijaństwa. Co zresztą wynikało z samej jego natury.

Już w reakcji na nauczanie Jezusa słuchacze pytali: „Co to jest? Nowa jakaś nauka?" (Mk 1, 27). Stosując kryteria integrystów, należałoby i Jezusa uznać za modernistę. Tak zresztą postrzegali Go przeciwnicy, zarzucając Mu odejście od tradycji ojców (zob. J 4, 20; 6, 31).

Nowy Testament był rzeczywiście „nowym przymierzem": przejściem od Prawa do Ewangelii, od świątyni do kultu „w Duchu i prawdzie" (J 4, 23), od szabatu do niedzieli.

Średniowiecze, do którego tak chętnie odwołują się tradycjonaliści, było epoką intensywnego rozwoju teologii: anzelmiańska interpretacja odkupienia; nauka o transsubstancjacji (Sobór Lateranski IV, 1215); przyjęcie filozofii Arystotelesa jako klucza interpretacyjnego dla teologii.

Nie inaczej było w kolejnych wiekach. Na Soborze Florenckim (1439) po raz pierwszy sformułowano naukę o siedmiu sakramentach, choć wcześniej wymieniano ich nawet kilkanaście. Sobór Trydencki (1545-1563) dokonał reformy liturgii. Na Soborze Watykańskim I (1869-1870) ogłoszono dogmat o nieomylności papieża. Doktryna Kościoła w tych i wielu innych aspektach nie spadła z nieba, ale była owocem wielowiekowego procesu dojrzewania.

Odwoływanie się do poprzednich epok, tak dynamicznych pod względem rozwoju doktrynalnego, by uzasadnić wizję Tradycji jako „niezmiennej prawdy", wydaje się zabiegiem dość karkołomnym. Na tle wspomnianych przemian Sobór Watykański II jawi się jako zjawisko znacznie mniej rewolucyjne, niż przedstawiają je krytycy. ↦

Dlaczego Lefebvre się zbuntował

KIEDY w grudniu 1965 r. Sobór Watykański II zakończył obrady, abp Marcel Lefebvre złożył podpis pod wszystkimi dokumentami soborowymi, łącznie z tymi, które wkrótce zaczął zwalczać. Co pokazuje, że jego bunt nie wybuchł od razu, ale rozwijał się stopniowo.

Już podczas soboru Lefebvre współtworzył międzynarodową, konserwatywną grupę ojców soboru, która sprzeciwiała się projektom trzech dokumentów: deklaracji o religiach niechrześcijańskich „Nostra aetate", deklaracji o wolności religijnej „Dignitatis humanae" i konstytucji o Kościele w świecie współczesnym „Gaudium et spes".

Najwięcej zastrzeżeń budziła „Dignitatis humanae": dokument głoszący, że wolność religijna jest fundamentalnym prawem każdej osoby ludzkiej. Lefebvre uznał to za herezję – jego zdaniem sobór sprzeniewierzył się odwiecznemu nauczaniu Kościoła w tej kwestii.

Czwartym punktem spornym była reforma liturgiczna. Nie była to zmiana wprowadzona przez sobór, tylko przez papieża Pawła VI, który w 1969 r. (cztery lata po zakończeniu obrad) opublikował nowy Mszał Rzymski.

W 1970 r. abp Lefebvre założył w Szwajcarii Bractwo Kapłańskie Świętego Piusa X (FSSPX), by kształcić księży w duchu przedsoborowej teologii i liturgii. W 1988 r., bez zgody Jana Pawła II, wyświęcił czterech biskupów, przez co automatycznie ściągnął na siebie i nowo konsekrowanych ekskomunikę. Papież Benedykt XVI zdjął ją w 2009 r., na ustępstwa wobec lefebrystów poszedł też Franciszek, mając nadzieję na ich pojednanie ze Stolicą Apostolską. Tak się nie stało. Status Bractwa wciąż pozostaje „nieuregulowany".

©℗ EA

BRUNO KELLENBERGER / RDB / ULLSTEIN BILD / GETTY IMAGES

Abp Marcel Lefebvre. Écône, Szwajcaria.

eprasa.pl fbbd995f95

↦ Gdy określony etap historii Kościoła zostaje uznany za normę absolutną, a żywa Tradycja zostaje zastąpiona przez idealizowaną przeszłość, ta „niezmienna tradycja", o jakiej mówią lefebryści, zaczyna pełnić rolę złotego cielca, zajmując miejsce Boga działającego w historii.

Prawda jako spotkanie

U podstaw lefebrystycznego dogmatyzmu leży przekonanie o posiadaniu prawdy, która zachowana została w tej „niezmiennej Tradycji". Tymczasem chrześcijaństwo nie jest religią doktryny, lecz spotkania z Jezusem Chrystusem. To On jest „drogą, prawdą i życiem" (J 14, 6).

Takiej prawdy – rozumianej osobowo – nie można posiąść na własność. Można ją odkrywać, zgłębiać i za nią podążać, zawierzyć jej swoje życie. Spotkanie z Chrystusem-Prawdą dokonuje się wciąż na nowo w zmieniającym się kontekście historycznym i kulturowym.

Papież Franciszek przypominał, że depozytu wiary nie należy traktować jak muzealnego eksponatu (por. „Evangelii gaudium", 95). Kościół może i powinien odpowiadać na wyzwania każdej epoki, ponieważ w jego centrum znajduje się nie postać z przeszłości, ale zmartwychwstały Pan.

Inaczej ma się rzecz z prawdą uprzedmiotowioną. Można ją zamknąć w formułach, uczynić narzędziem ideologicznej walki i budować na niej poczucie wyższości. Nie jest to jednak prawda, która zbawia. Tak rozumiana prawda zamyka na dialog, nie dopuszcza rozwoju, sakralizuje *status quo*, kontakty z wyznawcami innych religii, a nawet z chrześcijanami innych wyznań sprowadza do jednostronnego ich nawracania. Owocem takiego podejścia jest ekskluzywizm wyrażający się m.in. w przekonaniu, że „tylko tradycjonalizm, tylko msza trydencka" stanowią autentyczny wyraz katolicyzmu. Skrajnym skutkiem takiej postawy jest fundamentalizm.

> Chrześcijaństwo nie jest religią doktryny, lecz spotkania z Jezusem, który jest **„drogą, prawdą i życiem".** Takiej prawdy, rozumianej osobowo, nie można posiąść na własność.

Msza jako lek

W ramach Kościoła katolickiego funkcjonuje kilka rytów liturgicznych. Wszystkie rozwijały się historycznie, zachowując to samo jądro Eucharystii przekazane Kościołowi na drodze Tradycji.

Spory dotyczące liturgii pojawiały się przecież i wcześniej. Gdy Cyryl i Metody wprowadzili liturgię słowiańską, oskarżano ich o zbyt daleko idące zmiany. Zwolennicy tradycji uważali, że jedynie język hebrajski, grecki lub łaciński nadają się do sprawowania liturgii. Później pogląd ten uznano za „herezję piłatyzmu" (w nawiązaniu do Piłata, który w tych trzech językach nakazał spisać wyrok dla Jezusa). Świętość liturgii nie zależy jednak ani od języka, ani od określonych form kulturowych. Przekonanie zaś, że określone praktyki liturgiczne stanowią uprzywilejowaną drogę do świętości, nosi znamiona innej herezji – pelagianizmu.

Lefebryści nie twierdzą, że msza sprawowana według nowego, posoborowego porządku (*Novus Ordo)* jest nieważna. Uważają jednak, że uległa ona protestantyzacji. Wśród podnoszonych zarzutów wymienia się, że miejsce ołtarzy zajęły stoły, kapłana zastąpił przewodniczący liturgii, a wymiar ofiarniczy zastąpiono „ucztą przyjaźni". Przekonują, że żydowskie dziękczynienie usunęło w cień *offertorium*, że kapłan nie zmienia intonacji głosu, gdy wypowiada słowa konsekracji, że msza jest zbyt antropocentryczna (celebrans twarzą do ludu); wreszcie, że „zniszczeniu uległa cała nadprzyrodzona atmosfera" mszy świętej. Wszystkie te zarzuty dotyczą jednak historycznych form celebracji, a nie istoty sakramentu.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Sklep „Tygodnika Powszechnego"

DO CZYTANIA | DO NOSZENIA | DO KUPIENIA

SPRAWDŹ
sklep.TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl fbbd995f95

WIKIPEDIA

Jean Morin, portret Corneliusa Jansena, XVII w.

Janseniści – tradycjonaliści sprzed wieków

LEFEBRYŚCI nie są pierwszymi katolikami, którzy głoszą, że wierność tradycji jest ważniejsza od posłuszeństwa papieżowi i nauczaniu Kościoła, nawet za cenę ekskomuniki. Podobne stanowisko zajmowali w XVII w. janseniści, przekonując, że Kościół zbłądził, a papież i biskupi, ulegając modom epoki, sprzeniewierzyli się odwiecznej Tradycji.

Cornelius Jansen, flamandzki biskup i teolog, był pewien, że odkrywa przed światem prawdę dawno zapomnianą: zbawienie człowieka nie zależy od jego wysiłków i zasług, ale wyłącznie od łaski Bożej. Swoje teorie oparł na pismach św. Augustyna, rozwijając w radykalnej formie jego naukę o łasce i predestynacji. Wśród zwolenników Jansena było wielu przedstawicieli francuskich elit intelektualnych (m.in. Blaise Pascal). Ich centralnym ośrodkiem stał się paryski klasztor Port-Royal.

Janseniści twierdzili, że bronią czystości wiary przed zepsuciem, jakie do Kościoła wniósł jezuicki probabilizm i nadmierna pobłażliwość spowiedników. Siebie uważali za autentycznych katolików broniących czystości wiary.

Rzym uważał inaczej. W 1713 r. papież Klemens XI bullą „Unigenitus" potępił 101 jansenistycznych twierdzeń, wśród nich to szczególne: że „lęk przed niesprawiedliwą ekskomuniką nie może powstrzymywać nas od wypełniania naszych obowiązków". Kościół uznał, że prowadzi to do sytuacji, w której każdy będzie mógł ogłosić swój akt nieposłuszeństwa i stawiać własne przekonanie ponad autorytet wspólnoty.

„Stan wyższej konieczności", na który powołują się nie od dziś lefebryści, jest zadziwiająco wierną kopią potępionego twierdzenia jansenistów. Wspólne obu grupom jest też przekonanie, że to Kościół się myli, nie oni. Intelektualiści z Port-Royal uważali, że tylko oni poprawnie interpretują Augustyna, wspólnota z Écône – że tylko ona właściwie rozumie Tradycję.

©℗ EA

Liturgia w swojej istocie jest dziełem Boga. Jej ważność i świętość nie wynikają z ludzkich działań, lecz z działania Chrystusa obecnego i działającego w Kościele (*ex opere operato*). Jeżeli o wartości liturgii mają decydować przede wszystkim określone gesty, język, ceremoniał, a więc ostatecznie to, co jest wytworem ludzkiej aktywności (*opera operantis*), pojawia się ryzyko przesunięcia uwagi z działania Boga na ludzkie formy wyrazu. Wówczas przywiązanie do obrzędów staje się ważniejsze od samego misterium.

Liturgia trydencka nie jest też – jak przekonują lefebryści – lekarstwem na wszelkie zło. Nie zauważają, że tym samym przypisują liturgii funkcję, której ze swej natury nie posiada. Kościół naucza, że stanowi ona „źródło i szczyt jego życia", ale nie jest cudownym remedium na jego wszystkie problemy.

Owszem, Sobór Watykański II dokonał „zwrotu antropologicznego", co jednak nie oznaczało detronizacji Boga. Chodziło raczej o ukazanie tajemnicy zbawienia w kontekście zmieniającej się historii.

Wrogowie i strażnicy

Wbrew powszechnemu przekonaniu, głównym zarzutem Lefebvre'a wobec Vaticanum II nie była jednak tylko reforma liturgiczna. Właśnie dlatego jego zwolennicy i następcy przez lata odmawiali pojednania z Rzymem, nawet gdy Watykan (np. za pontyfikatu Benedykta XVI) przyznał im większe przywileje liturgiczne.

Problemem jest uproszczona wizja zmian soborowych, jaka często pojawia się w dyskursie lefebrystów. Wolność religijną przedstawia się jako relatywizm, ekumenizm jako „zrównanie wszystkich religii", kolegialność jako „rządy większości", a odnowioną liturgię jako „całkowicie nowy kult". Uproszczeń jest więcej.

Zwolennicy Soboru Watykańskiego II przedstawiani są jako masoni, liberałowie, moderniści i wrogowie Kościoła, natomiast przeciwnicy soboru – jako reprezentanci „prawdziwego Kościoła". Masoni, ich zdaniem, dokonali zmian w Kościele, moderniści je wprowadzali, a liberałowie kontynuują ich dzieło. Polemika z lefebrystami dotyczy więc często nie tyle realnego nauczania Kościoła, co jego uproszczonej, a więc zniekształconej formy.

Towarzyszy jej nieufność wobec współczesnej refleksji teologicznej. Trudności ze zrozumieniem nowych kategorii myślenia prowadzą niekiedy do ich odrzucenia jako modernistycznych. Tymczasem Kościół nie może skutecznie oddziaływać na świat, jeśli zamknie się w twierdzy przeszłości.

Kościół żyje dzięki wierności Chrystusowi, a nie Tradycji. U podstaw Tradycji musi pozostać nie tylko pamięć o działaniu Boga w przeszłości, ale również wiara, że Bóg jest Panem całej historii.

W przeciwnym wypadku mamy do czynienia raczej z Bogiem filozofów niż Bogiem historii zbawienia. Jeśli nawet objawiałby się w przeszłości, to dziś pozostawałby wycofany niczym Bóg deistów. Wówczas czas przestaje być przestrzenią działania Boga. W efekcie mielibyśmy do czynienia jedynie z wiecznym powrotem tego, co już było. W takiej perspektywie niezmienna tradycja niczym złoty cielec zastępuje miejsce żywego Boga.

© MICHAŁ RYCHERT

eprasa.pl fbbd995f95

O. WACŁAW

Oszajca:
Sprzężenie zwrotne

„Wesel się bardzo, Syjonie! Wznoś okrzyki, Jerozolimo! Oto twój król przychodzi do ciebie, sprawiedliwy, zwycięski i pokorny, jedzie na ośle, na osiołku, źrebięciu oślicy". Nie tak wyglądały tryumfalne powroty cesarzy, królów, ale też papieży, biskupów, czy na swoją miarę prezbiterów obejmujących urząd. Autor tego cytatu nazywa Króla Izraelskiego – nie współczesnego sobie, tylko przyszłego – pokornym (w innych przekładach jest ubogim albo łagodnym), ale takie określenie władcy to jednak zbyt mało. Chodzi o coś nieskończenie ważniejszego. Chodzi o Boga, o Jahwe, do którego my, chrześcijanie, mamy dostęp przez Jezusa Chrystusa. A że to uznanie człowieka, syna człowieczego, Jezusa – za Syna Bożego, zmaterializowanego Boga nie jest sprawą łatwą, świadczą kłopoty, jakie Jezus sprawiał apostołom.

W Ewangelii Jana czytamy: „Ja jestem drogą i prawdą, i życiem – mówi Jezus – Nikt nie przychodzi do Ojca jak tylko przeze Mnie. Jeśli Mnie poznaliście, będziecie również znać mego Ojca. Wy zresztą już Go znacie, a nawet ujrzeliście. Wtedy Filip poprosił: Panie, pokaż nam Ojca, a to nam wystarczy. Jezus mu odparł: Filipie! Jeszcze Mnie nie znasz, mimo że tak długo jestem z wami? Kto Mnie zobaczył, zobaczył także Ojca. Dlaczego więc prosisz: Pokaż nam Ojca? Czyżbyś nie wierzył, że Ja jestem w Ojcu, a Ojciec jest we Mnie?". I tak Jezus swoje, Filip swoje. Jezus mówi, że przecież już Boga zobaczyli, a Filip, jakby niedosłyszał, powtarza swoje: „Pokaż nam Ojca". Skąd ta rozbieżność? Chcąc na to pytanie odpowiedzieć, potrzebne jest lustro. Podobnie jak Filip chcielibyśmy, żeby Bóg nas nie zaskakiwał, by dzisiaj był taki jak wczoraj. Takim, jak Go sobie wyobrażamy.

Tymczasem Jezus chce być współczesnym „obrazem niewidzialnego Boga", a nie dawnym, nawet biblijnym. Tymczasem w teologii, choć nie tylko, Ziemia jest nadal płaska, a Bóg mieszka nad nami, skąd trzeba Go przywoływać, jakbyśmy nie wierzyli, że zgodnie z obietnicą jest pośród nas i w nas. Wciąż w kółko wyśpiewujemy „Duchu Święty, przyjdź", choć On nieustannie jest z nami, o czym świadczy historia Kościoła. Wciąż jakby trudno nam uwierzyć, że między Kościołem i Bogiem, a również Światem istnieje swoiste sprzężenie zwrotne, dzięki czemu nie gdzie indziej, ale w *profanum* mamy dostęp do *sacrum*. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Czyny, nie słowa

„Nie każdy, kto mówi Mi: Panie, Panie!, wejdzie do królestwa niebieskiego, lecz ten, kto spełnia wolę mojego Ojca, który jest w niebie" – mówił do nas Jezus w liturgii ostatniego czwartku (zob. Mt 7, 21-29). Jakby chciał powiedzieć: liczą się czyny, nie puste słowa. Słusznie! W następnym zdaniu jednak perykopa przywołuje ludzi, którzy mogą się pochwalić wielkimi czynami: „prorokowaliśmy mocą Twego imienia", „wyrzucaliśmy złe duchy mocą Twego imienia", „czyniliśmy wiele cudów mocą Twego imienia" – a jednak nie znajdują uznania w oczach Pana! Najwyraźniej nie o takie czyny chodzi. Nie takich, nawet najbardziej spektakularnych czynów (proroctwa, egzorcyzmy, cuda) spodziewa się po nas Jezus.

Dlaczego? Czego im brakuje? Wydaje się, że dwóch istotnych wymiarów. Pierwszy ukryty jest w Jezusowym wyrzucie: „Nigdy was nie znałem". „Znać" w języku Biblii nie oznacza teoretycznej i abstrakcyjnej wiedzy. „Znać" oznacza „być w relacji" – możliwie najbliższej i intymnej. „Znać" oznacza komunię – głęboką wspólnotę, która daje takie poznanie osoby / Osoby, jakiej nie wyczytamy z żadnej książki. Nikt nie „zna" żony tak, jak mąż; i nikt nie „zna" męża tak, jak żona. Kiedy Jezus mówi: „Nigdy was nie znałem", wyraźnie się żali, że nigdy nie dopuściliśmy Go do takiej relacji, i że sami nigdy nie byliśmy jej spragnieni! Nigdyśmy jej nie szukali. Porywaliśmy się na gigantyczne przedsięwzięcia i niewyobrażalne czyny, ale nie potrafiliśmy się zdobyć na godzinę sam na sam z Panem – na modlitwie, na medytacji, na adoracji – w ascezie od działania.

Drugim wymiarem jest bardzo wyraźnie słuchanie Słowa: „kto tych słów moich słucha i wypełnia je", „kto tych moich słów słucha i nie wypełnia ich...". To Słowo podpowiada nam czyny, których Pan oczekuje. One wcale nie muszą być spektakularne; one zawsze ostatecznie sprowadzają się do miłości, która najczęściej sięga po proste środki: kubek wody, odrobinę oliwy na poparzoną upałem głowę (Łk 7, 46), bochenek chleba podarowany w środku nocy.

Wiara rodzi się z tego, co się słyszy. Czyny muszą się rodzić ze słuchania Słowa – choćby dzięki lekturze Biblii. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl fbbd995f95

ZUZANNA

Radzik:
Gdy opieka ma płeć

Wpadasz na znajomą, której dawno nie widziałaś, i padają serdeczne pytania: „Opowiadaj, jak dziecko? Jak sobie radzisz? Co się zmieniło?”. Ona ma pięciolatkę, ty półtoraroczniaka. Porównujecie notatki etapów, wpływ dziecka na pracę i życie, na związek i podział zadań. Co dajesz radę zrobić, a czego nie? Z czego rezygnujesz, bo nie chcesz. Obok znajoma, właściwie w tym samym wieku, której czwórka dzieci zaczyna wkraczać w dorosłość. Miała czas, żeby się otrząsnąć, pozbierać, odbudować. Nasze wymiany z pierwszą przypominają rozmowę dwóch osób po wypadku, wciąż w szoku. Tamta mówi spokojniej, z perspektywy. Choć wciąż pamięta, jak z rozpędu pracującej matki wyrzuciła dzieci pod szkołą, która była zamknięta z powodu nadchodzącej śnieżycy. Tak spędzamy lunch, między dwoma seminariami. Rozmowy miały być akademickie, ale są o byciu matką.

To, że macierzyństwo zanurzy cię w świat opieki, jest do przewidzenia. Wiadomo to o obojgu rodziców i wiadomo, że najczęściej pochłonie przynajmniej na początku najbardziej matkę. Że wciągną ją w to i hormony, okoliczności, sposób podziału obowiązków w parze, i to, jak jest zbudowany system pomocy społecznej w danym kraju. Z tej mieszanki powstaną różne intensywności macierzyńskiej opieki, ale prawie zawsze zmieniające życie.

Jest jednak tyle innych rzeczywistości, które każą stanąć w roli opiekuna. Choroba, starość, niedołężność, niepełnosprawność. Tu też często opieka jest kobietą. Tylko tym razem nie decyduje o tym biologia, hormonalny przymus czy zależność od mleka matki. Tu więcej do powiedzenia mają niedostatki systemu, stereotypy dotyczące płci, czyli wbudowane w system przekonanie, że żona, matka czy córka musi.

Wstrząsająco opisała to ostatnio w „Wysokich Obcasach” Katarzyna Kochmańska, opowiadając swoją historię bycia wpychaną w opiekę nad rodzicami, co wiązało się z powrotem do przemocowego domu. Do matki chorej, ale przez całe życie dominowanej przez ojca. Matki, która zaniedbywała własne zdrowie, dbając o męża. Matki zależnej finansowo od emerytury męża, bo niepracującej zawodowo.

Po 75. urodzinach kobieta, która urodziła dwoje dzieci, dostała od państwa 300 zł zasiłku pielęgnacyjnego. A teraz system (pod którym kryją się lekarze, pomoc społeczna, niemal każdy, kogo rodzeństwo prosi o pomoc) uważa, że czas na to, by miejsce po opiekuńczej roli matki wypełniła córka. „Ma pani obowiązek” – słyszy. „Uchyla się pani od opieki nad matką. Zły stan matki to pani wina” – oskarżają pielęgniarka z lekarzem rodzinnym. „Są na to paragrafy” – straszą, choć takich paragrafów nie ma. Niewydolny system próbuje sprawić, by córka wypełniła miejsce tego, co ponoć należne płacącym składki. Niewidzialna i bezpłatna praca kobiet ma zostać uruchomiona, żeby nie obnażyć bezradności systemu pomocy społecznej.

Autorka obczytana w feminizmie jest świadoma tego, co się dzieje. Opiera się, ale momentami nie ma wyboru. Pielęgniarka podpowiada szeptem, żeby nie liczyła na pomoc społeczną, tylko szukała prywatnie. W końcu płatna opieka okazuje się jedynym wyjściem, ale tu też biorą ją na siebie kobiety. Tym razem migrantki, którym można zapłacić tyle, ile rodzina udźwignie.

Zatrzymał mnie ten tekst na długo, stąd polecenie siostrzanych łamów. Może to ta narracja w pierwszej osobie, a może społeczna bliskość autorki (pisarstwo, praca w kulturze, prowadzenie klubu książki), która uświadamia, że prędzej czy później trafić to może każdą i każdego z nas. I że tak samo odbijemy się od bram szpitala, przychodni i pomocy społecznej. Że często ostateczny wybór, kto się zajmie osobą wymagającą opieki, będzie miał płeć.

W opowieści Kochmańskiej uderza właśnie jej świadomość: „Stało się jasne, że wszystkie instytucje państwowe chcą szantażem moralnym i groźbą w postaci urojonych sankcji prawnych wymusić na mnie całkowite poświęcenie się opiece nad rodzicami. Czyli wracamy do podstaw – bez bezpłatnej opiekuńczej pracy kobiet państwo polskie nie funkcjonuje”. Autorka opowiada, jak nie chce dać się złamać, jak żąda pomocy systemu, buntuje się, nie chce się przystosować.

Jesteśmy starzejącym się społeczeństwem, które już dziś ma źle zorganizowaną opiekę. Sprywatyzowaną, zrzuconą najczęściej na kobiece barki. Może trzeba ją wymyślić na nowo, zanim runie razem z nami. Ot, takie apokaliptyczne rozmyślania w apokaliptyczne upały. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.

eprasa.pl fbbd995f95

NAUKA

O CZYM ŚPIEWAJĄ PTAKI

Sztuczna inteligencja zadomowiła się już w wielu dziedzinach nauki. Dzięki jej zastosowaniu możemy poznać reguły rządzące ptasimi pieśniami – a nawet ich znaczenia.

WOJCIECH MAMAK

Badanie komunikacji ptaków długo było sztuką mrużenia oczu. Ludzkie ucho jest zbyt wolne, by wychwycić trwające ułamki sekundy niuanse trelu zięby. Dźwięk trzeba było zamrozić. W połowie XX w. badacze wykorzystali wczesne spektrografy dźwiękowe, zmieniające ptasią muzykę na dane wizualne – postrzępiony wykres (spektrogram) przedstawiający czas i częstotliwości nagranego dźwięku. Aby odnaleźć „gramatykę" ptasiego śpiewu, trzeba było wzrokowo rozstrzygać, gdzie na wykresie kończy się jedna sylaba, a zaczyna kolejna.

By uzyskać spektrogram czytelny dla człowieka, ptaka należało jednak nagrać w laboratoryjnej komorze dźwiękoszczelnej. A przecież dzikie ptaki nie śpiewają w bezgłośnej próżni. Śpiewają w rozhukanym, chaotycznym teatrze szeleszczących liści, szumu deszczu, trzasku gałęzi i nakładających się na siebie głosów kilkunastu innych gatunków. Dla badaczy i wczesnych algorytmów dzika przyroda była zbyt hałaśliwa, by dało się ją dogłębnie analizować.

Te ograniczenia zaczynają kruszeć dzięki zastosowaniu w bioakustyce uczenia maszynowego. Przełomem były takie modele jak TweetyBERT, wytrenowane na wielkich zbiorach ptasich śpiewów, podobnie jak ChatGPT czy Gemini trenowane są na ogromnych bibliotekach tekstów. Są one w stanie samodzielnie odkrywać niewidoczną dotąd dla człowieka strukturę ptasiego śpiewu.

Kiedy badacze wypuścili te modele na tysiące godzin nagrań, odkryli np., że ptaki zdają się stosować do prawa Zipfa. Podobnie jak ludzie, którzy najczęściej używają najkrótszych słów – „i", „w", „to" – ptaki używają najkrótszych sylab wokalnych dla najczęściej nadawanych sygnałów. Ta imponująca obserwacja ma w sobie elegancję matematycznego dowodu na coś głębokiego: korony drzew nie są po prostu pełne hałasu. Są pełne złożonej, ale precyzyjnej ekonomii dźwięku.

Znaczenie nuty D

Odkrycie prawideł struktury języka to jednak zaledwie połowa drogi. Jeśli model uczenia maszynowego taki jak TweetyBERT mapuje hierarchię językową lasu – identyfikując fonemy (pojedyncze dźwięki), sylaby i składnię (reguły gramatyczne rządzące ich kolejnością) – to wciąż pozostawia nas wobec głębokiej „luki znaczeniowej". Zaczynamy pojmować, jak ptaki się komunikują. Ale czy wiemy, co to w ogóle znaczy? Czy wydając dźwięki, mają cokolwiek na myśli?

W historii nauki bardzo długo zakładano, że wokalizacje zwierząt to jedynie odruchy emocjonalne. Ptak krzyczy, bo się boi – tak jak człowiek, którego nagle

eprasa.pl fbbd995f95

SLOWMOTIONGLI / ADOBE STOCK

wystraszymy, albo ktoś, kto dotknie gorącego piekarnika. Zakładano zazwyczaj, że nie idzie za tym semantyka – nie ma żadnych konkretnych znaczeń zakodowanych w dźwięku, informacji o świecie widzianym oczami zwierzęcia. Jednak etolodzy poświęcili ostatnie dwie dekady na stopniowe obalanie tego założenia.

Sikora jasnoskrzydła (*Poecile atricapillus*) to wszechobecny, niepozorny północnoamerykański ptak ogrodowy, słynący ze swojego charakterystycznego głosu: czik-a-di-di-di – od którego wziął angielską nazwę (*chickadee*). Przez długi czas sądzono, że to jedynie ogólny sygnał alarmowy. Uważne przyglądanie się mu w terenie ujawniło jednak, że to zawołanie jest w istocie elastycznym i precyzyjnym komunikatem.

Sekret tkwi w „nutach D" ulokowanych na samym końcu sekwencji śpiewu. Kiedy sikora dostrzeże drapieżnika, liczba nut D, które śpiewa, nie jest przypadkowa. Zależy ona od rozmiarów prześladowcy i stopnia zagrożenia. Jeśli ptak dostrzeże puchacza wirginijskiego (*Bubo virginianus*) – drapieżnika potężnego, ale zbyt dużego i powolnego, by zręcznie manewrować między gałęziami w pogoni za drobnym śpiewakiem – może dołączyć do głosu zaledwie jedną lub dwie nuty D. Sygnalizuje jedynie obecność: niebezpieczeństwo jest, ale duże i niezgrabne.

Jeśli jednak ta sama sikora dostrzeże sóweczkę dwuplamistą (*Glaucidium californicum*) – małego, niezwykle zwinnego drapieżnika, zdolnego śmigać przez zarośla z zabójczą prędkością – jej głos eksploduje w gorączkową serię pięciu, dziesięciu, a nawet dwunastu nut D. Ptak nie sygnalizuje już tylko niebezpieczeństwa – nadaje szczegółową ocenę zagrożenia. Można o tym myśleć jako ptasim odpowiednik okrzyku: „Mały, szybki drapieżnik. Skrajne niebezpieczeństwo, natychmiast się ukryj!".

Choć „rozdzielczość" tych komunikatów może się nam nie wydawać szczególnie imponująca, to sam fakt dopasowania struktury komunikatu do treści jest niebagatelny. Świadczy to właśnie o semantycznym charakterze tej komunikacji. I właśnie dlatego rewolucja ↦

Zeberka zwyczajna (Taeniopygia guttata). Z badań nad tym gatunkiem wiemy m.in., że pieśni ptaków mają komponent zarówno wrodzony, jak i wyuczony.

eprasa.pl fbbd995f95

↦ maszynowego „tłumaczenia" w bioakustyce jest tak kusząca. Jeśli zwykły ptak ogrodowy jest w stanie zakodować tak precyzyjne informacje o środowisku, to o czym rozmawia pozostałe dziesięć tysięcy gatunków?

Dialekt laboratoryjny

Mimo przełomów dokonujących się w bioakustyce, dziedzina ta wciąż ma swoje ślepe plamki. Podobnie jak w badaniach psychologicznych najlepiej przebadaną grupą osób są studenci psychologii amerykańskich uniwersytetów, tak w ornitologii wiele badań poświęcono zeberce zwyczajnej (*Taeniopygia guttata*), zwanej też amadyną zebrowatą.

Ten niewielki ptak śpiewający jest wytrzymały, chętnie rozmnaża się w niewoli i łatwo go „obsługiwać" w hodowli laboratoryjnej, dlatego stał się domyślnym organizmem modelowym dla tej dziedziny badań. W efekcie od dziesięcioleci mapujemy „uniwersalne" prawa ptasiego śpiewu, opierając się głównie na jednym, intensywnie badanym gatunku.

Z prowadzeniem badań w laboratorium jest jeszcze jeden problem – niewola zmienia język. Weźmy amadynę bengalską (*Lonchura striata domestica*), gatunek blisko spokrewniony ze swoim popularnym laboratoryjnie kuzynem, ale w przeciwieństwie do niego: udomowiony od stuleci.

Pozbawione nieustannych presji ewolucyjnych – konieczności ucieczki przed drapieżnikami czy nadawania sygnałów na rozległych, głośnych terytoriach – i pod wpływem kontaktu z człowiekiem ptaki te zmieniły swoje pieśni względem swoich dzikich przodków. Kiedy więc badacze studiują ptaki w niewoli, często poznają sztucznie chroniony dialekt. By naprawdę zrozumieć ptasi śpiew, trzeba wyjrzeć poza laboratorium, do naturalnego środowiska. Szczególnie ważne staje się badanie gatunków osiadłych, których dialekty pozostają całkowitą zagadką.

Jak ważna jest ta zmiana perspektywy, stało się jasne wiosną 2020 r. Podczas pierwszych lockdownów pandemii – okresu, który ekolodzy nazywają „antropopauzą"– nieustanny szum ruchu, przemysłu i lotnictwa nagle zelżał lub wręcz ustał. I ptaki natychmiast odpowiedziały. Uwolnione od konieczności przekrzykiwania huku silników, miejskie gatunki zaczęły śpiewać ciszej, na niższych tonach i bardziej złożone pieśni. Dosadnie przypomniało to, że ptasi śpiew i kod, który kryje, nigdy nie jest statyczny, lecz głęboko uwikłany także w nasz własny ślad środowiskowy.

Tu jednak właśnie nowa fala modeli sztucznej inteligencji okazuje się najcenniejsza. W miarę jak zmiany klimatyczne i ekspansja człowieka szybko przekształcają ekosystemy, „zdrowie akustyczne" lasu staje się jednym z głównych wskaźników jego ogólnej bioróżnorodności.

Nie możemy wysłać wystarczającej liczby naukowców w teren, by ręcznie monitorować, jak kurczące się siedliska wpływają na ptasią komunikację. Możemy jednak rozmieszczać mikrofony przymocowywane do drzew na całe miesiące – i pozwolić sztucznej inteligencji przetwarzać miliony godzin nagrań. Maszyna nie tylko tłumaczy już śpiew – pełni rolę narzędzia diagnostycznego wysokiej prędkości, mierzącego chociażby, czy słownik lasu kwitnie, czy też powoli osuwa się w ciszę.

Nauka ćwierkania

Sztuczna inteligencja, pomagająca badaczom monitorować pejzaż dźwiękowy lasu, pozwala też zmierzyć się z jeszcze inną zagadką biologiczną: jak ptak właściwie uczy się swojego języka?

U ludzi opanowanie mowy to splot natury z wychowaniem. Przychodzimy na świat z neurologicznym „sprzętem" dla języka, ale potrzebujemy kultury, która nauczy nas „oprogramowania". Okazuje się, że ptasi świat rządzi się zaskakująco podobnymi, choć surowszymi zasadami.

Większość ptaków śpiewających to, jak mawiają ekolodzy, osobniki uczące się w zamkniętym oknie krytycznym. Posiadają, podobnie jak ludzkie niemowlęta, względnie krótkie okno rozwojowe, podczas którego ich mózgi są bardzo plastyczne. Jeśli w tym czasie nie usłyszą śpiewu swojego gatunku, neurologiczne okno zatrzaskuje się i na zawsze tracą zdolność opanowania swojego typowego śpiewu.

Co jednak dzieje się z ptakiem wychowanym w zupełnej izolacji? Tu właśnie laboratorium i zeberka dostarczyły najgłębszych wglądów w genetykę komunikacji. Jeśli samiec wychowywany jest bez dorosłego nauczyciela, który by go prowadził, nie milczy. Zamiast tego wydaje to, co badacze nazywają „śpiewem naiwnym" – pomieszaną, skrzeczącą plątaninę akustyczną, pozbawioną rytmicznej precyzji dzikiej zeberki. Z punktu widzenia „poprawnego" śpiewu, wygląda on na niezrozumiały dla reszty bełkot.

Naukowcy długo sądzili, że dowodzi to, iż ptasi śpiew jest w całości wytworem kultury – kruchą tradycją przekazywaną z ojca na syna. W 2009 r. opisany w „Nature" eksperyment Olgi Fehér z Uniwersytetu w Warwick i współpracowników ujawnił jednak zaskakujący zwrot.

Kiedy badacze zebrali kolonię tych izolowanych, „naiwnych" śpiewaków i pozwolili im swobodnie się parzyć, nastąpiła zdumiewająca korekta. W ciągu zaledwie trzech, czterech pokoleń potomkowie sami z siebie zmienili swoje melodie. Nigdy nie słysząc dzikiej zeberki, śpiew kolonii zbiegł się precyzyjnie z powrotem do naturalnej, przodkowskiej melodii gatunku. Kulturowy łańcuch został zerwany, lecz akustyczny plan był prawdopodobnie wyryty w ich DNA, czekając na ekspresję.

Podwaliny pod rozumienie tej współzależności położył pionier bioakustyki Peter Marler, który dowiódł, że o ile zdolność do śpiewu jest genetyczna, o tyle akcent jest w całości wyuczony. Eksperyment zespołu Fehér posunął tę logikę dalej, odsłaniając głębię samego genetycznego projektu. Dziś wiemy, że pasówka białobrewa (*Zonotrichia leucophrys*) z jednej doliny wykształci wyraźnie odmienny dialekt regionalny niż jej pobratymiec z sąsiedniej doliny. A modele obliczeniowe potrafią mapować te mikrodialektowe przesunięcia na rozległych obszarach geograficznych, rysując w istocie językowe granice na niebie.

Jednak natura zazwyczaj zostawia miejsce na wyjątek. Nie wszystkie ptaki posiadają ten delikatny mariaż „sprzętu" i „oprogramowania". Fibik zielony (*Sayornis phoebe*), pospolity północnoamerykański przedstawiciel tyrankowatych, rodzi się ze śpiewem zakodowanym na stałe w genach. Można by wychować fibika w gnieździe drozdów, a i tak wyrósłby, śpiewając doskonały, nieomylnie rozpoznawalny śpiew swojego gatunku.

Zagadka wodopoju

Mimo wykrytego genetycznego zaprogramowania ptasiego śpiewu i regionalnych dialektów rozpoznawanych przez sztuczną inteligencję, przez ko-

eprasa.pl fbbd995f95

rony drzew nadal przebija się fundamentalne pytanie: dlaczego ptaki śpiewają tak dużo?

Klasyczna, podręcznikowa odpowiedź jest czysto utylitarna. Od dawna zakładaliśmy, że ptasi śpiew to albo broń, albo miłosne wyznanie. Samiec ogłasza nim swoją kondycję potencjalnym partnerkom albo wyznacza akustyczne granice swojego terytorium, ostrzegając rywali. Jednak w miarę jak badacze poświęcają więcej czasu obserwowaniu subtelnego, codziennego życia tych zwierząt, ta ściśle pragmatyczna wizja zaczyna się chwiać.

Pomyślmy o wodopoju. W wielu środowiskach wodopoje funkcjonują jako wspólne, neutralne terytorium. Ptaki różnych gatunków zbierają się, by pić i kąpać; nie ma bezpośrednich terytoriów do obrony, a gorączkowa rywalizacja sezonu lęgowego jest chwilowo zawieszona. A jednak terenowi etolodzy odnotowują, że ptaki wciąż śpiewają. Co więcej, samce ptaków śpiewających śpiewają znacznie więcej, niż byłoby to absolutnie konieczne dla przeżycia czy rozmnażania. Jeśli śpiew jest kosztownym metabolicznie zajęciem, które zwiększa ryzyko przyciągnięcia uwagi drapieżników, dlaczego angażować się w to nieustanne „nadśpiewywanie”?

Kiedy naukowcy przyglądają się temu, co określają mianem „śpiewu niekierowanego” – czyli pieśniom niezaadresowanym do konkretnej samicy czy też rywalizującego samca – odkrywają bogate, złożone zachowanie, które wygląda zaskakująco znajomo. Niektórzy sugerują, że pełni on rolę fizjologicznego reduktora stresu, przypominającego trochę nucenie sobie przez człowieka przy pracy. Inni widzą w nim niezbędną konserwację neurologiczną: skomplikowane ścieżki nerwowe i mięśnie wokalne rządzące złożoną składnią wymagają nieustannego, codziennego ćwiczenia, by pozostać sprawne.

Być może najodważniejsza teoria jednak głosi, że śpiew niekierowany działa jak dźwiękowy klej dla społeczności. Gdy stado śpiewa razem bez bezpośredniego pragmatycznego impulsu, wspólne środowisko dźwiękowe wzmacnia głęboką spójność grupy. Synchronizuje stado, utrwalając więzy społeczne i wspólną tożsamość przed mierzeniem się z chaotycznymi presjami dzikiej przyrody. Jako istoty, które rozumieją doskonale, że wspólne śpiewanie cementuje – od

SLOWMOTIONGLI / ADOBE STOCK

wieczora przy ognisku, przez piłkarskie stadiony – możemy chyba łatwo zrozumieć, że wspólnota dźwięku wykracza poza sprawozdawczą komunikację.

Narzędzia sztucznej inteligencji pozwalają teraz badaczom śledzić te rozległe, niekierowane chóry, wydzielając subtelne różnice składniowe między poważnym ostrzeżeniem terytorialnym a swobodną, wspólnotową pogawędką. To, co algorytmy odkrywają, zmusza nas do całkowitej zmiany myślenia. Ptak w twoim ogródku to nie tylko biologiczny automat reagujący ślepo na hormony rozrodcze i zagrożenia. To głęboko społeczne stworzenie, uczestniczące we wspólnej, codziennej kulturze akustycznej.

Ewolucyjne zwierciadło

Podczas gdy sztuczna inteligencja kontynuuje mapowanie złożoności ptasiego śpiewu, inna grupa naukowców spogląda do wewnątrz – mapując fizyczne mózgi, które ten śpiew wytwarzają. To, co odkrywają, jest być może najbardziej doniosłym objawieniem tej nowej ery bioakustyki. Największym wstrząsem nie jest sam fakt, że ptaki posiadają składnię czy regionalne dialekty – lecz to, że biologiczny mechanizm, za pomocą którego to osiągają, jest zadziwiająco podobny do naszego własnego.

Ewolucyjne ścieżki ssaków i ptaków rozeszły się ok. 320 mln lat temu. Dzieli nas ten ogromny okres; działamy też w zupełnie odmiennych architekturach mózgu. Ptakom brakuje chociażby warstwowej kory nowej, którą ssaki wykorzystują do złożonego poznania, uważanej za jedno z głównych źródeł „intelektualnej” przewagi ssaków. A jednak badacze tacy jak Erich Jarvis z Uniwersytetu Rockefellera wykazali, że jeśli chodzi o uczenie się nowych dźwięków, natura jest zadziwiająco oszczędna. Wygląda na to, że istnieją fundamentalne, uniwersalne „ograniczenia sprzętowe” konieczne do wytworzenia złożonego języka, którym posługiwanie się wymaga nauki.

W mózgach ptaków śpiewających i ludzi znajdziemy zaskakujące strukturalne podobieństwa. Te same specyficzne skupiska neuronów, zorganizowane w podobne pętle i napędzane przez te same ekspresje genetyczne, odpowiadają za uczenie się nowych dźwięków zarówno u zeberki, jak i u ludzkiego niemowlęcia.

Natura użyła w zasadzie tego samego projektu, by zbudować narząd głosu u naczelnych i u potomków dinozaurów. W biologii ewolucyjnej znane jest to jako głęboka homologia – idea, że odległe gatunki niezależnie doszły do dokładnie tego samego biologicznego rozwiązania złożonego problemu, czerpiąc ze wspólnego zestawu narzędzi genetycznych odziedziczonych po przodkach.

Te neuronalne podobieństwa zmieniają wymiar stawek w naszym obecnym przełomie technologicznym. Narzędzia takie jak TweetyBERT dają nam o wiele więcej niż tylko ptasi słownik. Podstawiają ewolucyjne zwierciadło, w którym sami możemy się przeglądać.

Ponieważ dzielimy z ptakami śpiewającymi tę niezwykłą architekturę neurologiczną, ich głosy mogą oferować pewien wgląd w mechanikę naszego własnego języka. Studiując, jak zeberka się zacina, jak szpak uczy się akcentu lub jak stado używa śpiewu niekierowanego do budowania więzi, zdejmujemy kolejne warstwy tego, jak wokalna komunikacja naprawdę ewoluowała na tej planecie.

Spędziliśmy tysiąclecia, słuchając koron drzew i zakładając, że melodie są po prostu piękną ścieżką dźwiękową dzikiej przyrody. Lecz gdy maszyny zaczynają wreszcie pomagać nam tłumaczyć ten hałas, odkrywamy coś podwójnie pouczającego: gdy uważnie dostrajamy się na ptasie radio, wsłuchujemy się też w nasze własne językowe początki.

© WOJCIECH MAMAK

eprasa.pl fbbd995f95

HISTORIA

5994 PROTOKOŁY

80 lat temu komuniści przegrali referendum, które miało uprawomocnić ich rządy w Polsce. Wyniki więc sfałszowali. Jakie znaczenie miał 30 czerwca 1946 r. dla losu Polaków?

ANDRZEJ KRAWCZYK

Choć minęło już wtedy ponad 20 lat, to rządzący w Warszawie najwyraźniej wciąż odczuwali potrzebę, by w kółko powtarzać „kłamstwo założycielskie" powojennej Polski.

Oto w komedii „Sami swoi" z 1967 r. pojawia się nagle motyw referendum z 1946 r.: Kargul, jeden z bohaterów, wiesza na swoim domu, na Ziemiach Odzyskanych, plakat propagandowy „3 x TAK". Jego sąsiad Pawlak, by zrobić Kargulowi na złość, wiesza u siebie własnoręczny plakat „3 x NIE".

Na to wójt, też sąsiad, pyta Pawlaka: „Czyś ty oszalał? Nie chcesz powrotu Polski nad Bałtyk?". W ten sposób widz dostaje podprogowo przekaz: „3 x TAK" to oczywistość, tylko bezmyślni mogli głosować „3 x NIE".

Takie też przekonanie – o oczywistej oczywistości referendum z 1946 r. – przekazywano Polakom aż do 1989 r. Pełna skala tego „kłamstwa założycielskiego" wyszła na jaw po upadku komunizmu.

WYBORCZA LEKCJA | Skąd jednak w ogóle pomysł tego referendum? Czy Stalin i jego ludzie, delegowani nad Wisłę, nie mogli się bez tego obejść? Cofnijmy się o 81 lat.

Po II wojnie światowej Stalin, upojony zwycięstwem nad III Rzeszą, przystąpił do tworzenia światowego imperium komunistycznego: najpierw miała być podporządkowana Europa Środkowa, a później Niemcy, na razie wspólnie okupowane przez (jeszcze) sojuszników.

W listopadzie 1945 r. Moskwa wyraziła zgodę na zorganizowanie wyborów na terenie Austrii i Węgier. Miał to być test: na ile, odwołując się do poczucia winy, strachu i oportunizmu, można zaprowadzić władzę sowiecką nad Europą Środkową. Oba kraje zdawały się podatne. W czasie wojny były po stronie Hitlera (od 1938 r.

eprasa.pl fbbd995f95

STANISŁAW DĄBROWIECKI / PAP

Hasła propagandowe zachęcające do głosowania w referendum. Warszawa, 1946 r.

Austria jako część Niemiec), w 1945 r. na ich terenie panował reżim okupacyjny i ich obywatele nie mieli żadnych praw.

Wyniki wyborów były zaskoczeniem: komuniści je przegrali. W zajętych przez armię sowiecką Węgrzech otrzymali 17 proc. głosów, a w Austrii, podzielonej tak jak Niemcy na strefy okupacyjne, jedynie ok. 5 procent.

Wyciągnięto z tego wniosek: w Polsce nie można sobie pozwolić na taki scenariusz. Tu wybory nie mogły być oficjalnie przegrane przez komunistów, rządzących pod szyldem Rządu Tymczasowego i Polskiej Partii Robotniczej. Polska, korytarz do Europy, była zbyt ważna.

ZASADY I POZORY | Wcześniej, w lutym 1945 r., status Polski był jednym z tematów konferencji w Jałcie: USA i Wielka Brytania ugięły się i zaakceptowały rosyjskie roszczenia do panowania nad nią. Choć Franklin Roosevelt i Winston Churchill mieli poczucie dyskomfortu – w końcu porzucili polskiego sojusznika.

Chodziło nie tylko o ich samopoczucie: ustalenia jałtańskie były złamaniem zasad Karty Atlantyckiej z 14 sierpnia 1941 r., gdzie mowa była o niezgodzie na zmianę granic, jakie zostały wymuszone po 1 września 1939 r. Karta Atlantycka była prezentowana jako kompas dla udziału aliantów w tej wojnie i cel, stanowiący o moralnej przewadze nad III Rzeszą.

Aby stworzyć pozory, w Jałcie ustalono więc pewne minimalne zobowiązania Stalina w sprawie Polski. Minimalne, ale przez Londyn i Waszyngton traktowane jako ważne elementy relacji z Moskwą, bo pozwalające „zachować twarz". W tym zobowiązanie do stworzenia warunków, w których w Polsce „tak szybko, jak będzie to możliwe" będą się mogły odbyć „wolne i nieskrępowane wybory na zasadzie powszechnego i tajnego głosowania".

GRA O POLSKĘ | Pod koniec roku 1945 i w pierwszej połowie 1946 r. między Związkiem Sowieckim a krajami Zachodu narastały napięcia, ale wciąż utrzymywano iluzję wspólnoty krajów, które pokonały Hitlera. Zimna wojna jeszcze nie zaczęła się na dobre.

Polska stała się w tej sytuacji papierkiem lakmusowym dla stanu wzajemnych relacji. Stalin wciąż jeszcze unikał dawania państwom zachodnim podstaw do oskarżeń o otwarte niewywiązywanie się ze zobowiązań. Na spotkaniach ministrów spraw zagranicznych przedstawiciele USA i Wielkiej Brytanii pytali więc Wiaczesława Mołotowa, kiedy w Polsce będą wybory. Ten reagował agresją, oskarżając kraje Zachodu o ingerencję w polskie sprawy (*sic!*).

Sowieci i ich komunistyczni przedstawiciele w Polsce zdawali sobie sprawę, że potrzebują czasu, by zastraszyć i spacyfikować społeczeństwo, złamać trwający wciąż opór – zbrojny i polityczny, którego eksponentem było legalne Polskie Stronnictwo Ludowe (PSL). Musieli wymyśleć sposób, by wiarygodnie odsunąć termin wyborów.

INSPIRACJA | Historycy nie znają kulis decyzji podjętej w Moskwie. Wiadomo, że jeśli pomysł wyszedł od kogoś w Polsce, i tak musiał zyskać zgodę Stalina.

Z pomocą Stalinowi przyszły prawdopodobnie wieści z Francji: 21 października 1945 r. generał Charles de Gaulle – podczas wojny przywódca tych Francuzów, którzy nie zgodzili się na współpracę z Niemcami, a teraz faktyczny lider państwa – zorganizował referendum konstytucyjne. Chciał legitymizować swoją władzę i swoje plany zmiany ustroju. Francja huczała od plotek, że de Gaulle może dokonać zamachu stanu, gdyby referendum nie poszło po jego myśli.

Być może to właśnie była inspiracja dla sowiecko-komunistycznego pomysłu na Polskę.

Jeszcze w grudniu 1945 r. Mołotow zapewniał więc, że władze w Warszawie chcą jak najszybciej zorganizować wybory. Ale już w marcu 1946 r. dowodził, że trzeba je odłożyć – ze względu na problemy organizacyjne w zniszczonym kraju i masy Polaków, którzy wracają z tułaczki. I że ekwiwalentem będzie referendum z pytaniami, które określą kierunek zmian.

To miało przekonać aliantów, szukających dla siebie alibi. Referendum miało być głównie dla nich. Społeczeństwo polskie było w tej koncepcji na drugim planie – jako przedmiot, nie podmiot tej operacji. Podobnie jak nieistotne były pytania: o reformę rolną i nacjonalizację przemysłu (co i tak już się stało), o nową granicę, o zachowanie Senatu jako izby parlamentu. Mogły brzmieć tak, mogły inaczej. Liczył się wynik: „3 x TAK".

MACHINA | Oficjalnie decyzję o przeprowadzeniu referendum podjęto 5 kwietnia 1946 r. Trzy miesiące – to nie było wiele czasu. Ale komuniści podjęli wysiłek.

To znaczy: przede wszystkim uruchomili machinę propagandową. Działało specjalne Ministerstwo Propagandy z urzędami w każdym powiecie; swoje akcje prowadziły wojsko i milicja. Utworzono kolumny transportowe do rozwożenia materiałów propagandowych, sformowano eskadry samolotów do zrzucania ulotek. Kilkadziesiąt zakładów produkowało plakaty i litery do tworzenia sloganów wieszanych na budynkach, mostach itd.

Przygotowano też proste szablony: wycięte w drewnie hasła (głównie „3 x TAK"), którymi miały się posługiwać trzyosobowe zespoły propagandowe ↦

eprasa.pl fbbd995f95

↦ (dwie osoby trzymały szablon na ścianie, trzecia przesuwała po nim pędzlem z farbą). Zespół taki potrafił wymalować w ciągu godziny 10-15 haseł (niestety tuż obok siebie).

Drukowano broszurki i ulotki, organizowano kursy propagandzistów, przygotowano zestawy tez, a nawet dowcipów (często niewybrednych) o „karłach reakcji, skrytobójcach z NSZ, pogrobowcach faszyzmu" itd. Pośpiesznie instalowano na ulicach miast (a czasem też wsi) megafony do propagandy radiowej.

CZTERY ULOTKI NA GŁOWĘ | Metodologia działań odwoływała się do psychologii z okresu międzywojennego – tej samej, na której opierała się propaganda goebbelsowska i leninowska. Chciano stworzyć świat, w którym nie można uciec od kontaktu z treściami propagandowymi. Wierzono, że wobec tak zmasowanego ataku umysł ludzki jest bezbronny i musi ulec.

Ministerstwo Informacji i Propagandy, podsumowując swój wysiłek przed referendum, podliczyło, że tylko ono „stworzyło i rozdysponowało" ponad 90 mln „jednostek aktywności propagandowej" – ulotek, plakatów, broszur, wieców, malunków na ścianach, filmów itd.

Działo się to w biednym i zniszczonym kraju, mającym 24 mln mieszkańców. To znaczy, że między kwietniem a czerwcem 1946 r. wyprodukowano po cztery ulotki, plakaty albo napisy na każdego, łącznie z niemowlętami. Doceniając zaś „agitację bezpośrednią", zorganizowano 29 tys. wieców. Tak wyglądała estetyka świata, w którym żyli Polacy.

Na przygotowanych listach haseł można znaleźć ponad 100 propozycji: „Trzy razy tak – Niemcom nie w smak", „TAK to polskości znak", „Każde nie to tak dla niemieckich dążeń odwetowych" „Dwuizbowy parlament to gadulstwo i zamęt" czy „Chłopie, pamiętaj, wróg nie drzemie, wróg chce odebrać twoją ziemię". Miały wryć się w podświadomość.

Wśród Polaków krążył *bon mot:* „Urna to jest taki pniak, wrzucisz nie – wychodzi tak" . Jak się okazało, proroczy.

NADZORCY Z MOSKWY | Nie zapominano o innych działaniach. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego dostało polecenie, by spowodować rozłam w opozycyjnym PSL. Istotnie, 7 czerwca ukazał się pierwszy numer organu rozłamowej PSL-owskiej grupy „Nowe Wyzwolenie". Pismo dostało przydział papieru na nakład 50 tys. egzemplarzy (*sic!*), a w kolportażu pomagało wojsko, samolotami.

ARCHIWUM NARODOWE W KRAKOWIE

Plakat propagandowy przed referendum, 1946 r.

Ponadto do Warszawy skierowano z Moskwy w połowie czerwca dyrektora wydziału fałszowania dokumentów w sowieckim Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego, pułkownika Arona Pałkina z grupą 15 dobranych funkcjonariuszy.

Wespół z głównym doradcą w polskim MBP, płk. Siemionem Dawidowem, mieli nadzorować przeprowadzenie referendum. Pałkin i Dawidow spotkali się co najmniej dwukrotnie z Bierutem i raz z Gomułką.

To jedna z zagadek tej historii: po co fałszowano protokoły z wyników w komisjach? Nikt, także dziś, nie jest nimi zainteresowany. Czyżby chciano się przygotować do ewentualnej kontroli wyborów ze strony państw zachodnich?

FAŁSZOWANIE | Nadszedł 30 czerwca 1946 r. Rzesza funkcjonariuszy partyjnych, wojskowych i milicyjnych ruszyła w teren, by „pilnować" wyników. Często przyjeżdżali z kartami „3 x TAK", które mieli dorzucać. Szybko zorientowano się, że ilość kart z odpowiedziami „2x TAK, 1 x NIE", a nawet „3 x NIE" jest olbrzymia. Polacy chcieli okazać niezgodę na komunistyczną rzeczywistość.

Wyniki więc fałszowano. Masowo i na każdym poziomie: w obwodach (dorzucając karty i fałszując protokoły) i okręgach (tu władze terenowe „poprawiały" je dodatkowo, także aby wykazać się przed centralą). W efekcie prawdziwe wyniki nie są znane i nie można ich odtworzyć. Te oficjalne, ogłoszone 12 lipca 1946 r., mówiły, że likwidację Senatu poparło 68 proc., reformę rolną i nacjonalizację 77 proc., a granicę na Odrze i Bałtyku 91 procent.

Te liczby nie miały żadnego związku z faktycznymi. Po 1989 r. w archiwach znaleziono notatkę, jaką przedstawiono Bierutowi o rzekomo prawdziwych wynikach: trzy razy „tak" miało odpowiedzieć 27 proc. głosujących, a na pytanie o Senat 73 proc. miało odpowiedzieć „nie". Jednak i te dane zapewne były nieprawdziwe, bo nie uwzględniały fałszerstw w komisjach przed sporządzaniem protokołów.

Wedle notatki sowieckiego ministra Abakumowa dla Stalina, sama tylko grupa z Moskwy dokonała 5994 „korekt" protokołów (tj. fałszerstw). W notatce podano też, że w ocenie sowieckiej grupy procent odpowiedzi na „tak" wynosił od 1 proc. do 15 proc., w zależności od pytania i regionu (nie wiadomo, czy tu z kolei funkcjonariusze nie chcieli podkreślić „reakcyjności" Polaków, by zasłużyć na lepszą gratyfikację – w każdym razie, wszyscy dostali ordery).

KONSEKWENCJE | Komuniści przegrali referendum i wyciągnęli wnioski. Do wyborów do Sejmu, wyznaczonych na 19 stycznia 1947 r., przygotowali się inaczej. Propagandę zastąpiła siła. Tysiącom ludzi odbierano prawa wyborcze, aresztowano, rozwiązywano oddziały PSL, kraj obsadzano wojskiem wedle zasady „kompania na każdą gminę". Ogłoszono, że kto nie będzie głosował jawnie (pokazując, że oddał głos na listę władzy), będzie traktowany jak „reakcja" (to słowo i skutki jego użycia ludzie już znali).

USA i Wielka Brytania skwitowały wybory jako „przemoc i oszustwo", ale nie miało to żadnych konsekwencji. Jedynie przedstawiciel USA w Warszawie uznał, że nie godzi się być ambasadorem przy takim rządzie jak warszawski i podał się do dymisji.

Nie, referendum z 1946 r. to nie był dobrotliwy spór Pawlaka z Kargulem.

© ANDRZEJ KRAWCZYK

eprasa.pl fbbd995f95

ELIZA

Kącka: *Okazać trasie szacunek*

Pociąg z Wrocławia, nieco dalej siedzi rodzina z dziećmi. Mały: „Ja chciałem jeszcze poszukać krasnalków". Matka: „Znaleźliśmy trzynaście". „Ale ich są tysiące!". Ojciec: „Nie przesadzaj, setki najwyżej". „Kocham krasnalki". Mała: „A dlaczego we Wrocławiu żyją krasnalki?". Ojciec: „Nie żyją, one nie istnieją". „To dlaczego mają pomniczki?". „Bo ludzie są durni". Matka: „Przestań!". Mały: „A ta pani w sukience z globusa?". „Z kuli ziemskiej". „Ona istniała?". Matka: „Niee, to tylko symbol". „A ten pisarz z rynku?". „Aleksander Fredro". „Istniał?". „Oczywiście!". „Szkoda". Ojciec: „Co szkoda?". „Bo jest brzydki, a mu się udało. A krasnalkom nie". „Co się udało?!". „Istnieć".

Pociąg do Wrocławia. Czekam w kolejce do toalety. Przede mną starsza pani o lasce: „Przepraszam, potrzyma mi pani kijek?". „A proszę". Przygląda mi się z aprobatą: „Ja bardzo przepraszam – szczebiocząco – czy pani jest aktorką". „Nie" – uśmiecham się. „Prezenterką?". Kręcę głową. „No patrzcie, a ja dałabym sobie rękę uciąć, że panią widziałam w telewizorze". Na zrezygnowaniu: „Odda mi pani kijek, sama se potrzymam".

Tramwaj 17, przede mną dwie starsze. „I dobrze, że mu ten medal zabrał". „Ja tam się boję, że z tego będzie awantura". „A ja myślę, że odwrotnie. Pora się cofać z tej wojny". „A to się da?". „Przecie to nie nasza wojna! Jak Polskę kocham, to jednej rzeczy, wie pani, nie znoszę. Tego przesadzania ze współczuciem". „Racja". „Tacy się czujemy zobowiązani! Szkoda, że nie wobec Polaków". „Słusznie". „Ja pani powiem: na wschód od nas to nie ma kultury i nigdy nie było. Prostacki język – to jakie ma być myślenie?". „Ano, tylko Lwowa żal". „Może... Ale to już ruskie miasto".

Metro Ulrychów, wtaczam się z torbami. Tuż obok dwie w wieku wczesnostudenckim: „Kochana, myślimy: Dubaj". „Ale w sensie?". „Prosta sprawa no raczej, bystre jesteśmy, tam jest teraz centrum świata ogólnie". „W sensie?". „Słuchaj, moja babka od paznokci powiedziała, że jakby była w moim wieku, to zero Polski, tylko tam". „Ej, ale ona jest w twoim wieku...". „Nie no, jest dwa lata starsza, ale też ogólnie niezbyt jej rokuję wyjazd". „Angielski?". „Nieee, w Dubaju?! Da się bez języków. Ona nie ma tego czegoś". „My mamy?". „No, już nie wiem, czy masz, skoro pytasz. Ja ci streszczam: jesteś królową?". „W sensie?". „No, czy jesteś królową? Jak jesteś: Dubaj". „Ale że tam same królowe?". „No jakby". „A co z rodzicami? Zabierzemy ich?". Pauza. „Kasę im wyślesz". „Ale ja muszę, chociaż Boże Narodzenie". „Dobra, ale weź ich nie sprowadzaj. Tylko odwiedzinki". „A co z Robertem?". „Odcinasz". „On mnie kocha". „On cię bije". „Bo się przejmuje". „Ja ci powiem, Oliwka, ty tu zostajesz". „Bo??". „Ty tu miłość znalazłaś".

Jazda na Cmentarz Północny. Autobus, dwie starsze przede mną: „Pani tak co tydzień?". „Dwa razy w tygodniu". „Ojojoj! Ma pani samozaparcie". „Nie, po prostu nie mam nic lepszego do roboty". „E, nie mówi pani. Wspólnota, kotki, remont kamienicy, pani bardzo dużo robi". „Coś muszę". „Coś! No dobrze. Mój miesiąc temu zmarł i już mnie męczy to kursowanie. Wolę pójść do kościoła, z duszą się spotkać". „A ma pani wrażenie, że się spotyka z duszą męża?". „A jasne!". „Zazdroszczę. Ja nie mam. Tylko czasem na cmentarzu. Ostatnio miałam wrażenie, że idzie od śmietników". „Od śmietników? A co on tam robił?". „Pewnie to co zwykle". „Ę?". „Zgarniał martwe kwiaty i podpalał znicze". „Ech, pani Kasiu, to już rok, on już w niebie siedzi". „Wątpię". „Przecie dobry był!". „Wątpię, by tam wytrzymał. Woli sprzątać".

Ostatni tramwaj na Dolny Mokotów. Noc ciepła, cierpki zapach asfaltu po deszczu wdziera się do wagonów na każdym przystanku. Wjazd w Marszałkowską, a tu zostaliśmy tylko ja i gość z książką pod pachą, z papierosem w pogotowiu. „Też na pętlę?" – zagaduje. „Nie, wysiadam wcześniej". „Szkoda, bym z walizką pomógł". Uśmiecham się. „Wszyscy wysiadają przed. A ja lubię tak do końca dojechać. Pętla nocą fajna rzecz". „Hehe". Obruszył się z lekka: „Serio. Ja tak od szczeniaka uważałem, że ktoś musi okazać trasie szacunek, dojeżdżając do końca. Pętli ludzie unikają, a niektóre są ładne". „A brzydkim pewno tym bardziej smutno, że nikt nie zawita". Ożywił się: „No właśnie!". Już Rakowiecka. Westchnął: „Każdy ma uczucia. Motorniczy, tramwaj, pętla. Żeby nie było, że nic nikogo nie obchodzi, to jadę na ten przykład na Wyścigi. I jesteśmy kwita, uszanowałem". „A jeśli to ostatni tramwaj?". „Hm, zwykle jeszcze jakiś się toczy ku miastu. Albo idę na nocny autobus. Książkę mam, czas mam". „Nocne stróżowanie". „Stróż tramwajów, proszę pani. Guzik z pętelką". „Ale nie kominiarski".

Dzwoni staruszka od ciśnienia: „Pani Elizo, żyje pani?". „Chyba tak". „Słaba odpowiedź. »Chyba« to po mojej stronie proszę. To ja mogłabym się zabrać". „Nie sugerowałabym". „Dziękuję. Mój wnuk przyhołubił pieska". „Aha". „Kolejnego. Piesek bardzo się boi wszystkiego. Mogłaby pani spytać tatę...". „Tato odszedł". „Hm, tak... To tym bardziej: czy mogłaby pani spytać, jak pomóc dorosłemu zwierzątku, co się bardzo boi". „Spróbuję". „Muminek spytałby Włóczykija, choćby go nie było pod ręką". „Poradzimy się". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).

eprasa.pl fbbd995f95

KULTURA

NIEŹLE, JAK NA AMERYKANKĘ

CLARE CAVANAGH, TŁUMACZKA:

Widywałam Miłosza na ulicach Cambridge. To było tak, jakby nagle spotkać Micka Jaggera. Wstydziłam się podejść. Co miałabym powiedzieć? „Naprawdę bardzo lubię Pańską poezję”?!

JERZY ILLG: Cavanagh to nazwisko irlandzkie? Czytałem, że urodziłaś się w Irlandii.

CLARE CAVANAGH: Ależ nie, nie wiem dlaczego tak piszą w Wikipedii, to bzdura. Urodziłam się w Washington DC. A skąd Cavanaghowie wzięli się w Ameryce? Wiem tylko, że mój pradziadek ze strony mamy był analfabetą i miał własny bar w Montrealu.

Jako analfabeta? W barze trzeba liczyć. Jak prowadził rachunki?

Nie mam pojęcia. Mama mi kiedyś powiedziała, że z kolei jej ojciec był niespecjalnie sympatyczną osobą. Straszny pijak. On twierdził, że został pijakiem, ponieważ w pochodzie podczas Dnia św. Patryka jakiś protestant rzucił w niego butelką. Ładne wytłumaczenie, prawda? Ponoć każdy Irlandczyk ma taką historię.

Moi dziadkowie ze strony ojca wyjechali z Irlandii do Walii – oddzielnie, poznali się na miejscu. Dziadek pracował w kopalni, babcia była służącą. Potem on zachorował na pylicę, od węgla. Brat dziadka mieszkał w Winnipeg, dziadkowie się do niego przeprowadzili. Tam też urodził się mój ojciec. Dziadek pracował wówczas jako motorniczy w tramwaju, ale że wziął udział w strajku, to go zwolnili.

Rodzice ojca nie skończyli szkół, nie mieli takiej możliwości. Ale bardzo lubili czytać. Ich dzieci zawsze mogły obcować z książkami, chociaż w domu nie było pieniędzy – tym bardziej że mój dziadek był bardzo ciężko chory, kiedy przeprowadzili się do Oregonu. A klimat jest tam okropny.

A Twój ojciec?

Miał czterech braci i dwie siostry. Między dziećmi była taka dziwna konkurencja – kto mniej zarabia. Wszystkie dzieci pracowały w folwarkach, kiedy ich chory, umierający ojciec leżał w domu. To była właściwie chałupa, bez łazienki. Ojciec nigdy nie narzekał, a my traktowaliśmy jego wspomnienia o dzieciństwie na wsi jako piękne opowiadania. Ale w rzeczywistości było im przecież strasznie ciężko.

Odziedziczyłam po ojcu, bo specjalnie o to poprosiłam, cztery tomy irlandzkiej literatury wydrukowane w 1896 r. I ciągle się nad tym zastanawiam: ktoś musiał to kupić, ale jak, za co? Zanim osiedlili się na tym kawałku ziemi w Oregonie, cały czas się przemieszczali. I te cztery tomy ze sobą zabierali...

Ojciec był, jeśli nie liczyć jego braci i sióstr, najbiedniejszym dzieckiem w szkole. To była katolicka szkoła dla biednych dzieci. Jednak w tej szkole czytali Yeatsa. Miło mi, jak pomyślę, że moja miłość do literatury to jakiś spadek po ojcu. Po ojcu, ale też po dziadku i babci.

Czym zajmował się Twój ojciec?

Skończył ekonomię, a jako dodatkowy przedmiot wybrał literaturę. To było w czasie II wojny światowej. Jego pracodawcy szybko odkryli, że facet jest zdolny. Zdał jakiś test i został pracownikiem pierwszej wersji CIA – OSS, czyli Office of Strategic Services. Podczas I wojny poznał osobiście Julię Child – w przyszłości autorkę słynnych książek kucharskich. Ona chyba musiała zajmować się wtedy szpiegostwem. Jeździli razem jeepem po

eprasa.pl fbbd995f95

ANATOL CHOMICZ / FORUM

Mural z wizerunkiem Czesława Miłosza przy Centrum im. Ludwika Zamenhofa w Białymstoku, 2011 r.

Chinach, z jednej wioski do drugiej, rozwożąc broszury propagandowe.

Potem ojciec zaczął pracować dla armii w Waszyngtonie i tam poznał mamę. Pochodziła z Kanady, skończyła tylko szkołę średnią, jej rodzice z klasy robotniczej nie uważali, że wykształcenie jest potrzebne. Więc ich córka po szkole średniej skończyła studia sekretarskie i znalazła pracę w ambasadzie Nowej Zelandii.

Moi rodzice lubili czytać. Czytali nam wiersze, bo sami w dzieciństwie musieli się uczyć wierszy na pamięć. Nadal mam naszą dzieciną antologię „Favourite Poems, Old and New".

A ile Was było?

Czwórka. Mam dwie siostry i brata, jedno dziecko przychodziło na świat po drugim. Kiedy miałam trzy miesiące, rodzice przeprowadzili się do Kalifornii.

Ojciec jeździł bez przerwy po świecie i cały czas czytał, uwielbiał literaturę irlandzką. Kiedyś powiedziałam Seamusowi Heaneyowi, że mój tata uwielbia jego wiersze, a on natychmiast podpisał dla niego książkę.

Gdzie mieszkaliście w Kalifornii?

Najpierw w okolicach San Francisco, niedaleko Stanfordu. To było za czasów hipisów, tylko że ja byłam za mała, żeby się na to załapać.

Jak wyglądała Twoja droga na studia? Dlaczego wybrałaś literaturę rosyjską?

Bo byłam snobką. Na początku myślałam, że chcę studiować na Uniwersytecie Santa Cruz, bo to był hipisowski uniwersytet. Sądziłam, że będę poznawać literaturę francuską i angielską, bo uczyłam się francuskiego w szkole.

A hiszpański był wtedy wszędzie, połowa ludzi w Kalifornii mówiła po hiszpańsku. I te nazwy: Santa Clara, San Francisco, San Anselmo, San Jose, Cupertino, Los Gatos... wszystko hiszpańskie. Myślałam: co za nuda. Więc na przekór uczyłam się francuskiego. A potem pojawił się rosyjski. ↦

eprasa.pl fbbd995f95

Nasza nauczycielka interesowała się literaturą dysydencką. Była Rosjanką, miała doktorat z fizyki, ale chciała uczyć się o Cwietajewej, więc zrobiła drugi doktorat w USA, z literatury. Była cudowna, piękna, bezwstydna i bardzo odważna.

Poznawaliśmy coraz lepiej język, czytaliśmy Cwietajewą, Sołżenicyna i Mandelsztama, o którym później napisałam swoją pierwszą książkę. I jakoś, w bardzo dziwny sposób, zostałam przyjęta na Harvard.

Dlaczego dziwny?

Ponieważ Santa Cruz był, jak już wspomniałam, uniwersytetem hipisowskim, a Harvard przeciwnie. Mieli wielkie wątpliwości co do mnie. Tylko że mówiłam świetnie po rosyjsku – to zdecydowało.

Ponieważ trzeba było wybrać drugi język słowiański, zastanawiałam się nad ukraińskim, czeskim, bułgarskim i polskim. Ale w tamtym momencie wszyscy pisali tylko o Polsce: Solidarność, Miłosz, Wałęsa. Pomyślałam, że Polacy to najfajniejsi ludzie na świecie.

I zaczęłaś czytać Miłosza.

Nie znałam jeszcze wtedy polskiego. Przeczytałam poemat „Dzwony w zimie" i myślałam, że to najbardziej przygnębiająca rzecz, jaką znam. Szczerze mówiąc, przeczytałam go do końca tylko dlatego, że byłam zakochana w tym poecie. Co jeszcze wtedy poznałam? Chyba „Dolinę Issy".

Ale o samym Miłoszu czytałam codziennie w gazetach. Poza tym ciągle mówiono, że taki sławny poeta, Stanisław Barańczak, przyjedzie do nas na Harvard, więc zaczęłam się w końcu uczyć polskiego.

Barańczak przyjechał do Was w marcu 1981 roku.

A po wprowadzeniu stanu wojennego nie mógł już wrócić do Polski. To była oczywiście tragedia dla całej jego rodziny. Nie mogli mieć kontaktu ze znajomymi, bliskimi. Z czasem zaczęłam rozumieć, jaki to był dla niego trudny okres. Ale dla mnie to było największe szczęście. Barańczak był cudowny. Absolutnie wyjątkowy, miły, bezpretensjonalny. I był świetnym nauczycielem. Zapisywałam wszystko, co wykładał.

Bardzo się zaprzyjaźniłam z całą jego rodziną. Ania, jego żona, mówiła ze mną po angielsku, a ja z nią po polsku. Oglądaliśmy razem najgłupsze programy w amerykańskiej telewizji.

Koszykówkę i komedie ze Stevem Martinem. Jak u nich gościłem, Staszek przywoził kasety z wypożyczalni.

W pewnym momencie Barańczak zaproponował, żebym została jego asystentką. Szukałam dla niego książek i artykułów o Herbercie, o którym pisał wtedy książkę. A poza tym poprawiałam jego angielski.

Ktoś zaproponował mu, żeby przetłumaczył 10 czy 15 wierszy Ryszarda Krynickiego i Barańczak poprosił mnie o pomoc. Okazało się, że lubimy współpracować i lubimy Krynickiego. Tak się wszystko zaczęło.

Nie bez wątpliwości.

Tak, na początku powiedziałam mu, że absolutnie nie jestem w stanie tego robić. Dopiero rok uczyłam się języka, kiepsko mówiłam, czytałam z wielką trudnością i w ogóle znałam za mało polskiej poezji. Ale on odpowiedział: „Dlaczego nie?". Zapamiętałam sobie tę frazę na całe życie...

A potem zrobiliśmy tę antologię polskiej poezji „Psując zabawę kanibalowi". Nasz wydawca bał się, że ludzie pomyślą, że to książka kucharska. Zaczęliśmy tłumaczyć i okazało się, że świetnie nam się współpracuje. Poza wszystkim innym, on był fantastycznym facetem.

Jak wyglądała Wasza współpraca?

Na początku zachowywaliśmy się bardzo grzecznie. „A może byłoby lepiej w takiej formie?", „Chyba źle zrozumiałeś tę frazę". A potem: „Po prostu nie, tak nie może być!". Kiedyś powiedział mi: „Nieźle, jak na Amerykankę. Masz wyczucie dobrej polszczyzny. To jest jak dobry cholesterol". Strasznie się krytykowaliśmy. Nigdy się nie kłóciliśmy, ale krytykowaliśmy się absolutnie bezlitośnie.

Musiałaś mieć dużo siły, żeby polemizować ze Staszkiem, bo on był pewien swoich racji.

Tylko że ja lepiej znam angielski. I po prostu widziałam, kiedy czegoś nie wolno i wymyślałam lepszą wersję. A on się godził, był jak starszy brat.

Wisławę Szymborską poznałaś osobiście dopiero w Sztokholmie?

Tak. I byłam kompletnie przerażona! Staszek nie mógł tam pojechać ze względu na stan zdrowia.

Czy to jest prawda, że po Noblu sprzedało się 120 tys. egzemplarzy jej wyboru wierszy? Dobrze pamiętam?

Ostatnim razem, gdy sprawdzałam, nakład wynosił już 2 mln egzemplarzy. Wydawnictwo Ecco Press (imprint HarperCollins) wznawia wszystkie jej książki w nowych edycjach, ale jest też nowy tom „The Essential Szymborska", więc do końca roku nakład z pewnością będzie jeszcze wyższy.

Dlaczego?

Ona jest tu niesłychanie popularna, studenci ją uwielbiają. Ale nie tylko. Po jej śmierci zwyczajni ludzie – nie poeci, nie profesorowie literatury – mieli poczucie, że to jest nie tylko koniec wspaniałej poezji, ale koniec jakiejś przyjaźni. Jakby znali ją osobiście. Co jest dziwne, bo ona mało pisała o sobie.

Kiedy Szymborska zmarła, dzwonili do mnie ludzie, którzy prosili, żebym o niej napisała, ale nie byłam w stanie, więc po prostu zbierałam z internetu wszystkie teksty o niej. Jakiś fizyk napisał, że jest zachwycony, bo Szymborska zmieniła sposób, w jaki on patrzy na świat. Weterynarz też zachwycony, bo ona rozumie, jak myślą zwierzęta. Ktoś inny wyznał, że planował pojechać do Krakowa, kupić wielki bukiet róż i zostawić na progu jej domu. Nie chciał przeszkadzać poetce, broń Boże, chciał opatrzyć ten prezent tylko krótką notatką: „Pani pisze, że nie ma nic nowego pod słońcem, ale przecież pani to jest coś nowego pod słońcem". To było fantastyczne, że ludzie tak osobiście traktowali jej wiersze.

Szymborska miała niesamowite poczucie humoru i była szalenie skromna. Nigdy nie śmiałabym jej tego powiedzieć, ale uważam, że była po prostu geniuszem. Była fantastyczna, absolutnie niewiarygodna. Interesowała się wszystkim.

Jak myślisz, na ile warstwa metafizyczna jej poezji była świadomie odbierana w Ameryce? Bo Amerykanie nie przepadają za taką poezją.

Taki jest w każdym razie stereotyp. Ja myślę, że ona traktuje najbardziej istotne problemy metafizyczne lekką

eprasa.pl fbbd995f95

ręką i to jest coś właśnie dla Amerykanów. Można myśleć o największych zagadkach, szukać odpowiedzi na najtrudniejsze pytania, ale nie można o tym mówić zbyt serio.

A czego Ciebie nauczyła?

Ona kwestionuje absolutnie wszystko. W najbardziej dziwny i delikatny sposób. Widzi to, na co ktoś inny nie zwróciłby uwagi. Widzi więcej w jednym szczególe, niż my wszyscy w świecie. James Merrill powiedział kiedyś o Elizabeth Bishop, że ona całe życie udawała, że jest zwyczajna. Nadzwyczajnie udawała, że nie jest nadzwyczajna. Myślę, że tak samo było w przypadku Wisławy.

Dzięki niej zaczęłam rozumieć, że gdy myślisz, że chodzisz po znajomej ziemi, to ta ziemia wcale nie jest znajoma. Ona jest obca, należy do obcej kultury. Bardzo łatwo o tym zapomnieć. A przecież tam, gdzie mieszkamy teraz, wszystkie amerykańskie nazwy – Missisipi, Michigan, Massachusetts, Milwaukee – to są indiańskie imiona.

Na naszym osiedlu rośnie krzew, który ma bardzo regularne, krzywe gałęzie. Sprawdziłam w internecie, że to jest indiański „znak drogowy". Indianie specjalnie przywiązywali gałąź, żeby się wyginała tak, by wskazywać konkretny kierunek. Takie znaki są wszędzie, tylko że my nie zwracamy na nie uwagi. Każdy drobiazg ma swoją historię i każdy drobiazg może być znakiem, odniesieniem do innej rzeczywistości.

Zawsze miałam ochotę czytać głupie książki. I wstydziłam się tego strasznie, myślę, że ze względu na ojca, bo on czytał tylko poważne rzeczy. A kiedy przekładałam „Lektury nadobowiązkowe", dostałam od Wisławy pozwolenie, że mogę czytać wszystko. Szymborska daje poczucie przyzwolenia na bycie zwyczajnym.

We wszystkich Twoich biogramach jest napisane: „Pracuje nad biografią »Czesław Miłosz and his age. A critical life«".

Nie przypominaj mi o tym! Jonathan Galassi, redaktor naczelny wydawnictwa FSG, jest na szczęście wobec mnie wyrozumiały. Lawrence Lipking, cudowny badacz, napisał książkę o tym, że sam poeta pisze biografię w swojej twórczości. To będzie moje podejście: że każdy poeta nieustannie przerabia własną biografię.

ANATOL CHOMICZ / FORUM

CLARE CAVANAGH jest literaturoznawczynią i tłumaczką polskiej literatury, przekładała na angielski m.in. poezję Czesława Miłosza, Wisławy Szymborskiej i Adama Zagajewskiego. Za swoją pracę otrzymała wiele ważnych nagród. Teksty krytyczne i przekłady publikowała w takich pismach jak: „The New York Times Book Review", „The New York Review of Books", „The New Yorker". Pracuje nad biografią Miłosza, która ukaże się nakładem wydawnictwa Farrar, Straus and Giroux.

■ W trakcie tegorocznego Festiwalu Miłosza w Krakowie wystąpi z wykładem mistrzowskim o twórczości poety (4 lipca, godz. 17.00, Pałac Potockich).

W ciągu ostatnich 20 lat pisałam różne teksty o Miłoszu, które zapewne po części włączę do tej biografii. Tym bardziej że lubię żyć swoimi projektami bardzo długo. Zaczęłam tłumaczyć Szymborską czterdzieści sześć lat temu, Adama Zagajewskiego w 1994 albo 1995 roku, Krynickiego, kiedy miałam dwadzieścia sześć lat. Lubię projekty na całe życie.

Mnie się wydaje, że o wiele lepiej rozumiemy Miłosza, im jesteśmy starsi. Miłosz nie jest poetą młodych ludzi. To jest człowiek, który dojrzewał, by tak rzec, we własnej twórczości. Właśnie o tym pisze w swojej książce Larry Lipking.

Ale czekaj, skąd w ogóle ten pomysł, żeby pisać jego biografię?

No wiesz, miałam poczucie, że muszę coś napisać o Miłoszu. I długo rozmawiałam o tym z Adamem Zagajewskim, bo on też uwielbiał Miłosza i podobnie jak Lipking uważał, że cała jego twórczość jest ciągłym rozwijaniem i przerabianiem biografii. Znam lepiej niż większość amerykańskich czytelników polski kontekst jego twórczości. Oprócz tego znam też kontekst amerykański i naczytałam się amerykańskiej literatury. Miłosz czytał amerykańskich krytyków i cytował ich. Oczywiście bez przypisów.

Jak się do niego pierwszy raz zwróciłaś z tym pomysłem?

Po otrzymaniu Nagrody Nobla Miłosz prowadził wykłady na Harvardzie i zdarzyło mi się siedzieć z nim w tej samej sali. Byłam jednak wtedy bardzo młoda i nie miałam odwagi do niego podejść. Mogłabym powiedzieć cokolwiek, ale sam jego autorytet mnie onieśmielał. To były wykłady, które później ukazały się w książce „Świadectwo poezji. Sześć wykładów o dotkliwościach naszego wieku". Uczestniczyłam we wszystkich, a mimo to nie zdobyłam się nawet na krótką rozmowę.

Bałam się tak bardzo, że nie zapisałam się nawet na jego seminarium poświęcone problemowi zła, choć oczywiście powinnam była to zrobić. Czasem widywałam go na ulicach Cambridge i za każdym razem miałam podobne poczucie: „O mój Boże!". To było tak, jakby nagle spotkać Micka Jaggera. Co miałabym mu powiedzieć? „Naprawdę bardzo lubię Pańską poezję"? I co dalej?

Po raz pierwszy poznałam go dopiero tutaj, w Krakowie.

Powiedziałaś mu, że chcesz pisać jego biografię?

Nie, wtedy nie miałam jeszcze takiego pomysłu. On pojawił się dopiero po kilku spotkaniach. Pomyślałam, że jeśli mam zająć się kolejnym poetą, to musi nim być właśnie on. Pozostawało tylko pytanie: jaka miałaby to być książka? Co nowego można napisać o Miłoszu?

Któregoś razu byliśmy razem na jakimś spotkaniu, chyba na kolacji u Krynickich. Wydaje mi się, że powiedziałeś mi wtedy, że Miłosz prosił, żebym do niego zadzwoniła. Zadzwoniłam więc. Telefon odebrała Carol. ↦

eprasa.pl fbbd995f95

↦ „Jestem pewna, że Czesław bardzo ucieszyłby się z twojego telefonu – powiedziała. – Ale właśnie pije z Aleksandrem Schenkerem i nie sądzę, żeby szybko skończyli”.

Schenker był slawistą, profesorem Yale. Carol zaproponowała następny dzień, dziewiątą rano. Tymczasem Miłosz najwyraźniej świetnie poradził sobie z całym alkoholem, bo jeszcze tego samego wieczoru oddzwonił i zaprosił mnie do siebie. Był to ogromny stres. Do dziś pamiętam szczegóły tamtego spotkania. Rozmawialiśmy długo o przekładzie i o literaturze w ogóle.

Od razu się zgodził na biografię, nie chciał Cię zniechęcić?

Zgodził się bardzo chętnie. Myślę, że znaczenie miało też to, że napisałam wcześniej książkę o Mandelsztamie. Widział więc, że mam przygotowanie do pisania. Jednocześnie było wyraźnie widać, że przechodzi ciężką depresję. Nie bardzo wiedziałam, jak sobie z tym poradzić i jak w takiej sytuacji z nim rozmawiać.

Zaczęliśmy od religii. Później pisałam do niego długie listy, poruszając rozmaite tematy. W jednym z nich wspominałam, że ponownie czytam „Dolinę Issy” i zwróciłam uwagę na fragment, w którym przywołuje słowa z mojej ulubionej części mszy. Takie tematy były mu wówczas szczególnie bliskie. Dzięki temu nawiązaliśmy bardzo dobry kontakt korespondencyjny.

Po śmierci Carol było widać, że znajduje się w bardzo złym stanie – zarówno fizycznym, jak i psychicznym. Na nasze pierwsze spotkanie po jej pogrzebie szłam przerażona. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Zastanawiałam się, jak mam z nim rozmawiać po tym wszystkim i czy w ogóle można znaleźć słowa pocieszenia.

Pamiętam, że powiedziałam mu wtedy, jak bardzo porusza mnie zdanie, które powtarzał w różnych tekstach: „Muszę wierzyć w Boga, bo muszę mieć komu dziękować”. Podczas jednego z kolejnych spotkań zapytał mnie: „Dlaczego w moim wieku wciąż mam tyle wątpliwości?”. Odpowiedziałam: „Gdybyś nie miał żadnych wątpliwości, nie miałabym z Ciebie żadnego pożytku”.

Zdawał się tą odpowiedzią uszczęśliwiony. © Rozmawiał JERZY ILLG

Pod płaszczykiem

REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

POPKULTURA | Rzeczywistość *noir* nie jest czarno-biała, przeciwnie – sytuuje się na skali szarości. Czy w takim świecie jest jeszcze miejsce dla superbohatera?

Nakręconą w roku 1947 hollywoodzką „Ulicę Koszmarów” Edmunda Gouldinga otwiera scena występu „dzikusa” (ang. *geek*). Mimo że gapie przesłaniają atrakcję, konferansjer dokładnie tłumaczy widzom przed ekranem, co wydarzy się za chwilę: oto człowiek odgryzie łeb kurczęciu. Do roli „dzikusów” zaprzęgano osoby w kryzysie – bezdomnych, uzależnionych. Wszystkich, których słabości można wykorzystać.

To modelowy temat kina *noir*, czyli nurtu w amerykańskim kinie, który rozwijał się na przełomie lat 40. i 50. Jego definicji zawsze towarzyszy nacisk na ekspresjonistyczne środki filmowe (głęboki kontrast, grę światłem, zakrzywianie perspektywy), charakterystyczną ikonografię (fedory, prochowce, złowrogie miasta), czy też archetypiczne postaci (cyniczny detektyw, *femme fatale*, drobny kanciarz).

Mroczna historia

Istota gatunku *noir* kryje się jednak nie tyle w formie, ile treści – jest tam, gdzie powojenne realia premiują pesymizm, nabierający rozpędu kapitalizm wznieca chciwość, a więzi społeczne erodują: każdy sobie rzepkę skrobie, a jak zajdzie potrzeba, wbije nóż w plecy.

Rzeczywistość *noir* nie jest czarno-biała, przeciwnie – usytuowana jest na skali szarości. Gdy hierarchie chwieją się w posadach, autorytety upadają, a instytucje zaufania publicznego tracą wiarygodność, naginanie kręgosłupa moralnego można traktować jako strategię przetrwania. Zdaje się, że w takim świecie nie ma miejsca dla klasycznych bohaterów.

Między innymi dlatego tak ciekawe są wszelkie próby przymierzenia superbohaterskiego mitu do prawideł *noir*. Na przestrzeni dekad podejmowano się tego wielokrotnie. Istnieje oczywiście cała biblioteka tytułów, nad którymi unosi się duch tego nurtu: choćby co bardziej detektywistyczne historie z Batmanem, takie jak „Rok pierwszy” (komiks: 1987, film: 2011), „Długie Halloween” (powieść graficzna z roku 1996) czy „Mroczne odbicie” (polskie wydanie: 2023). Obok nich można znaleźć też komiksy, które odnoszą się do tej tradycji w sposób bezpośredni.

W 2009 r. Marvel, gigant na rynku komiksu superbohaterskiego, zainaugurował cykl „Marvel Noir”. Pod jego szyldem ukazywały się alternatywne przygody dobrze znanych postaci, osadzone w kontekście filmów *noir*, czarnych kryminałów i *pulp fiction*. Największą popularnością cieszył się „Spider-Man Noir”. W komiksie Davide’a Hine’a, Fabrice’a Sapolsky’ego i Carmine’a Di Giandomenica przyrostek „noir” nie dotyczył jednak stylizacji.

Był to czystej wody pulpowy kryminał: krucjata Petera Parkera przypadła na apogeum wielkiego kryzysu, więc siatkę jego wrogów utkano z gangsterów (w tym wypadku dawnych cyrkowych „dziwolągów”, wśród nich był nawet „dzikus”), skorumpowanych funkcjonariuszy i politykierów, a w kontynuacji również nazistowskich agitatorów i zwolenników eugeniki. Twórcy akcentowali wątki społecznej niesprawiedliwości, dla której pożywką były pazerność i uprzedzenia rasowe.

Nawet jeśli ich tezy były przesiane przez sito sensacji, a spostrzeżenia w gruncie rzeczy oczywiste, należy podkreślać, że „Spider-Man Noir” był komiksem wielce zaangażowanym społecznie, prawie że marksistowskim (ciotka Petera była zresztą gorliwą socjalistką).

eprasa.pl fbbd995f95

MATERIAŁY PRASOWE

Nicolas Cage jako Spider-Man w serialu „Spider-Noir". Amazon Prime Video, 2026 r.

W periodykach z cyklu „Marvel Noir" wyznaczono przestrzeń dla treści, które w tytułach z oficjalnej linii wydawniczej najprawdopodobniej zostałyby uznane za zbyt brutalne i nihilistyczne (żeby nie było – to żadne *novum*). Nie był to poziom transgresji jak z wczesnych komiksów Vertigo (marki wydawniczej DC Comics kierowanej do dorosłych), ale rzucał nowe światło na przeżute przez popkulturę mity. Niestety, cały wywrotowy potencjał tych opowieści został wyekstrahowany, gdy zaliczono je w poczet mainstreamu.

Piekielny motocyklista

W 2018 r. Spider-Man Noir został jednym z bohaterów animowanego blockbustera „Spider-Man Uniwersum". Choć jest to film ze wszech miar znakomity, który wywrócił na nice sposób, w jaki tworzy się popularną animację. Spider-Man Noir stał się dowcipem – postacią mówiącą chandlerowską frazą, komicznie nieprzystającą do świata, w którym się znalazł. Uwypuklił to grający go Nicolas Cage, w końcu trudno o drugiego tak memicznego aktora w Hollywood.

Cage jest fanem komiksów (w swojej kolekcji posiada na przykład kopię pierwszego numeru „Action Comics", białego kruka z debiutem Supermana). Jego drogi wielokrotnie się z kinem superbohaterskim przecinały. Niewiele brakowało, by w latach 90. przejął schedę po Christopherze Reevie, wcielając się w Człowieka ze Stali.

W nowym milenium podpisał cyrograf, zostając piekielnym motocyklistą, marvelowskim duchem zemsty w filmie „Ghost Rider". Warto też pamiętać o jego roli niby-Batmana z pastiszu „Kick-Ass". Cage był kołem zamachowym serialu „Spider-Noir", który niedawno trafił na Prime Video. Produkcji rozpostartej między komiksami z 2009 r. i przebojowym filmem animowanym.

Proces wyjaławiania pomysłów przez *mainstream* często kończy się wraz ze sprowadzeniem ich wyłącznie do modnej estetyki. Niech świadczą o tym słowa Cage'a, który w wywiadzie dla „Esquire" przyznał: „Kiedy Amazon zaczął zastanawiać się nad produkcją serialu, obawiano się czerni i bieli. Powiedziałem wtedy, że »nie musicie ograniczać się do czerni i bieli, możecie to zrobić również w kolorze«". Takie podejście wpisuje się w rozumienie obcowania ze sztuką jako transakcji – jej kulturotwórcza wartość zanika, ponieważ ważniejsze jest podporządkowanie popytowi.

Oczywiście, „Spider-Noir" wygląda obłędnie zarówno w nasyconym kolorze, jak i kontrastowej czerni i bieli. Serial Orena Uziela jest pieczołowicie zrealizowany, naszpikowany odniesieniami do klasyków kina: „Gildy" (1946), „Wielkiego snu" (1946) i „Damy z Szanghaju" (1947). Ale, no właśnie, to jedynie obliczona na efekt stylizacja – wyobrażenie o *noir*, a nie *noir* prawdziwe.

Noir od nowa

Jeżeli zdejmiemy ten szary płaszczyk, okazuje się, że król jest nagi. Intryga – mimo że w zgodzie z tradycją splątana jak sieć pająka – zdaje się odbita od sztancy. Postaci spełniają swoje archetypiczne funkcje, ale nie podejmują się zadań, które choćby o milimetr wykraczałyby poza gatunkowy zakres obowiązków. Nawet tytułowy bohater został prywatnym detektywem.

W serialu Amazona przebąkuje się o palących problemach społecznych, lecz jakby mimochodem; są to wątki poślednie. Kino *noir* rozkwitało, gdy wszystko wokół zdawało się usychać, wyrastało z napięć i niepokojów. Dlatego zanikło w końcówce lat 50., kiedy zaczął się okres względnego dobrobytu i stabilizacji, a powróciło w latach 70. z przedrostkiem „neo", kiedy Stany wdychały aferę Watergate, wojnę w Wietnamie i stagflację. To wtedy dostaliśmy przecież „Chinatown" Romana Polańskiego i „Taksówkarza" Martina Scorsese.

W niepewnym roku 2026 warunki do zaistnienia nowej fali *noir* są wzorcowe. „Joker" Todda Phillipsa i „Batman" Matta Reevesa udowodniły, że jego mariaż z konwencją superbohaterską może się udać. I nie musiały o tym przekonywać w swoich tytułach. ©

eprasa.pl fbbd995f95

Badminton z Abakanowicz

TOMASZ SZYMAŃSKI, TWÓRCA INTERNETOWY:

STREET ART | Potrzebujemy miejsc, w których sztuka jest elementem wspólnego dobra, a mieszkańcy czują się gospodarzami tej przestrzeni.

ANNA PAJĘCKA: Jaka sztuka jest najpopularniejsza w social mediach?

TOMASZ SZYMAŃSKI: Robiona przez osoby, których środowisko artystyczne najczęściej nie zna. Co ciekawe, duże zainteresowanie budzi rzeźba – medium w galeriach obecne dużo słabiej niż malarstwo. Dla mnie najmocniejsze momenty kontaktu ze sztuką wiążą się właśnie z instalacjami i realizacjami rzeźbiarskimi.

Pamiętasz pierwszy moment zachwytu?

To były „Mozaiki" Wojciecha Fangora na dworcu Warszawa Śródmieście. Nagle okazało się, że artysta, którym się fascynujesz, jest na wyciągnięcie ręki. A jego realizacja nie jest tylko dekoracją: jest zakorzeniona w konkretnym miejscu i pełni tam określoną funkcję.

Takie działania Cię interesują?

Najbardziej interesują mnie dzieła, które można wpleść w codzienność, jak Galeria Mikrob w Krakowie przy Floriańskiej, niedaleko Rynku. Przez tę ulicę codziennie przelewają się tysiące turystów, a jednocześnie w gablocie jednego z lokali działa galeria sztuki. Można pooglądać prace Aleksandry Waliszewskiej, Karola Palczaka czy Marcina Maciejowskiego – właściwie mimochodem.

Albo „Pasaż Róży" Joanny Rajkowskiej w Łodzi. W tej pracy kryje się osobista historia choroby córki artystki, ale spotyka się ona ze spektakularną wizualnością podwórka wyłożonego kawałkami luster. I nie widzę nic złego w tym, żeby najpierw zachwycić się samym efektem. Kontekst może przyjść później – ale nie musi. Sztuka w przestrzeni publicznej potrafi działać bez objaśnienia.

Jak na dworcu kolejowym we Wrocławiu albo w kiosku Ruchu w Lublinie.

Lubelska galeria „Nowy Złoty" ciekawi mnie z kilku powodów. Po pierwsze, jest wpisana w codzienny rytm miasta. Bywa otwierana przy okazji wernisaży, ale często wystawy ogląda się po prostu zza szyby, przechodząc obok kiosku. Po drugie, fascynuje mnie sposób wyboru twórców i twórczyń. Osoba, która ma tu wystawę, poleca trzy kolejne – ze swoich kręgów artystycznych i koleżeńskich. Potem zespół kuratorski wybiera jedną z tych rekomendacji.

Powstaje sztafeta, która wymyka się oficjalnym strukturom. Po bardzo znanej artystce może pojawić się zupełnie początkujący malarz, bo znalazł się wśród poleceń. To jest dla mnie ciekawy model demokratyzacji sztuki: relacje zamiast rankingu, wspólnota zamiast drabiny ważności.

Kościoły też są według Ciebie ciekawą przestrzenią spotkania ze sztuką współczesną.

SZYMON SOKOŁOWSKI / WYDAWNICTWO ZNAK X2

„Bociany" Michała Gałkiewicza na łódzkiej Retkini

Do Jerzego Nowosielskiego nie dotarłem przez podręczniki czy internet, tylko konkretne miejsca. Weźmy Kościół Ducha Świętego w Tychach. Zamiast tradycyjnych obrazów mamy tu właściwie dzieło totalne – dziesiątki wybitnych, całkowicie niesztampowych malarskich przedstawień świętych, naniesionych bezpośrednio na drewniany sufit.

W ramach skonwencjonalizowanego języka malarstwa sakralnego Nowosielskiemu udało się wywrócić ten system do góry nogami: odpowiedzieć na potrzeby duchownych i wiernych, stworzyć przestrzeń kontemplacji i religijnego namysłu, a jednocześnie zachować wyjątkowy styl artystyczny i stworzyć coś absolutnie unikatowego.

Możemy być religijni albo niereligijni, możemy konkretne realizacje lubić albo nie, ale ja po wizycie w Tychach po raz pierwszy od wielu lat zacząłem na nowo mocno myśleć o duchowości. Szczególnie że Nowosielski – podobnie jak Władysław Hasior czy Antoni Rząsa – funkcjonował wcześniej w mojej głowie jako twórca trochę „przykurzony", należący już do odległej historii.

Nieprzypadkowo ta sztuka budziła też opór części duchownych. U Nowosielskiego w Tychach zobaczyłem świętych płaczących smołą, przedstawienia dalekie od łagodnej, kanonicznej ikonografii. Podobnie z Rząsą: jego Matka Boska z Chrystusem na rękach jest zupełnie inna niż obrazy, do których przywykliśmy w kościołach. Ciało Chrystusa wygląda niemal jak kanapka albo surowa ryba, jak posiłek. Zaczyna się rozumieć, dlaczego ta sztuka bywała odrzucana. To nie dekoracja, a realny potencjał awangardowy. Sztuka Rząsy, Hasiora i Nowosielskiego otworzyła mnie też na ludowość. To zupełnie nowy rozdział moich fascynacji.

Dlaczego rzeźba współczesna wywołuje raczej negatywne emocje?

Weźmy na przykład „Bociany" Michała Gałkiewicza na łódzkiej Retkini. Powstały na nowym osiedlu: szybko budowanym, pustym, pełnym kałuż. Nie miały być transgresyjne ani wybitnie awangardowe, ale spełniać konkretną rolę: oswajać przestrzeń. Dla mnie są zwornikami lokalnej tożsamości. Spra-

eprasa.pl fbbd995f95

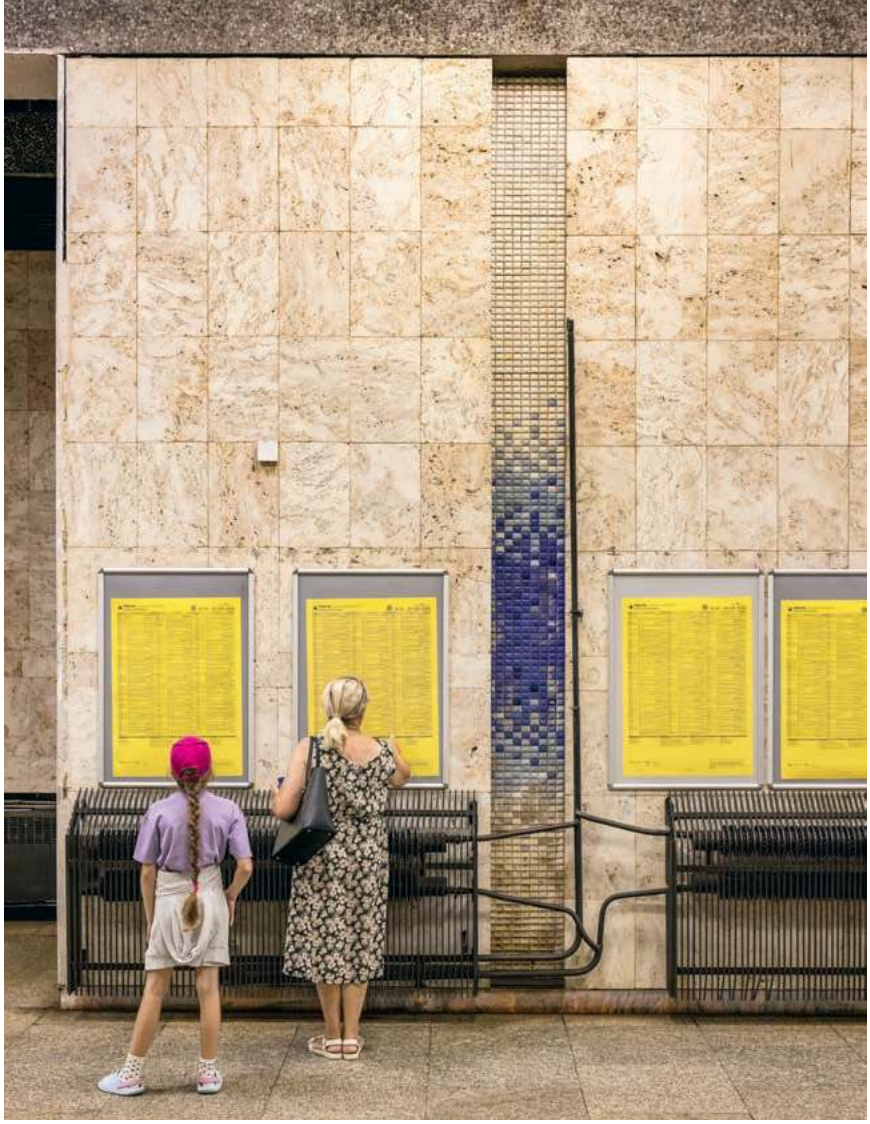

„Mozaiki" Wojciecha Fangora na dworcu Warszawa Śródmieście

wiają, że teren staje się bardziej twój. Mają też bardzo praktyczny wymiar: „spotkajmy się pod bocianami". Znakują miejsce, dają mu punkt zaczepienia.

Bardzo żałuję, że dziś ta funkcja rzeźby pojawia się tak rzadko. Że sztuka tak rzadko jest naturalną częścią myślenia o nowych osiedlach i wspólnej przestrzeni.

Czyli problemem nie jest tylko to, że ludzie nie rozumieją sztuki, ale też to, że sztuka rzadko bywa czymś, co buduje wspólną przestrzeń?

Nie czuję się na siłach, żeby przekonać osobę nieprzekonaną, że „Kałuża" Oskara Rafała Bujnowskiego – trzycentymetrowe zagłębienie w chodniku, które po deszczu zmienia się w idealnie okrągłą kałużę – jest czymś prostym w odbiorze, przed czym każdy powinien padać na kolana. Zwłaszcza że praca nosi tytuł „Pomnik neurotyków", a słowo „pomnik" kojarzymy raczej z martyrologią, wielkimi wydarzeniami i postaciami.

Mogę jednak opowiedzieć o swoim przeżyciu. Dla mnie ta metafora jest bardzo poruszająca. W przestrzeni publicznej rzadko znajdujemy miejsce na to, co kłopotliwe, bolesne, odległe od narracji sukcesu. I nagle pojawia się kałuża, którą tysiące osób mijają bez uwagi, aż w końcu ktoś zatrzyma się przy tym precyzyjnym okręgu. Dla mnie to wystarczający powód istnienia tej pracy.

Mówisz o dziełach zakorzenionych w konkretnych miejscach. Jak one mają dotrzeć do kogoś, kto nie jest wyrobionym odbiorcą sztuki?

Nie mam na to recepty. Ale podejrzana jest dla mnie sama kategoria „zrozumienia dzieła sztuki". Nie ufam zdaniom: „wiem, o co tu chodzi" albo „ja to już rozumiem". Prace, z którymi mam najgłębszą relację, to często te, wobec których zmieniałem zdanie.

W swojej książce opowiadam na przykład o tkaninie, która kiedyś wydawała mi się czymś dekoracyjnym, właściwie funkcjonującym poza światem sztuki. Przełomem była wizyta w spółdzielni tkackiej w Bobowej i zobaczenie, jak powstaje. Drogą jest osobiste doświadczenie: także porażka, złe rozumienie. Albo ciekawość: dlaczego coś wygląda właśnie tak, a nie inaczej.

Co pomogło Ci przełamać poczucie, że sztuka współczesna jest egzaminem, który trzeba zdać?

Uratowały mnie parki rzeźby: Bródno, Orońsko, ogród rzeźb Juana Soriano. To miejsca, w których sztuka nie stoi na postumencie i nie masz poczucia, że ktoś odpytuje cię z wiedzy. Na Bródnie prace są mocno wtopione w krajobraz, a przyroda staje się równoległą bohaterką. Uwielbiam grać w badmintona właśnie tam, obok rzeźb Magdaleny Abakanowicz.

Podobnie działa na mnie Orońsko. Część rzeźb wygląda, jakby była porzucona, zapomniana, zarośnięta. Hierarchie się rozmywają. Możesz spotkać Tony'ego Cragga czy Teresę Murak, ale równie mocno może poruszyć cię praca, która została tam przypadkiem, bo artysta nie miał jak jej przetransportować.

Pandemia też zmieniła nasz sposób korzystania ze sztuki. Zaczęliśmy szukać miejsc na uboczu, poza instytucjami.

Moja książka „Ukryte na widoku" zaczyna się od rzeźby „100 ton" Zbigniewa Frączkiewicza, umiejscowionej w kamieniołomie Wiciarka w Szklarskiej Porębie – daleko od centrum, nie da się do niej po prostu podjechać samochodem. Trzeba zostawić auto i przejść przez gęsty las słabo oznakowaną ścieżką. Pośrodku opuszczonej kopalni znajdujesz monumentalne dzieło sztuki.

Piszesz o sztuce finansowanej przez zakłady pracy, związki zawodowe, lokalne instytucje. Z dzisiejszej perspektywy brzmi to niemal egzotycznie. Tymczasem takie działania tuż po wojnie miały nam pomóc oswoić pewne miejsca, zbudować wokół nich nową tożsamość.

Weźmy Konin – w latach 70. awansuje na miasto wojewódzkie, rozwija się przemysł, działa jedna z dwóch hut aluminium w Polsce. Na styku lokalnych władz, artystów i przemysłu pojawia się pomysł plenerów rzeźbiarskich. ↦

eprasa.pl fbbd995f95

PATRYK ROMAN

TOMASZ SZYMAŃSKI (na zdjęciu w kościele w warszawskiej Wesołej, pod polichromią Jerzego Nowosielskiego) to twórca internetowy, autor instagramowego profilu Solo Show, na którym przedstawia polską sztukę współczesną i ludową. Niedawno wydał książkę „Ukryte na widoku. 101 opowieści o sztuce w przestrzeni publicznej" (Znak Koncept), w której pokazuje, że ze sztuką można się spotkać nie tylko w muzeach.

↦ Przyjeżdżają ważni twórcy, między innymi Magdalena Więcek. Wszyscy mają dostęp do tych samych materiałów, pracują obok siebie, w technice, z którą jeszcze prawie nikt w Polsce nie miał do czynienia. W ten sposób powstają setki realizacji z myślą o ulicach Konina. Oddzielną kwestią jest to, na ile faktycznie udało się wprowadzić je w przestrzeń miasta. Nie zmienia to jednak faktu, że dziś mamy dużo większy problem z myśleniem o sztuce jako o czymś, co może po prostu być częścią wspólnej przestrzeni.

Może wszystko zależy od tego, jak to robimy?

Często stawiam obok siebie dwa przykłady: Elbląg i Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa. W Elblągu mamy Otwartą Galerię Form Przestrzennych i wielkie nazwiska: Henryka Stażewskiego, Magdalenę Abakanowicz, Jerzego Jarnuszkiewicza. Kiedy pierwszy raz tam trafiłem, nie mogłem uwierzyć, że takie rzeczy po prostu stoją w mieście. A jednak mam wrażenie, że sztuka nie zadomowiła się tam tak dobrze jak na LSM-ie.

Na LSM-ie prawie nie ma wielkich nazwisk. Był za to model, w którym władze osiedla oraz lokalni artyści i artystki przygotowali tematy, twórcy i twórczynie przedstawiali projekty, a mieszkańcy od początku uczestniczyli w wyborze. Ta sztuka nie jest spektakularna. To często subtelne realizacje, na przykład mozaiki w przejściach. Ale do dziś bardzo naturalnie splatają się z przyrodą i urbanistyką osiedla.

Spacerując tam, miałem poczucie, że sztuka jest elementem wspólnego dobra, a ludzie czują się gospodarzami tej przestrzeni. To bardzo pragmatyczna funkcja sztuki publicznej. Mniej związana z erudycyjną interpretacją, bardziej z realnym doświadczeniem miejsca.

Może właśnie dlatego sztuka w przestrzeni publicznej tak często wywołuje opór? Nie dlatego, że ludzie jej „nie rozumieją", ale dlatego, że nie uczestniczą w decyzji o tym, że się pojawia.

Bardzo celne! Dzisiaj często brakuje realnego włączenia ludzi w ten proces. Taką oddolną historią jest dla mnie też Nowa Huta. Próbowałem sprawdzić, jak działało to w przypadku Stanisława Małka: czy artysta dostawał pracownię od miasta i miał formalny obowiązek stworzenia czegoś dla przestrzeni publicznej. Okazało się, że to był raczej pewien *savoir-vivre*. Artyści wprowadzali się do Nowej Huty razem z robotnikami, wszyscy lądowali na nowym terenie i po prostu chcieli coś do niego wnieść. Wspólnie, w lokalnych zakładach, tworzyli rzeźby, które potem trafiały na osiedla.

Gdzie w takim razie leży centrum polskiej sztuki?

Białą plamą pozostało dla mnie Podlasie, co jest przewrotne, bo w moich fascynacjach, zwłaszcza sztuką ludową, odkryłem tam prawdziwą skarbnicę. Gdybym miał dziś wymienić twórców, którzy szczególnie mnie inspirują, byłby to na przykład Włodzimierz Naumiuk, rzeźbiarz w drewnie z Podlasia, albo pisankarka Krystyna Cieśluk. Myślę o nich jak o stuprocentowo współczesnych artystach.

Kiedy zacząłem jeździć do mniejszych miejscowości – Szklarskiej Poręby, Tychów, Kołobrzegu – zacząłem sobie wyobrażać drugą część „Ukrytych na widoku", która zupełnie pomija największe aglomeracje. Kończę więc z poczuciem, że będzie ciąg dalszy.

© Rozmawiała ANNA PAJĘCKA

eprasa.pl fbbd995f95

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik Powszechny” zawsze pod ręką

Czytaj wygodnie – w papierze i online. Wybierz prenumeratę łączoną „Tygodnika Powszechnego” i korzystaj jednocześnie z wydania drukowanego oraz pełnego dostępu online.
To najwygodniejszy sposób, by mieć stały dostęp do rzetelnego dziennikarstwa, pogłębionych analiz i najlepszej publicystyki – zarówno w domowym fotelu z papierowym wydaniem, jak i w podróży czy pracy dzięki wersji cyfrowej.

„Tygodnik Powszechny” to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie. Treści „Tygodnika Powszechnego” są unikatowe na polskim rynku prasy.

- Papierowe wydanie z wygodną dostawą
- Pełny dostęp do serwisu online i archiwum
- Dostęp do wydań specjalnych o wartości **120 zł**
- Elegancka torba „Tygodnika Powszechnego” w prezencie

OFERTA CENOWA PRODUKTU ŁĄCZONEGO:

InPost	~~cena 1359 zł~~	**cena promocyjna 983 zł**
Poczta	~~cena 1093 zł~~	**cena promocyjna 995 zł**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków, tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl fbbd995f95

▪ *Jagoda Grondecka,* **EMIRAT TO MY. JAK TALIBOWIE ODBIJALI AFGANISTAN**, *Czarne*

Rok 2021 okazał się dla Afganistanu momentem granicznym. Dla jednych oznaczał koniec wojny i wycofanie NATO, dla innych – zwłaszcza kobiet – moment, w którym wróciło piekło religijnej opresji. W sierpniu ofensywa na Kabul przyspiesza, a żołnierze przeprowadzają chaotyczną ewakuację. Wraz z nimi próbują uciec dziesiątki tysięcy Afgańczyków, często związanych z poprzednią administracją, którzy nie widzą dla siebie życia pod rządami brodatych braci. Wielu z nich, z jedną walizką, na zawsze opuszcza swój kraj. Część pechowców, w desperacji, usiłuje chwycić się już startujących samolotów. W tym czasie na miejscu przebywa Jagoda Grondecka, iranistka i dziennikarka, która osiadła w Afganistanie rok wcześniej, kiedy dni NATO-wskiej interwencji były już policzone. W dramatycznych chwilach ewakuacji, korzystając ze swojej pozycji i kontaktów, próbuje pomóc w wydostaniu jak największej liczby rodzin. Poruszające opisy chaosu, ludzkich dramatów i trudnych decyzji stanowią najmocniejszą część książki. Ale debiut Grondeckiej to nie tylko emocje. To reportaż zbudowany na gęstym materiale faktograficznym, w którym autorka krytycznie przygląda się amerykańskiej interwencji oraz wspieranemu przez nią rządowi, który rozsypał się jak domek z kart. Jednocześnie daje wgląd w mechanizmy funkcjonowania państwa talibów i ich polityki. Grondecka odsłania świat trudny i niezrozumiały, pełen paradoksów, ale też ludzkiej determinacji i nadziei na lepsze jutro. Z fotograficzną precyzją, nie pomijając ani codzienności, ani drobnych gestów solidarności, także wobec zwierząt.
© MACIEJ AUGUSTYN

▪ *Karol Kalinowski,* **PALCE Z KWARCU**, *Kultura Gniewu*

Karol Kalinowski po raz kolejny udowadnia, że rodzima mitologia to doskonały nośnik dla jego talentu. W „Palcach z kwarcu" pokazuje nam Wielkie Imperium Lechickie, w którym młody Wojtek – lubujący się w grze na fujarce błyskotliwy informatyk – zostaje uwikłany w wielki spisek, który może zagrozić porządkowi świata. Jaką rolę odegrają w tym kosmiczni wojownicy o pokój, Helena Trojanowska, parodie narodowych wieszczy i satyra na Trzecią Rzeszę? Tego nie zdradzę, ale z radością informuję, że ta dziwna mieszanka działa i niesamowicie bawi. Choć fabuła nie jest specjalnie skomplikowana i brakuje jej ścisłej struktury, nie poczytuję tego za wadę. Komiks jest raczej zbiorem gagów, które pozwalają narracji płynąć lekko i swobodnie, stawiając w centrum absurdalny, niekiedy groteskowy humor. I choć żarty są w większości proste, to właśnie w tej prostocie leży siła – dialogi pełne są historycznych i kulturowych nawiązań oraz celnych ripost. Kolejne przepychanki słowne między bohaterami służą nie tyle rozbawieniu, co rozbrojeniu czytelnika po to, by kilka stron dalej zaatakować jego osłabioną obronę. Minimalistyczna kreska, pełna kontrola nad czernią (balansującą ciężar przestrzeni), kadrowaniem i perspektywą (co jest szczególnie trudne w przypadku takiej stylistyki) oraz doskonałe wyczucie tempa sprawiają, że kolejne puenty wybrzmiewają jeszcze donośniej. Jedyne, do czego mógłbym się przyczepić, to... objętość. Komiks kończy się zbyt szybko, szczególnie że ma potencjał na rozwinięcie. Cóż, wypada tylko czekać na kolejne tytuły Kalinowskiego – oby w podobnym klimacie. © PAWEŁ KICMAN

MATERIAŁY PRASOWE

▪ **007 FIRST LIGHT**, *IO Interactive A/S*

James Bond nie miał wielkiego szczęścia do gier – ostatnią naprawdę dobrą dostaliśmy prawie 30 lat temu. Dlatego fani postaci stworzonej przez Iana Fleminga mają wreszcie powody do zadowolenia: Szwedzi z IO Interactive nie tylko wiedzą, jak projektować rozgrywkę, ale rozumieją też, z czego składa się dobra szpiegowska historia. Sięgają przy tym do samych początków najsłynniejszego brytyjskiego agenta, opowiadając o tym, jak trafił do „firmy" oraz jak zapracował sobie na licencję na zabijanie. To odważny ruch, szczególnie że historia dzieje się współcześnie, co oczywiście ma swoje konsekwencje nie tylko dla gadżetów, strojów i wizualnej otoczki, ale też dla projektu świata przedstawionego, motywów i rozłożenia akcentów. Trzeba przyznać, że ta operacja udała się znakomicie. „007 First Light" to doskonale wyreżyserowane doświadczenie z ciekawą i emocjonującą – ale też bardzo ludzką – intrygą, typowo bondowskim humorem, odpowiednim rozmachem, niewpadające w pastisz, pozbawione naiwności znanej z niektórych, co bardziej kampowych filmów. Sam Bond, chociaż jeszcze nieopierzony, zachowuje tu swój charakter – chadza własnymi ścieżkami. Niestety, w warstwie samej rozgrywki jest nieco gorzej. Choć widowiskowa, nie osiąga potencjału, który powinna mieć gra szpiegowska. Przede wszystkim kuleje mało rozwinięte skradanie, jest też stosunkowo niewielka ilość opcji na przejście kolejnych poziomów, czy niemal bezużyteczny system blefowania. Większość problemów da się rozwiązać zatrutą strzałką albo szybką bójką na pięści. Mimo to dałem się porwać. Bondowska charyzma w połączeniu z doskonale wykorzystanymi motywami szpiegowskimi złożyła się na kilkanaście godzin brawurowej opowieści.
© PAWEŁ KICMAN

eprasa.pl fbbd995f95

▪ *Boards of Canada*
INFERNO
Warp

Jest w tym jakaś ironia losu, że zespół, który na swoich płytach tak często odnosi się do sekt i kultów, sam uznawany jest dziś za kultowy. Z drugiej strony może trudno się dziwić, że duet Boards of Canada wywołuje tak silne emocje. W końcu bracia Sandinsonowie mieszkają gdzieś na szkockiej prowincji, nie udzielają wywiadów, nie grają koncertów, a ich poprzednia płyta ukazała się trzynaście lat temu. Chodzi jednak nie tylko o styl życia tych producentów muzyki elektronicznej, których twórczość łączy w sobie elementy trip-hopu, ambientu, IDM-u czy downtempo. Od samego początku albumom Boards of Canada towarzyszyła aura niezwykłości. Zagadkowe liczby, tajemnicze tytuły, samplowane wypowiedzi teleewangelistów nakładające się na wyliczanki rodem z „Ulicy Sezamkowej" – to wszystko sprawiało, że wielu słuchaczy szukało drugiego i trzeciego dna ich utworów. Przy czym Szkoci nigdy nie tworzyli muzyki tylko dla wtajemniczonych. Być może jako pierwsi muzycy zaczęli wdrażać na swoich płytach ideę hauntologii, zgodnie z którą nawiedzały je duchy przeszłości i przyszłości, która nigdy nie nadeszła. Wykoślawione melodie z dzieciństwa, sample z przepowiedniami profetów, pieczołowicie zaprogramowane rytmy i psychodeliczne partie syntezatorów składały się na kolaże, które momentalnie działały na emocje. Od czasu ikonicznego „Music Has the Right to Children" z 1998 r. metody pracy Sandinsonów nie zmieniły się tak bardzo – zmieniły się natomiast emocje. Choć Boards of Canada od początku niepokoili się o dalsze losy świata, na pierwszy plan wybijały się nostalgia i zapasy z pamięcią. Z płyty na płytę muzyka Szkotów robiła się bardziej mroczna i klaustrofobiczna. Odpowiadała zmieniającemu się światu, który obserwowali artyści. Może więc nie powinno dziwić, że ich tegoroczna płyta nosi tytuł „Inferno", a jej przesłanie jest, cóż, niewesołe. Ten siedemdziesięciominutowy album nawiedza głos Aleistera Crowleya, religijne pieśni nakładają się na mroczne przepowiednie Nostradamusa, a narkomani opowiadają o tragicznych skutkach brania PCP. Największe wrażenie robi na mnie jednak utwór „Father and Son" zbudowany wokół archiwalnego nagrania, w którym ojciec próbuje przekonać syna do opuszczenia sekty i powrotu do domu. Jeśli to wszystko brzmi doprawdy strasznie, to spieszę dodać, że pobieżny seans z „Inferno" sprawia odmienne wrażenie. Ciepłe ambientowe plamy, powolne syntezatorowe arpeggia, nastrojowe instrumentalne miniatury sprawiają, że kolejne utwory mogłyby z powodzeniem trafić na playlisty z muzyką do pracy, a może nawet – do relaksu. Tym samym Boards of Canada świetnie łapią *zeitgeist*, bo przecież z perspektywy Europy nietrudno uwierzyć, że wszystko jest w porządku.

© JAN BŁASZCZAK

▪ *David Szalay*
CIAŁO, *tłum. Dobromiła Jankowska, Pauza*

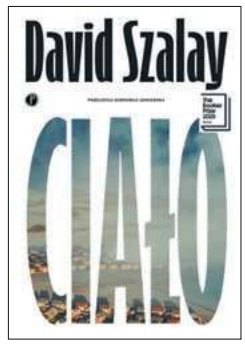

Ta powieść zachwyciła anglojęzyczną krytykę. Nagrodzona w zeszłym roku Bookerem i szeroko dyskutowana, pojawiła się nawet w słynnym i wyznaczającym trendy podkaście piosenkarki Duy Lipy. To szósta książka brytyjskiego pisarza węgierskiego pochodzenia, który polskim czytelnikom może być znany między innymi z „Turbulencji" (2020). Bohaterem najnowszej powieści Szalaya jest István, chłopak z Węgier. Autor rzuca nas po świecie razem ze swoim bohaterem: po kilku pierwszych zdaniach rozdziału każe nam rozpoznać, ile István ma obecnie lat, czym się zajmuje, gdzie jest i co się właśnie wydarzyło, zostawiając nas przy tym z układanką poszlak i białych plam. Informacji jest w sam raz tyle, by podążać za bohaterem, ale za mało, by wydawać na jego temat kategoryczne sądy. Przykład: kiedy István trafia do wojska, jego służba w Iraku opisana jest głównie przez limbo oczekiwania na powrót do kraju. Najpierw pojawia się opis przygniatającej nudy nad hotelowym basenem w Kuwejcie, potem napędzana narkotykami impreza w Budapeszcie. O tym, co naprawdę wydarzyło się podczas wojny, dowiadujemy się dopiero z rozmów Istvána z terapeutką. Wyjaśnienie tego zabiegu pisarskiego tkwi w samej postaci: jako dorosły mężczyzna István nie ufa słowom. Rozmowa z drugim człowiekiem wydaje mu się nieudolnym tłumaczeniem z obcego języka. Słowa, a nawet myśli sprowadzają emocje do ich uproszczonych form i redukują złożoność rzeczywistości. Są niewystarczające, a używając ich, najprawdopodobniej nie zostaniemy zrozumiani. Może to lekcja z powieści Alberta Camusa? Minimalizm i dystans prozy Szalaya sprawia, że momenty, w których István wreszcie opuszcza gardę, eksplodują całą stłumioną wcześniej energią. Warto na ten moment poczekać.

© AREK KOWALIK

TP NA STRONIE „TYGODNIKA"

Co dalej z ustawą o zabezpieczeniu socjalnym artystów, ustawą muzealną i zapisami o rynku książki? Czy zmienią się zasady przeprowadzania konkursów w instytucjach publicznych? Odpowiada ministra kultury Marta Cienkowska.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl fbbd995f95

Czytanka

ANITA PIOTROWSKA

FILM | Dobre intencje i ciekawy materiał wyjściowy to za mało na kino prawdziwie wywrotowe.

Adaptacja wspomnieniowej powieści Azar Nafisi mogła okazać się szczególnie problematyczna w dobie izraelsko-irańskiej wymiany ognia. Bo jakże to – urodzony w Beer Szewie reżyser, po służbie w IDF i przy finansowym wsparciu swojego rządu, bierze na warsztat książkę napisaną przez Irankę. Tyle że mieszkającą dzisiaj w USA i opozycyjną wobec reżymu ajatollahów, co z daleka pachnie izraelską *soft power*.

„Czytając »Lolitę« w Teheranie" okazuje się jednak filmem tak bezzębnym i – jak na ironię – bezpłciowym w swojej formie, że trudno wpisywać go w jakieś bieżące konteksty i widzieć w nim polityczną kontrabandę. Poza tym, że w kwestii irańskich kobiet i reżymu ajatollahów stoi po słusznej stronie historii.

Uznany izraelski filmowiec Eran Riklis zobaczył w opowieści irańskiej pisarki, która przed emigracją prowadziła w Teheranie tajny klub czytelniczy dla kobiet, historię uniwersalną. I chyba właśnie ta uniwersalizacja jest problemem filmu, ślizgającego się po powierzchni społeczno-politycznych problemów, portretów psychologicznych czy historycznych wydarzeń. Ale trudno wyobrazić sobie bardziej elektryzujący punkt wyjścia: oto młoda Azar, uzbrojona w doktorat z anglojęzycznej literatury obroniony na amerykańskim uniwersytecie, powraca do Teheranu tuż po wybuchu rewolucji islamskiej.

Ojciec Nafisi, niegdysiejszy burmistrz irańskiej stolicy, trafił do więzienia za czasów szacha (tej informacji akurat w filmie nie ma), nic więc dziwnego, że jego córka szczerze wierzy w społeczną zmianę. Jeszcze nie musi zasłaniać włosów, choć wśród jej studentów są już gorliwi strażnicy kobiecej moralności, a wkrótce dojdzie do zamieszek i aresztowań. Kiedy więc uniwersytet przestaje być przestrzenią swobodnej debaty, zwłaszcza o zachodniej literaturze, i Azar musi opuścić jego mury, nie rezygnuje całkowicie z pracy dydaktycznej. A w połowie lat 90. otwiera swój dom dla „sióstr" złaknionych zakazanej lektury.

Wszystko to zostało opowiedziane w sposób pobieżny i skokowy, zachowując z grubsza książkowy podział na rozdziały: „Wielki Gatsby", „Lolita", „Daisy Miller"... Kluczowy jest tu oczywiście Nabokov, jakkolwiek tłumaczenie, że w teokratycznym państwie „wszystkie jesteśmy Lolitami", także w znaczeniu męskich projekcji, brzmi mało oryginalnie. Uczestniczki tajnych kompletów z literatury przynoszą do mieszkania Azar swoje osobiste historie – tłumionej seksualności, przemocy domowej czy politycznej, nie sposób jednak zaangażować się w którykolwiek z tych wątków.

Podobnie jak w dylematy samej Nafisi prowadzące do dramatycznej decyzji o emigracji. W tle dzieje się ta wielka Historia: wojna z Irakiem, kult męczenników, kolejne wybory i kolejne niespełnione nadzieje. Do tego absurdy systemu, jak oglądanie w kinie pociętego przez cenzurę „Ofiarowania" Tarkowskiego. Tylko dlaczego przez większą część akcji film nie potrafi wyjść poza grzeczną ilustracyjność?

Ciekawszy okazuje się kontekst kinofilski. Na przykład udział aktorek wyklętych przez irański reżym, a dobrze już zadomowionych w europejskim i amerykańskim kinie. Grająca główną rolę Golshifteh Farahani, zanim pojawiła się w „Kurczaku ze śliwkami" (2011) zmarłej niedawno Marjane Satrapi, a potem w „Patersonie" (2016) Jima Jarmuscha, była w Islamskiej Republice wielką gwiazdą, znaną choćby z „Co wiesz o Elly?" (2009) Asghara Farhadiego. Z kolei Zar Amir Ebrahimi, wcielającą się w jedną z czytelniczek „Lolity", znamy ze szwedzkiego „Holy Spider" (2022) Alego Abbasiego czy z „Tatami" (2023), współreżyserowanego przez nią z innym izraelskim reżyserem, Guyem Nattivem.

Obie aktorki, które spotkały się prawie dwie dekady temu na planie „Shirin" Abbasa Kiarostamiego, mieszkają obecnie we Francji i od lat mają szlaban w swojej ojczyźnie. Zapewne waży on dużo więcej po wystąpieniu w izraelsko-włoskim filmie, gdzie Rzym musiał udawać Teheran, a tamtejszy kampus odtworzono w studiu Cinecittà.

W gruncie rzeczy nie ma o co kruszyć kopii. Dobre intencje i ciekawy materiał wyjściowy w tak doświadczonych reżyserskich rękach i z doborową obsadą to za mało na kino prawdziwie wywrotowe. Słabo też odnajduje się Riklis w celebrowaniu na ekranie siostrzeńskiego buntu, niezależnie od tego, czy wyraża się czytaniem, objadaniem się słodkościami, czy wspólnym tańcem. Zawiodła także podkreślana tu na każdym kroku zbójecka

eprasa.pl fbbd995f95

MATERIAŁY PRASOWE

CZYTAJĄC „LOLITĘ" W TEHERANIE
(„Reading »Lolita« in Tehran") – reż. Eran Riklis. Prod. Izrael/Włochy 2024. Dystryb. Aurora Films. W kinach.

Eran Riklis to izraelski reżyser znany dotąd z filmów, które próbowały uczciwie przedstawić sytuację Palestyńczyków, i często z nimi współpracował przy produkcji. Takie tytuły, jak „Drzewo cytrynowe" (2008), „Misja kadrowego" (2010) czy „Mój przyjaciel wróg" (2012) były nagradzane na najważniejszych festiwalach.

Powyżej: Golshifteh Farahani w scenie z filmu „Czytając »Lolitę« w Teheranie"

potęga słowa, bo to po prostu film kiepsko napisany, pełen suchych ogólników, płaskich porównań i licznych powtórzeń.

Wołanie o irańską demokrację, zwłaszcza w ustach postępowego reżysera z Izraela, mogłoby być ciekawym materiałem do dyskusji o literaturze (i kinie) ponad podziałami – oraz ewentualnych pułapkach takiego myślenia. Czytając irańską „Lolitę" w Tel Awiwie, nie wyszedł Riklis poza schematy poznawcze czy narracyjne i nawet nazwisko pisarki, firmujące adaptację, nie pomogło. Ci zaś, którzy znają literacki pierwowzór, rozpoczynający się wierszem Czesława Miłosza, bywają w tej ocenie jeszcze surowsi.

I byłby to być może seans całkowicie zbyteczny, gdyby nie finał, kiedy podczas napisów końcowych pojawia się, trochę na amerykańską modłę, materiał archiwalny. Czyli fragment koncertu, na którym Farahani wespół z wokalistą Shervinem Hajipourem i zespołem Coldplay wykonuje „Baraye" – hymn irańskich protestów sprzed kilku lat. Hajipour napisał go po śmierci Mahsy Amini, młodej Iranki aresztowanej za nieprzepisowe noszenie hidżabu i zmarłej w niewyjaśnionych okolicznościach, prawdopodobnie w następstwie pobicia.

Najsłynniejszy irański *protest song* trafił oczywiście na listę utworów zakazanych, a jego autor do więzienia, lecz udało mu się wyjść za kaucją, podczas gdy piosenka, odtwarzana przez miliony internautów na całym świecie, rychło stała się viralem i zdobyła w 2022 r. nagrodę Grammy.

Przypomnijmy: tekst „Baraye" to lista „intencji" zamieszczanych przez młodych Irańczyków i Iranki w mediach społecznościowych. Układa się w przeszywającą litanię bardzo zwyczajnych tęsknot i pragnień, jakie napędzały jeszcze niedawno wychodzących na ulice. Gdzieś pomiędzy wierszami, obok prawa do tańca i normalnego życia, są też oczywiście książki i wielka szkoda, że ów doklejony epilog aż tak mocno odstaje od fabuły. Do bólu czytankowej i poprawnej, zwłaszcza w zderzeniu z wyśpiewanym skowytem Hajipoura. ©

Lektor:
Mroczna klasyka

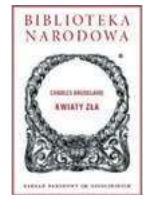

▪ *Charles Baudelaire,* **KWIATY ZŁA,** *wstęp i opracowanie Tomasz Swoboda. Wydanie pierwsze. Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Biblioteka Narodowa. Seria II. Nr 269.*

KARUZELA ZMIAN DOTYKA TAKŻE KULTURĘ, A NAJTRWALSZE z pozoru instytucje okazują się śmiertelne. Miło stwierdzić, że najstarsza nasza seria wydawnicza ma się dobrze, ostatnio ukazały się w niej: pierwsze pełne polskie wydanie „Robinsona Cruzoe", antologia opowieści chasydzkich, XVIII-wieczna powieść holenderska, no i kolejne wznowienia polskich klasyków, do których grona włączono m.in. Lema, Konwickiego i Barańczaka.

Wydanie „Kwiatów zła" to wydarzenie. Po pierwsze, zgodnie z regułami serii otrzymujemy najpierw treściwą monografię autora. Po drugie, mamy przegląd polskiej recepcji Baudelaire'a i analizę problemów, z jakimi borykać się musieli tłumacze. A po trzecie – wielka poezja się nie starzeje, nawet jeśli dzieło jednego z ojców nowoczesności nie brzmi już skandalicznie i dziś nie doczekałoby się procesów sądowych.

„Rzecz ciekawa, a do czytania nieprzyjemna; rażą dobry smak estetyka, a filozofa zajmują, jak szpetna choroba zajmuje doktora medycyny". Tak o dziełach Baudelaire'a pisała w 1869 roku w „Bibliotece Warszawskiej" Zofia Węgierska, bywalczyni paryskich salonów, pisarka i przyjaciółka Norwida. Autor „Kwiatów zła" od dwóch lat nie żył; autorka tych słów też wkrótce umrze.

Pierwsze polskie wydanie „Kwiatów grzechu" to rok 1894; tłumaczami byli Antoni Lange oraz Adam M-ski. Ten ostatni to Zofia z Mańkowskich Trzeszczkowska. Żona rosyjskiego oficera, towarzyszyła mu w męskim przebraniu podczas wojny z Turcją, potem zaś zaszyła się w rodzinnym dworze na Białorusi, pracując nad przekładami z francuskiego, prowansalskiego, angielskiego, portugalskiego i czeskiego (!). Kontaktowała się z warszawskimi redakcjami wyłącznie listownie.

Nie będzie przesadą stwierdzić, że Baudelaire stał się jednym z ojców Młodej Polski. W następnych latach tłumaczyli go też Jastrun, Ważyk, Bieńkowski i Międzyrzecki. Lem mawiał, że gdyby chciał kogoś przekonać o wybitności Szymborskiej, pokazałby mu „Albatrosa" w jej przekładzie. Pojawiło się zjawisko w postaci Ryszarda Engelkinga, świetnego zarówno jako matematyk, jak i jako tłumacz. Swoboda dedykuje mu swoje opracowanie, ale też obficie korzysta z tłumaczeń informatyka Marcina Ciury. Ciura otrzymał nagrodę „Literatury na Świecie". Jak to się stało, że nie znalazł wydawcy i opublikował książkę własnym nakładem? ©℗

eprasa.pl fbbd995f95

PAWEŁ

Bravo:
Donald Nadęty

Osiemdziesiąt sześć i czterdzieści siedem – nie tylko u kabalistów liczba wypowiedziana w niewłaściwej chwili przez niedouczonego adepta może okazać się przekleństwem, sprowadzić katastrofę. W tym przypadku lekkomyślne użycie wymienionych numerków może was pozbawić wizy amerykańskiej lub narazić na deportację. Czterdziesty siódmy prezydent to oczywiście Donald Trump, a tak zapisany szyfr jest życzeniem prędkiego jego odejścia.

Rzecz to wiadoma w gronie pasjonatów książek i filmów o amerykańskiej gastronomii (właśnie były urodziny nieodżałowanego Anthony'ego Bourdaina!), że kod 86 oznacza w slangu pracowników zaplecza „danie spada z karty" albo „do wywalenia". 81 to szklanka wody, a 89 to „bardzo ładna klientka" – rzecz jasna w dusznych kuchniach lub zmywakach padłoby zgoła inne wyrażenie. Sądzę, że nadal do takich miejsc nie dotarły przemiany poprawnościowe, jakkolwiek wspomniany Bourdain bardzo pod koniec życia kajał się za knajackie opowieści. 86 47 jest zatem amerykańskim odpowiednikiem tego, co rosyjskojęzyczni Ukraińcy wyrażają kombinacją liter PTN PNCh – oczywiście zapisanych cyrylicą.

Jakiś agent sił wrogich szczęściu Ameryki niedawno wypalił te liczby na trawniku w obrębie kompleksu parkowego National Mall w Waszyngtonie. Liczby, co prawda, widać tylko wysoko z góry, a i to ledwo ledwo, robota nie była staranna, efekt osiągnięty tylko dzięki złośliwym mediom. Zupełnie jak z monumentalną, długą na 600 metrów sadzawką przed mauzoleum Lincolna, tuż obok owej nieszczęsnej łączki. Pamiętacie ją na pewno, była tłem „najszczęśliwszej chwili w moim życiu" Forresta Gumpa, który biegnie po kolana w wodzie, by się wyściskać z Jenny. Osoby o bardziej patetycznym usposobieniu mogą sięgnąć do archiwalnych zdjęć z marszu, pod którego koniec Martin Luther King, patrząc na tenże akwen, ogłaszał, iż ma pewne marzenie.

Sadzawka stwarzała problemy od stu lat, jest trudna do utrzymania w czystości, wszystko tam się nadaje do wymiany. Trump obiecał, że załatwi to w dwa tygodnie, i zawołał bez przetargu facetów, którzy robią mu baseny przy polach golfowych. Trochę uszczelniono podłoże i system filtrujący wodę (pochodzi z rzeki, więc jest żywa), a potem dno wymalowano na granat taki jak na fladze, żeby było ładnie i paradnie, w sam raz na 250-lecie niepodległości. Cóż, glony zakwitły po paru dniach, a farba z dna zaczęła odpadać płatami. Prezydent twierdzi, że to sabotażyści wleźli nocą w gumiakach i ją pocięli, aresztowano spacerowiczów, którzy się pochylali, by

EVELYN HOCKSTEIN / REUTERS / FORUM

pomacać kawałki. Na razie jeszcze nie doniesiono o zatrzymaniu tych, co sikając perfidnie do sadzawki, wzbogacili ją w życiodajny azot. Próbowano zwalczać życie, lejąc wodę utlenioną z baniaków, ale bez skutku. Ten żałosny widok jest słusznie uznawany za świetny symbol ogromu nadęcia tej prezydentury, świetny, bo bezkrwawy, wolno się śmiać.

W sumie to ludzie z mojego pokolenia i nawet nieco młodsi powinni do dziś mieć odruchowe skojarzenie imienia Donald z balonem (Panie Premierze, przepraszam, dziś nie o Panu). Nie wiem, czy ktoś robił rankingi marek gum do żucia pod względem ich zdatności do tworzenia balonów, w każdym razie my, dzieci PRL, marzyliśmy o Donaldzie, bo innych system sprzedaży dewizowej nie rozprowadzał. Z jakiegoś powodu ta zdolność wydęcia ustami różowego balona była najwyższą sprawnością beztroskiego dzieciństwa w latach 70. i 80. (o wcześniejszych niech opowiedzą starsi). Sam tego nie umiałem, czułem się gorszy, choć gumy z disnejowskim komiksem trafiały do mojej kieszeni. Spoczywały tam obok oranżadek w proszku wyjadanych z poślinionej dłoni i przeróżnych, całkiem chyba smacznych cukierków, które poznikały nam z imaginarium współczesnego łakomstwa.

Na ten zanik zwrócił mi uwagę Łukasz Modelski w swej książce „Paprykarz z prodiża". Często przywołuję tego autora, erudytę, a zarazem bonwiwanta, bo jest jak mój bliski, tyle że mądrzejszy i pracowitszy kuzyn w dziele oddawania słowem smaków i obyczajów. Tym razem dał nam opowieść o wszystkich „ikonach" peerelowskiego jedzenia, choć ikona to może zbyt piękne słowo, często to była zdarta kalkomania. Ale gdyby tylko tyle, to bym was nie zachęcał, bo każdy i każda z nas po-

eprasa.pl fbbd995f95

Malowanie dna sadzawki przed mauzoleum Lincolna. Waszyngton, 14 maja 2026 r.

trafi bez pomocy książek zbudować sobie ołtarzyk nostalgii za geesowskim chlebem czy twarogiem ze szmaty.

W tej książce jest wiele więcej niż nostalgia podszyta rytualnym westchnieniem „ale było ciężko" (cóż, w kolejkach stali rodzice): jest sporo trafnych uwag o tym, jak posiłek w PRL, jego formy i składniki były, owszem, efektem niewydolnej gospodarki i ideologii, ale przy tym wpisywały się w jakiś nasz, tutejszy i bardzo wolno zmieniający się arcypolski tryb jedzenia. Czyż nie było tak, że bardzo złe zaopatrzenie zapewniało rozkwit wielkiej, ginącej dziś sztuki marynowania, kiszenia i wekowania? Czyż nie jest tak, że wyćwiczeni w zabawie w chowanego, jaką uprawiała z nami propaganda, nauczyliśmy się rozumieć, że w produkcie jego nazwa i to, co się próbuje nam przez nią wcisnąć, jest drugorzędne wobec materialnej prawdy o jego smaku?

Nazwy odzyskały swoje znaczenie i salami to wędlina, a nie tylko walcowaty ser, który zresztą, jak przypomina książka, smakował raczej jak kaszkawał (przy czym ówczesny kaszkawał z kolei nie przypominał tego, co dziś jemy jako caciocavallo). Ale więcej w historii polskiego smaku jest ciągłości, której moje i wasze pokolenia jesteśmy często nieświadomym nośnikiem, co brzmi dumnie. Ta książka przywraca, być może jako jedna z ostatnich, jakąś podstawową godność naszym sponiewieranym oranżadką podniebieniom w świecie na pewno bogatszym w smaki, ale może uboższym w radość.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Salami czekoladowe

SKŁADNIKI:
300 g herbatników petit beurre (nie muszą być wcale te najlepsze) 120 g cukru 130 g masła 5 łyżek kakao 2 jajka ▪ rum

Nie wypieram się, jadam ser salami – zwłaszcza ten z Radzynia Podlaskiego – choć zdaję sobie sprawę, że to jest inna półka i nie należy go kłaść obok np. mojej ulubionej młodej goudy, od jakiej uzależnił mnie Alex, niderlandzki łącznik na targowisku przy Fortecy. Po prostu pewne porównania są bez sensu, a każda rzecz z osobna ma swoją, no właśnie, godność.
A co się tyczy salami, to nie my jedni nadużywamy tej nazwy dla określenia rzeczy o kształcie walca. Włoskie dzieci do dziś jadają salami czekoladowe, które w Piemoncie nazywa się nawet „salami papieskim" (prawdopodobnie z racji tego, że to udawana kiełbasa, którą można jeść w poście). W archiwum „Tygodnika" możecie znaleźć przepis z topioną czekoladą, dziś spróbujemy wersję bardziej wytrawną, w sumie łatwiejszą, bo nie trzeba ucierać masła z cukrem, ale – uwaga! – tak czy siak się przy pracy mocno pobrudzicie, załóżcie fartuch i miejcie pod ręką mokrą ścierkę.
Kruszymy herbatniki, łączymy dokładnie z cukrem i kakao. Dodajemy rozkłócone jajka, mieszamy (na początku będzie trudno), wlewamy stopniowo stopione wystudzone masło, dalej mieszamy, dodajemy łyżeczkę rumu (jeśli deser będą jedli tylko dorośli). Kiedy masa będzie jednolita, dzielimy ją na pół, każdą połówkę formujemy w wałek o przekroju ok. 4 cm na arkuszu papieru do pieczenia, bardzo szczelnie zawijamy (możemy dla ułatwienia na tym etapie przenieść na folię aluminiową), wkładamy na parę godzin do zamrażarki. Kiedy stężeje, przekładamy do lodówki. Na wydaniu, żeby przypominało salami i jego białą pleśń, posypujemy cukrem pudrem.
Wersja „papieska" z Piemontu przewiduje zastąpienie połowy herbatników siekanymi orzechami laskowymi. ©℗

ALEXANDERON / ADOBE STOCK

eprasa.pl fbbd995f95

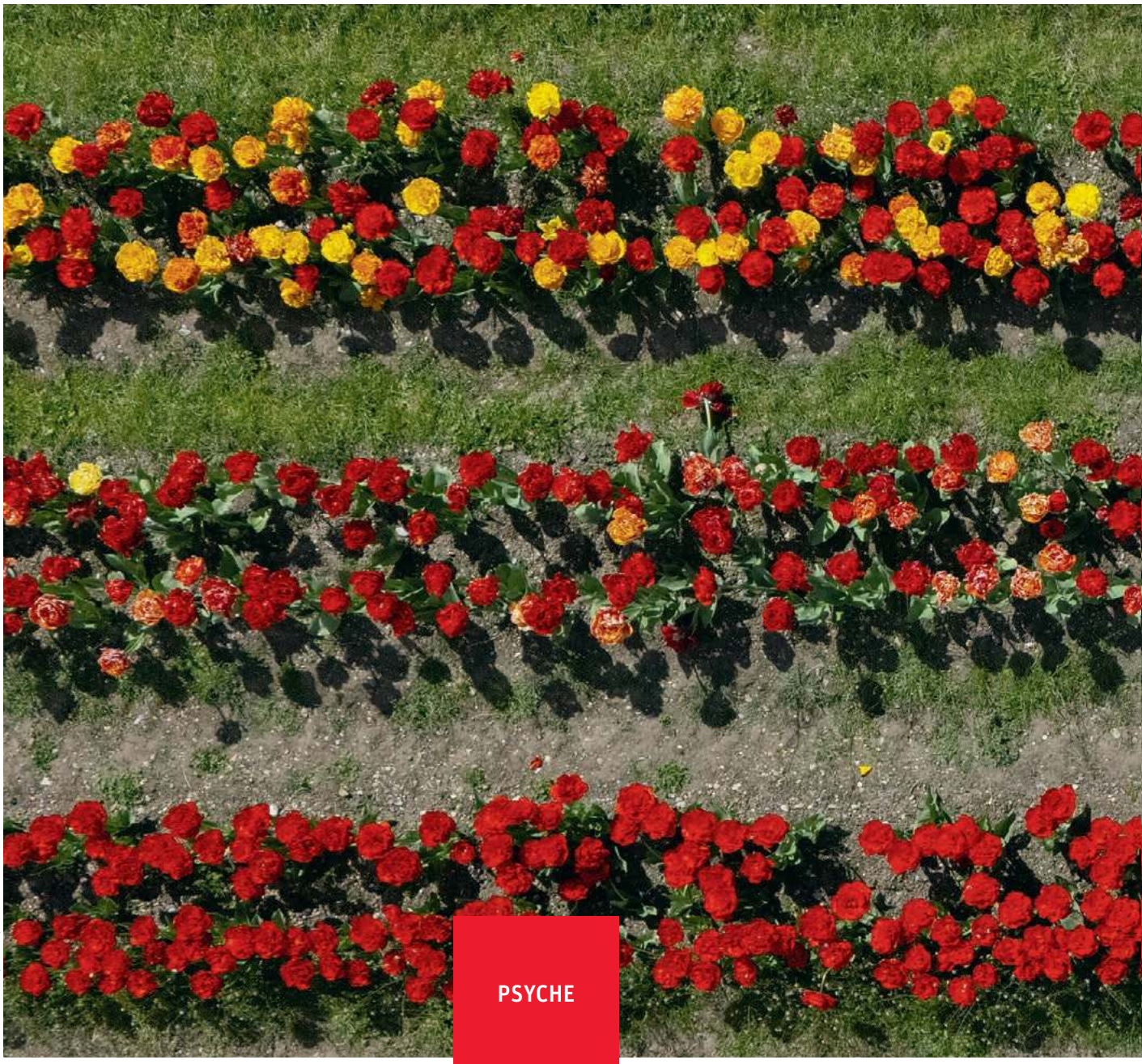

TOLGA AKMEN / EPA / PAP

PSYCHE

DOTKNĄĆ, ŻEBY ZROZUMIEĆ

Nie potrzebujemy już kolejnych statystyk udowadniających szkodliwość aplikacji czy mediów społecznościowych. Potrzebujemy filozofii codzienności.

MICHAŁ TOMCZUK

eprasa.pl fbbd995f95

Pole tulipanów w St Albans w hrabstwie Hertfordshire. Wielka Brytania, 20 kwietnia 2026 r.

Dźwięk alarmu wstrząsa twoim ciałem. Na oślep mierzysz dłonią w stronę telefonu. Powiodło się: hałas ustąpił miejsca ciszy. Wiercisz się, przeciągasz. Wyjmujesz jedną nogę spod kołdry i na moment zapadasz w półsen. Ponieważ nic tak dobrze nie cuci jak blask ekranu, łapiesz w końcu telefon i najzwyczajniej w świecie się gapisz.

Podobnie robisz przy śniadaniu i na światłach, w drodze do autobusu. A potem w autobusie. W drodze z przystanku do pracy i w windzie biura. Sprzątasz mieszkanie, a potem gotujesz kolację, także wgapiony. Gapisz się w telefon nawet kiedy partner albo partnerka opowiada ci o swoim dniu, choć obiecałeś, że już nie będziesz. Ale on albo ona, mówiąc do ciebie, także się gapi. I wasz przyjaciel tak samo. A także wasze dzieci, twoja matka. I cały świat – przynajmniej ten, który pojawił się w dopasowanym do twoich zainteresowań algorytmie.

Świat na ekranie potrafi być bardziej absorbujący od świata poza nim. Bo czy prawdziwe życie ma w swoim arsenale muzykę, która najdokładniej określa nastrój tego wieczora? Posiada tak zmyślne cięcia, sprawną pracę kamery? Spowolnienie, przyspieszenie, rwącą narrację?

Rzeczywistość medialna jest pod każdym względem bardziej angażująca. W efekcie nie tyle doświadczamy codzienności, co spędzamy ją w stanie stałego rozkojarzenia.

Wokół ścierki

Oczywiście, można, a nawet należy krytykować za ten stan rzeczy tych, którzy stworzyli cyfrowe światy platform ↦

eprasa.pl fbbd995f95

↦ społecznościowych. Warto jednak posłużyć się spichlerzem myśli filozoficznych (one też się czasem na coś przydają), by poszerzyć rozmowę o wpływie socjali na dotychczasową codzienność.

Bo może nie potrzeba nam kolejnej statystyki, która wskaże negatywne skutki aplikacji takich jak Facebook, Instagram czy TikTok na mózgi młodych i dorosłych. Może zamiast tego potrzebujemy filozofii codzienności, która nie tyle zdeprecjonuje hiperrealizm świata digitalnego, co będzie gotowa mu świadkować.

Otóż mamy taką filozofię: została wyrażona w „Szczelinach istnienia", kultowej książce Jolanty Brach-Czainy z początku lat 90. Bazuje ona na prostym, naiwnym wręcz założeniu: rzeczy nie są takie, jakie nam się jawią na powierzchni. Można się w nich całkiem dosłownie zanurzyć, o ile oczywiście ma się czas, chęci i pewną wrażliwość na to, jakie są naprawdę.

Brach-Czaina jest w tym sensie realistką: uznaje, że każdy przedmiot jest nośnikiem głębokiej prawdy o sobie samym. Ta z kolei istnieje w szczelinie jego bycia niezależnie od tego, czy chcemy w nią wnikać, czy nie. Przy czym autorka nie traktuje filozofii jako hermetycznej, niedostępnej dla zwykłych śmiertelników nauki. Tym również wyprzedza wielu mędrców, w tym wielu jej poprzedników, którzy całe swoje życie poświęcili objawianiu ludzkości „prawdziwej architektoniki" świata czy też jego „fundamentów".

W „Szczelinach istnienia", zamiast podstawy, na której ma opierać się całe istnienie, otrzymujemy szczegółowy zapis (lub opis) małych, pozornie błahych rzeczy, takich jak owoc wiśni lub ścierka do podłogi. Dla filozofki to konkretne, namacalne przedmioty, a nie idee, stanowią o naszym świecie. Sens rzeczywistości nie jest skumulowany w jednym (abstrakcyjnym w dodatku) punkcie, a rozproszony po wszystkich drobinach materii.

Warto go poznać nadgryzając, rozcinając, dotykając opuszkami palców. Jest delikatny, jędrny; chowa w środku pestkę o nieco ostrym obramowaniu – jak w przypadku owocu wiśni. Ścierka do podłogi nie posiada tych atutów. Jest oślizgła i wilgotna albo zesztywniała, kiedy wyschnie. Cechuje ją jednak większa powaga: to ona zbiera na sobie cały brud czystych mieszkań. Jest świadectwem ciągłej walki z siłami entropii. To zadanie iście metafizyczne.

Wewnątrz szczelin

Nie bez powodu na wydziałach filozofii w całej Polsce „Szczeliny istnienia" wciąż posiadają rangę książki kultowej. Bo Brach-Czaina nie tyle pragnie przekonać swoich czytelników do tego, że świat wokół nas ma jakiś sens, co pokazuje na przedmiotach wyrwanych codzienności, że sens jest ukryty wszędzie. Wystarczy podjąć trud wnikania. Zdaje się jednak, że ten proces zostaje przerwany, zanim ma okazję dobrze się rozkręcić. Czyli w momencie, kiedy otwieramy socjale.

Wejrzenie w szczelinę istnienia wymaga czasu, uwagi, skupienia na życiu. Nie jest to możliwe, jeżeli filtrujemy je przez wyskakujące z prędkością karabinu maszynowego treści na ekranie telefonu. Ale przecież, jeśli się nad tym zastanowić, kiedy gapimy się w książkę, świat również nas omija.

Różnica jest jednak zasadnicza: książka przyzywa do życia. Jest namacalna, można wyodrębnić ją ze wszystkich innych książek na całym świecie. Z kolei, dajmy na to, dobra rolka na Instagramie czy TikToku zdaje się pływać w oceanach bezczasu. I rzadko przyzywa do życia. Platformy społecznościowe są bowiem skonstruowane tak, aby przedłużać nasz bezruch. To z kolei oddala nas od świata, w którym nie mamy wyboru – musimy pozostawać świadomi.

Zwyczajne istnienie, czyli pułapki raw-doggingu

Ten fakt, co ciekawe, szczególnie dobrze oddają właśnie trendy obecne na platformach społecznościowych. Na przykład tzw. raw-dogging, który fetyszyzuje życie sprzed socjali. Polega on na kompletnym porzuceniu telefonu i innych form rozrywki, by w zamian oddać się nicnierobieniu.

Naturalnie ten, kto raw-dogguje, powinien wstawić na socjale wideo pokazujące, jak skutecznie nie sięga po telefon. Zresztą urządzenie i tak stoi obok, bo przecież nagrywa twórcę. Ten z kolei siedzi, patrząc przed siebie, zwyczajnie istniejąc. Słowem: gapiąc się na świat.

Raw-dogging praktykuje się podczas długich podróży w zamkniętych przestrzeniach, takich jak samolot czy pociąg, gdzie sięganie po wszelkiego rodzaju ekrany zdaje się jedyną alternatywą do wytrzymania udręki. Niemniej znajdziecie w swoim telefonie również materiały ukazujące raw-doggerów siedzących w swoim mieszkaniu i tam praktykujących szlachetne nicnierobienie. Trend przypomina nieco zdekonstruowaną, pozbawioną filozoficznych i religijnych konotacji formę medytacji. Tak naprawdę ma jednak na celu po prostu imitować codzienność starszych pokoleń, której Zetki zwyczajnie nie zaznały.

Możemy więc zadać sobie następujące pytanie: czy pokolenia dorastające ze smartfonem w ręku postrzegają życie sprzed ery socjali tak, jakby ich rodzice i dziadkowie codziennie dostępowali nirwany z uwagi na brak rozkojarzeń? Przy czym istotne, że ów akt fetyszyzacji istnieje na tych samych platformach społecznościowych, do których porzucenia ma jednocześnie skłaniać. Raw-doggujące społeczności jednocześnie kpią ze swojego znerwicowania i ciągłej potrzeby bodźców, jak korzystają z generujących ów stan mediów, aby to wyrazić. To chyba najlepiej pokazuje, jak nieodzowne stały się one dla ludzkiej interakcji ze światem.

Po drugiej stronie medialnego rozumienia codzienności jest ukryty strach przed tym, co pospolite. Niechęć do prozy życia sprawia, że socjale pękają w szwach pod naporem treści ukazujących, że nasze życia są jak najbardziej niecodzienne. To z kolei przyczynia się do rosnącego wstydu wobec nieco zbyt codziennej codzienności odbiorców takich treści.

Dzień mija za dniem, a bierny obserwator coraz bardziej traci przeświadczenie o ich istotności.

Nieustanny rytm

Właśnie z uwagi na to najbardziej rewolucyjną tezą Jolanty Brach-Czainy wydaje się dziś ta o głębi znaczeń znajdujących się w prozie życia: sens kryje się w krzątaniu od jednego małego zadania do drugiego. Bo, zgódźmy się z filozofką, taka właśnie jest codzienność: krzątacza. Nie przespać budzika, wstać z łóżka, pościelić łóżko. Zjeść śniadanie, zdążyć na autobus. Pojawić się na spotkaniu, które mogło być mailem. Zjeść coś (wreszcie). Wypróżnić. Czas płynie, dzień minął. Jutro od nowa.

eprasa.pl fbbd995f95

MACIEJ ZIENKIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

JOLANTA BRACH-CZAINA (1937-2021) była profesorką filozofii. Studiowała w Warszawie i Paryżu. Autorka m.in. „Szczelin istnienia" (1992) i „Błon umysłu" (2003), które podpisała jako „Jolanta, córka Ireny, wnuczka Bronisławy, prawnuczka Ludwiki". Zapytana o to przez Katarzynę Kubisiowską tłumaczyła na łamach „Tygodnika", że podkreślanie kobiecego rodowodu jest dla niej „odpowiedzią na męską cywilizację, która przerywa związki między kobietami i wymazuje ślady tych powiązań". Na temat poznawania świata mówiła z kolei: „jeśli mogę czegoś dotknąć, dotykam. A jeśli piszę o tym, to dlatego, że uważam, że dotyk jest w literaturze pomijany i zdominowany przez wrażenia wzrokowe".

Nie tylko człowiek, ale „i mrówka, i żuk gnojak" krzątają się między różnymi obowiązkami. Każda z tych czynności jest pozornie bez większego sensu. Niemniej, zdaniem Brach-Czainy, to właśnie nasze codzienne krzątanie skrywa w sobie głęboką prawdę na temat istnienia. „Gdy wsiadamy do autobusu, pochłania nas to kompletnie. Obserwacja doświadczenia codziennego, które wciąga nas w nieustanny rytm zaangażowania i obojętności, pozwala odkryć, że codzienność układa się w formy dramatyczne", pisze filozofka.

Formy dramatyczne, o których czytamy u Brach-Czainy, trwają zaledwie chwilę, zanim stracą swoje znaczenie. Mając to na uwadze, możemy odpowiedzieć sobie na pytanie, jak portale społecznościowe odciągają nas od własnego krzątania się po codzienności. Bo jeśli zarówno przed, jak i po, a czasem w trakcie wykonywania prozaicznych obowiązków jesteśmy zajęci obserwacją czyjegoś życia, nasze bezpowrotnie mija.

Z uwagi na odczuwany brak sensu poszukujemy tym większej ilości treści z ekranu. Wreszcie stajemy się przebodźcowani krzątaniem, bo przecież nie tylko poszukujemy szczelin istnienia we własnej codzienności, ale i w codzienności twórców na naszym feedzie.

Łuskanie fasoli

Kiedy Jolanta Brach-Czaina pisała „Szczeliny istnienia", nie miała pojęcia, że kolejne pokolenia zaczną albo fetyszyzować krzątanie się, albo je znienawidzą. Wiedziała jednak, że ciężko nam pojąć sens aktywnego uczestnictwa w codzienności nawet bez współczesnych rozkojarzeń. Dlaczego? Bo krzątanie się jest wycieńczające. Właśnie na tym wycieńczeniu żerują platformy społecznościowe.

Czy da się krzątać tak jak kiedyś, czyli bez pośrednictwa socjali? Bo te z konieczności generują podział na twórców i odbiorców. Interakcja w nich jest tym bardziej skuteczna, im bardziej odbiorca pasywnie przyjmuje treści. Czy więc koniecznym jest, aby każdy z nas stał się w pewnym stopniu twórcą, aby doświadczać codzienności w bardziej świadomy sposób?

Jak powrócić do satysfakcji z codzienności? Oto pytanie bez jednej właściwej odpowiedzi. Sugeruję na początek następujące rozwiązanie: zacznij udawać, że raw-doggujesz, tylko tego nie nagrywaj. Ewentualnie łuskaj fasolę albo wykonuj równie nudną i niepotrzebną nikomu czynność. Przyda ci się do zintensyfikowania samoświadomego życia.

Wreszcie: odłóż telefon i, z perspektywy trzecioosobowej, przyjrzyj się swojej porannej rutynie. Idę o zakład, że będzie wyglądać jak niżej.

Wielkie mrowisko

Dźwięk alarmu wstrząsa twoim ciałem. Na oślep mierzysz dłonią w stronę telefonu. Powiodło się. Zdołałaś trafić w odpowiedni fragment ekranu. Nastaje męcząca cisza. Tym razem dasz radę? Wiercisz się, przeciągasz. Wyjmujesz jedną nogę spod kołdry, zapadasz w półsen. Ponieważ nic tak nie cuci jak blask ekranu, sięgasz po telefon.

A! Przecież miało być bez telefonu. Bierze cię złość. Zwykle przecież minutę po obudzeniu przeglądasz zdjęcia z wczorajszego wieczoru, z imprezy koleżanki niewidzianej od lat. Weź oddech. Oddychasz. Stale, nieprzerwanie, od dekad. No, czasem z przerwami, np. wtedy, kiedy zanurkowałaś na pięć metrów i niemal ci bębenki w uszach rozsadziło. Miałaś pięć lat. Byłaś na wakacjach z rodziną.

Trzeba wstać. Dzień powszedni nie tyle jest dziś syzyfową robotą, co platformą dla setek różnych doświadczeń. Momentami jest oczywiście nieco absurdalny. Sielanka śniadania przerwana pędem do autobusu. Praca, której nie należy brać zbyt poważnie (nawet jeśli jest poważna), bo jesteś przecież tylko mrówką w wielkim mrowisku, a to mrowisko jest na małej planecie Ziemia, która sobie fruwa przez wielki kosmos. O sens tego nie musimy przecież nawet pytać. © MICHAŁ TOMCZUK

Autor jest filozofem i dziennikarzem TVP. Laureat konkursu dla młodych reporterów w ramach ogólnoeuropejskiego programu Perspectives.

eprasa.pl fbbd995f95

TOMASZ

Stawiszyński:
Stan polaryzacji

Wnioski z raportu „Stan polaryzacji 2026", opublikowanego właśnie przez Fundację Nowej Wspólnoty i Uniwersytet SWPS, są tylko z pozoru zaskakujące. Owszem, na pierwszy rzut oka może się to wydawać osobliwe: żywimy intensywne negatywne emocje wobec tych, którzy „myślą inaczej" (przyznaje się do tego ponad 80 proc. badanych), a zarazem realne różnice w poglądach wcale nie są wśród nas aż tak duże. Najbardziej antagonizującym tematem, co również nie dziwi, jest aborcja, niemniej w wielu kwestiach – np. niezależności sądów czy dostępności do opieki zdrowotnej – panuje raczej konsensus. Nawet tam jednak, gdzie różnice są wyraziste, rozkładają się one zazwyczaj na kontinuum, a nie na skrajach, a to właśnie rozkład na skrajach jest cechą definicyjną tzw. polaryzacji ideologicznej.

Napisałem, że się to może wydawać na pierwszy rzut oka dziwne, bo w „pierwszych rzutach" reagujemy często odruchowymi skojarzeniami i obiegowymi opiniami. Jedna z nich głosi, że zjawisko polaryzacji wynika z różnicy poglądów politycznych, i że tam właśnie, gdzie są one największe, ludzie najbardziej się nienawidzą. Tymczasem raport pokazuje, że bardzo wysoka polaryzacja afektywna, czyli emocjonalna, istnieje tam, gdzie ideologiczna pozostaje umiarkowana. Dlaczego?

Odpowiedź wydaje się oczywista – w polaryzacji afektywnej nie chodzi tak naprawdę o poglądy. Są one drugo-, a czasami trzeciorzędne względem pierwotnego mechanizmu. Do tego dochodzi inna prawidłowość, znana skądinąd z teorii ewolucji – najbardziej zajadła walka o przetrwanie toczy się między grupami, które są do siebie podobne. Rzecz więc nie w różnicy, lecz w podobieństwie – choć w przypadku spolaryzowanych stron wypowiadanie na głos tej prawdy stanowi tabu, za którego złamanie otrzymuje się straszliwe piętno „symetrysty".

Z drugiej strony widać to gołym okiem – najbardziej irracjonalne i zradykalizowane skrzydła stosują dokładnie te same schematy poznawcze, inne, choć wymienne, są tylko słowa, którymi oznaczają dobro i zło, sympatie i antypatie, swoich i obcych. Nienawiść, rechot i pogarda nie mają politycznej barwy, brzmią i smakują identycznie, niezależnie od tego, w imię których „ideałów" się je uruchamia. To kolejne tabu – każdy obóz uważa bowiem, że z rozmaitych powodów ma prawo do takich zachowań.

Ale znacznie ciekawsze – i ważniejsze – wydaje się w tym kontekście pytanie, czym w istocie jest zjawisko polaryzacji? Z czego, jeśli nie z różnicy poglądów, wynika? Czy jest manifestacją głębokich podziałów, mających źródło w odległej historii? Czy bierze się ze zbiorowej i indywidualnej psychologii? Czy służy uspójnianiu i upraszczaniu obrazu świata, dzieleniu go na światło i ciemność, co zwłaszcza w epoce niepewności spełnia funkcję kojącą? Czy też jest w głównej mierze efektem urządzenia społecznego – spadku zaufania, erozji poczucia sprawiedliwości, kompromitacji elit, nieczynnych i niesprawnych instytucji? A może kluczem doń są deficyty edukacyjne? Brak zrozumienia, czym jest demokracja – różnorodna przestrzeń, w której odmienności współistnieją i uznają się nawzajem, nie dążąc za wszelką cenę do jednolitości?

Zadaję te pytania, choć nie znam na nie odpowiedzi, zresztą raport Fundacji Nowej Wspólnoty i Uniwersytetu SWPS również ich nie udziela. Zdaje mi się jednak, że płynący z niego główny wniosek – polaryzacja afektywna nie bierze się z odmienności poglądów, przybiera tylko ów kostium – sam niesie zdecydowany potencjał depolaryzacyjny. Uświadomienie sobie tkwiącego na głębszym poziomie podobieństwa – zwłaszcza że dotyczy ono dobra wspólnego: sprawiedliwości, zdrowia, bezpieczeństwa – może wytrącić spolaryzowany umysł ze stanu zajadłości. Zarazem to wcale przecież nie oznacza – co jest akurat dobrą wiadomością dla ludzi żywiołowo włączonych w polityczne spory – że musi on porzucić swoje zaangażowania i stopić się z kimś, kto identyfikuje się z inną postawą.

Wręcz przeciwnie – dopiero efektywnie zdepolaryzowani przeciwnicy są w stanie toczyć ze sobą pełnowymiarowe potyczki. Pomyślmy: o ile ciekawsze byłyby dyskusje w programach publicystycznych, o ile bardziej inspirujące wymiany w mediach społecznościowych, o ile błyskotliwsze spory pomiędzy politykami w Sejmie – gdyby tylko, zamiast okładać się cepami, obrażać i tryskać jadem, trzeba było posługiwać się rozumem, poszukiwać najlepszych argumentów, obmyślać najskuteczniejsze rozwiązania?

Na co dzień, pogrążeni w amoku, nie dostrzegamy tej prostej zależności. Tymczasem polaryzacja niebywale obniża jakość publicznej debaty. Całe to *folie à deux;* histeryczne wmawianie sobie, że ktoś powiedział coś, czego wcale nie powiedział, albo zrobił coś, czego nie zrobił; udawanie, że podejmowanie dyskusji na jakiś temat jest aktem wielkiej dyskryminacji i przemocy wobec tych, którzy uważają, że dyskusji być nie może; przerzucanie się odpowiedzialnością i inwektywami przez polityków, którzy nigdy niczemu nie są winni, itd., itp.

Otóż w świetle tej prostej prawdy, którą odsłania raport „Stan polaryzacji 2026", okazuje się, że jest to w gruncie rzeczy kamuflaż, skrywający łączące nas podobieństwa. Istotnie: im bardziej próbujemy je przed sobą ukryć, tym ten kamuflaż musi być krzykliwszy, głupszy i brutalniejszy. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl fbbd995f95

Albatros travel

Albatros 40 lat

Indie

skarby kultury i wielkie Religie

Zobacz 3 największe atrakcje Indii – zachwycający Taj Mahal, Złotą Świątynię w Amritsarze i Waranasi – święte miasto nad Gangesem.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Delhi i zwiedzanie miasta, w tym przejażdżka rikszą rowerową. **Dz. 3** Delhi – Waranasi. Przejazd pociągiem i wieczorny rytuał pudża. **Dz. 4** Waranasi. Rejs po Gangesie, świątynia Bharat Mata i wycieczka do Sarnath. **Dz. 5** Waranasi – Agra. Czas wolny, wyroby z jedwabiu i pociąg do Agry. **Dz. 6** Agra. Taj Mahal i Fort w Agrze. **Dz. 7** Agra – Delhi – Amritsar. Zakupy i przejazd do Amritsar. Złota Świątynia nocą. **Dz. 8** Amritsar. Złota Świątynia i przejście graniczne Wagah. **Dz. 9** Amritsar – Delhi. Przelot do Delhi, muzeum Gandhiego, kolacja pożegnalna. **Dz. 10** Przelot Delhi – Warszawa.

10 dni | Wyloty z Warszawy 26/10 2026, 22/02 2027 | od 8.998,–

Średnia ocena gości: 5,0 / 5

3 posiłki dziennie

Peloponez – kolebka europejskiej kultury

Bogata historia, niezwykła gościnność i lazurowe morze. Dołącz do naszej wycieczki, pełnej greckiej kultury i odpocznij w urokliwej miejscowości Tolo.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa-Ateny. Krótkie zwiedzanie stolicy Grecji. Przejazd do Tolo. **Dz. 2** Tolo oraz historia wojny trojańskiej podczas wycieczki do Asini. Wprowadzenie do historii Grecji i języka greckiego. **Dz. 3** Pierwsza stolica nowożytnej Grecji – Nafplio. **Dz. 4** Podróż przez historię Grecji, teatr w Epidauros i produkcja oliwy z oliwek. **Dz. 5** Starożytne Mykeny i Lwia Brama. **Dz. 6** Dzień wolny, wieczorem nauka tradycyjnego tańca greckiego. **Dz. 7** Małe wioski Arkadii z obiadem w lokalnej restauracji. **Dz. 8** Powrót do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy 03/11 2026 | od 4.998,–

2 posiłki dziennie

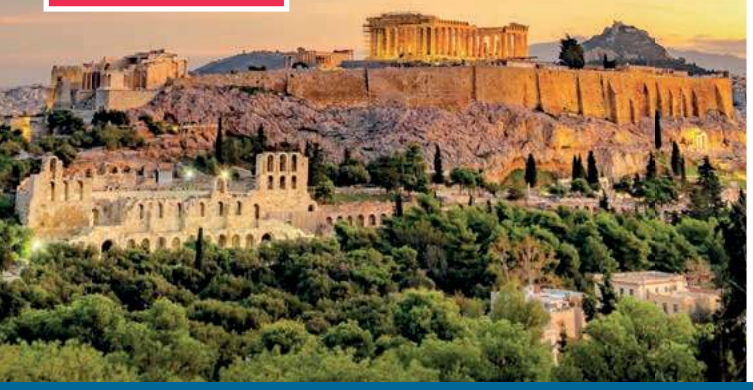

REKLAMA

2 posiłki dziennie

Włoskie Wybrzeże Adriatyku

od Ravenny po San Marino

„Najpiękniejsze miasto Włoch", średniowieczne zamki, bizantyjskie kościoły, skarby UNESCO i zachwycające krajobrazy wzdłuż włoskiego wybrzeża Adriatyku.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Bolonia i przejazd do hotelu w Cesenatico. **Dz. 2** Przekroczenie Rubikonu, Riviera del Conero z miasteczkiem Sirolo, podziemne korytarze w Osimo i wizyta w winnicy. **Dz. 3** Ravenna i wspaniałe mozaiki wpisane na listę UNESCO. **Dz. 4** Wycieczka fakultatywna do renesansowego miasta Urbino (dodatkowo płatna). **Dz. 5** Republika San Marino i piękne miasteczko San Leo. **Dz. 6** Dzień wolny do własnej dyspozycji. **Dz. 7** Wizyta na targu w Rimini i nadmorskie miasteczko Cattolica. **Dz. 8** Przelot z Bolonii do Polski.

8 dni | Wylot z Warszawy 24/09 2026 | od 5.498,–

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **TP15**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl fbbd995f95

REKLAMA

Kraków

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

Stowarzyszenie Muzyki Polskiej zaprasza
The Polish Music Association invites you

22. FESTIWAL MUZYKI POLSKIEJ

THE FESTIVAL OF POLISH MUSIC

KRAKÓW 17.07–2.08.2026

17.07
godz. 19.00 7:00 pm
Filharmonia im. K. Szymanowskiego
Szymanowski Philharmonic Hall

POLAND ABROAD

Alexandre Tansman: Triptyque • **Szymon Laks:** Sinfonietta na orkiestrę smyczkową
Jerzy Fitelberg: Concerto • **Mieczysław Karłowicz:** Serenada op. 2 (w 150. rocznicę urodzin kompozytora)

Sinfonietta Cracovia, Jürgen Bruns dyrygent conductor

18.07
godz. 19.00 7:00 pm
Aula Collegium Novum UJ
Collegium Novum Auditorium UJ

THEATRUM MUSICUM

Krzysztof Słowiński: *Vier Abschieds Lieder* (prawykonanie światowe) • **Carl Loewe:** Ballady polskie op. 50

Krzysztof Szumański bas-baryton bass-baritone, **Bojana Dimković** fortepian piano

19.07
godz. 18.00 6:00 pm
Aula Collegium Novum UJ
Collegium Novum Auditorium UJ

PORTRET PORTRAIT: ZYGMUNT STOJOWSKI 1870-1946

I Sonata G-dur na skrzypce i fortepian op. 13 • Romans op. 20 • II Sonata E-dur na skrzypce i fortepian op. 37

Wojciech Koprowski skrzypce violin, **Grzegorz Skrobiński** fortepian piano

24.07
godz. 19.30 7:30 pm
Bazylika NSPJ
Basilica of the Holies Heart of Jesus

Recital organowy Organ recital ROMANTYZM | POLSKA | EUROPA

Felix Mendelssohn: Preludium (Allegro) C-dur MWV W44 • **Alexandre Guilmant:** Marsz na temat Haendla op. 15 nr 2
Feliks Nowowiejski: Kyrie z Mszy XI *Orbis factor* op. 9 nr 3 • **Mieczysław Surzyński:** Sonata d-moll op. 34
Felix Mendelssohn: Preludium i fuga e-moll, WoO 13 (transkrypcja na organy: William Thomas Best)
Jan Adam Maklakiewicz: Prelude pour orgue op. 17

Marcin Armański organy organ

26.07
godz. 18.00 6:00 pm
Filharmonia im. K. Szymanowskiego
Szymanowski Philharmonic Hall

EUROPA W POŁOWIE WIEKU EUROPE IN THE MID-CENTURY

Ralph Vaughan Williams: Koncert na obój i orkiestrę smyczkową a-moll • **Gerald Finzi:** Koncert na klarnet i orkiestrę smyczkową op. 31 • **Tadeusz Kassern:** I Koncert na orkiestrę smyczkową
Alexandre Tansman: Concertino na obój, klarnet i orkiestrę smyczkową

Justyna Stanek obój oboe, **Oleh Malovichko** klarnet clarinet, **Sinfonietta Cracovia, Grzegorz Brajner** dyrygent conductor

1.08
godz. 19.00 7:00 pm
Aula Collegium Novum UJ
Collegium Novum Auditorium UJ

ACROAMA MAGISTRORUM – RECITAL MISTRZOWSKI MASTER'S RECITAL

zwyciężczyni Konkursu im. Ady Sari of the winner of the Ada Sari Competition

POLSKIE PIEŚNI I POLSKIE ARIE OPEROWE POLISH SONGS AND POLISH OPERA ARIAS

Karol Szymanowski: Sześć pieśni op. 2 do słów Kazimierza Przerwy-Tetmajera • **Tadeusz Szeligowski:** *Pieśni zielone* na głos wysoki i fortepian, słowa wg oryginalnego tekstu ludowego opracował Roman Brandstaetter
Mieczysław Karłowicz: *Idzie na pola* op. 3 nr 3, *Rdzawe liście strząsa z drzew, Zasmuconej* op. 1 nr 1, *Śpi w blaskach nocy* op. 3 nr 5 • **Stanisław Moniuszko:** aria Hrabiny z opery *Hrabina,* aria Neali z opery *Paria*
Ludomir Różycki: aria Beatrix z opery *Beatrix Cenci* • **Władysław Żeleński:** aria Bronki z opery *Janek* **Stanisław Moniuszko:** aria Halki z opery *Halka*

Mariana Poltorak sopran soprano, **Dominika Peszko** fortepian piano

2.08
godz. 18.00 6:00 pm
Filharmonia im. K. Szymanowskiego
Szymanowski Philharmonic Hall

KONCERT FINAŁOWY – PROJEKT KARŁOWICZ 150
FINAL CONCERT – KARŁOWICZ 150 PROJECT

Mieczysław Karłowicz:
Koncert skrzypcowy A-dur op. 8, *Stanisław i Anna Oświecimowie* op. 12, *Epizod na maskaradzie* op. 14

Dayoon You skrzypce violin, **Orkiestra Filharmonii im. K. Szymanowskiego, Kalle Kuusava** dyrygent conductor

Organizator: Stowarzyszenie Muzyki Polskiej
Mecenas: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego, w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Sponsorzy: jędrzejczyk gontarczyk & partners, KKBG GROUP, mBank

Partnerzy: ams, PWM, ruch muzyczny, geeea, ARS OPTICA, FILHARMONIA im. K. Szymanowskiego w Krakowie, Instytucja Kultury Województwa Małopolskiego, Muzyczne Media, Śląska Filharmonia, za'ks, Patroni medialni: wyborcza.pl, WP, Kraków Culture, kraków.pl

Bilety dostępne online, szczegółowa informacja na stronie www.fmp.org.pl oraz na godzinę przed koncertem

eprasa.pl fbbd995f95